

Każdy musi mieć Coś swojego,
co pozwoli mu żyć z radością i nadzieją

COŚ MOJEGO

Marci Lyn Curtis



COŚ MOJEGO

Marci Lyn Curtis

Przekład
JULIA WOLIN



Korekta
Magdalena Stachowicz

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Design Pics/Thinkstock

Tytuł oryginału
The One Thing

Copyright © 2015 Marci Curtis
First published by Hyperion, an imprint of Disney Book Group
Title of origin: THE ONE THING
Published by arrangement with the author
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5680-1

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

Moim rodzicom, którzy mi dali szansę marzyć.

1

Nie przepadam za bukietami. Kwiaty są w porządku, ale jak ktoś je zerwie i ułoży, zaczynają mnie stresować. Stają się wręcz trochę przerażające, jakby mówiły: „Ach, proszę, podziwiaj mą urodę, gdy ja będę powoli konać”. To chyba był jakiś omen; gdy się cofnę pamięcią, to gdy poznałam Benjaminą Milтона, akurat stał obok wazonu. Nie widziałam już wtedy od pół roku i przez ten czas ani razu nie natknęłam się na taką sytuację.

Większość widzających zakłada, że niewidomi widzą tylko czerń. Mylą się. Ci całkiem niewidomi nie widzą kompletnie nic. Ani czerni, ani szarości. Kiedy więc siadałam w poczekalni u pana Sturgisa, nie miałam pojęcia, jak wygląda ten bukiet. Wiedziałam tylko, że stoi na biurku, przy którym się meldowałam. I że pachnie dość podejrzanie, jak wyfiokowane staruszki, obstawiałam więc, że są w nim gardenie.

Jak zwykle siedziałam tuż obok przestępców, zwykłych i młodocianych. Czekałam dobre pół godziny, aż recepcjonistka – Cari albo Staci, jedno z tych imion zakończonych zadziornym „i” – wreszcie mnie wywołała. Nigdy nie widziałam pana Sturgisa, mojego kuratora. Wyobrażałam go sobie jako bardzo wysokiego faceta, który włosy spina w cienką kitkę, na nogach nosi znoszone męskie chodaki, a do tego ma trochę wyblakły tatuaż z pacyfką. Niestety, dziadek twierdził, że jest gruby, łysy i nosi spodnie za krótkie o dwa centymetry... paskudne. Jak ktoś jest niewidomy, widzi ludzi takimi, jakimi są naprawdę.

Weszłam do jego gabinetu, a on powiedział:

– Witam, panno Margaret.

– Pamięta pan, że wolę „Maggie”? – Ruszyłam w stronę swojego miejsca, a przy okazji złożyłam łaskę i schowałam do torebki. Margaret. Tak się może nazywać ktoś, kto ma trzysta lat albo jest któryś tam w kolejce do brytyjskiego tronu.

– No więc, Margaret – kontynuował, a moja noga podrygiwała w rytm piosenki Loose Cannons, która cały dzień grała mi w głowie. Słyszałam, że grzebie w jakichś papierach. – Wiem od pani Olive, że zakończyłaś już obowiązkowe prace społeczne. Według niej – odchrząknął – „Margaret jest dowcipną młodą kobietą wykazującą niebywały talent w wyglądaniu na bardzo zajęta, podczas gdy nie robi nic”.

Zapadła cisza. Prawdopodobnie czekał na jakiś komentarz, ale się nie odezwał. Zamiast tego strzepnęłam ze spodenek kłaczek, co było idiotyczne, bo przecież nawet gdyby tam był, nie zobaczyłabym go.

Po chwili spytał:

– Jak tam w szkole?

– Cudownie. – Wczoraj skończyłam trzecią klasę liceum, tak więc dzisiaj było cudownie. Spałam do południa, wciągnęłam paczkę ciasteczek, trzy godziny stałam pod prysznicem, a do biura kuratora wlokłam się powolutku.

– Masz ochotę porozmawiać o swoich ocenach? – spytał pan Sturgis i coś zanotował.

– Niespecjalnie.

– A jaką masz średnią? – zachichotał. Kilka miesięcy temu wypracowaliśmy swoje porozumienie: ja będę zjawiskowo sarkastyczna, a on będzie uważał to za przezabawne. Poza tym uważałam, że powinnam ograniczyć wypowiedzi do minimum, bo wiedziałam, że jeśli choć odrobinę się przed nim otworzę, wpadnie do środka z impetem i zadreczy mnie gadkami o zwracaniu długu społeczeństwu i dbaniu o swoją karmę.

Wzruszyłam ramionami.

– Dwa z kawałkiem.

Byłoby dwa i cztery, gdyby nie nauczyciel angielskiego, który mnie znienawidził, odkąd parę miesięcy temu wywołałam małe zamieszanie na jego lekcji. Na swoją obronę mogę powiedzieć, że byłam zdołowana

niespodziewaną zmianą szkoły na Instytut dla Niewidomych im. Merchanta. Chodziło o to, że wcale nie chciałam odchodzić z liceum South Hampton, a poza tym u Merchanta było kompletnie niezyciowo. Cały czas ktoś mnie tu klepał po plecach i mówił, że wszystko będzie dobrze. A wszystko było źle. Bo w prawdziwym świecie potykałam się o krawężniki, których istnienia wcześniej nie zauważałam, i nie wiedziałam, jak odróżnić banknot dziesięciodolarowy od dwudziestodolarowego. Poza tym zaczęło do mnie docierać, że już nigdy nie strzelę gola.

No więc u Merchanta było beznadziejnie. A najgorszy był nauczyciel angielskiego, pan Huff. Jego oddech cuchnął jak wnętrze pępka i mówił taaaak pooooooli, jaaakbyyy na kaaażdeee słooowo miaaaał minuuutę. Jakieś dziesięć lat wcześniej miał raka jąder i codziennie na lekcji rozwodził się nad tym, że wygrał z nowotworem, więc wie, jak to jest natykać się na przeszkody i walczyć z nimi. Ja prychałam z pogardą, jak mogłam najgłośniej i wywracałam oczami, żeby się zorientował, co bym chciała powiedzieć.

Aż w końcu pewnego dnia, gdy parskałam w najlepsze i wywracałam oczami, zaskoczył mnie pytaniem:

– Chciałabyś się czymś z nami podzielić, Maggie?

Uważam, że nie powinnam zostać ukarana za to, co się stało później, przecież po prostu odpowiadałam na jego pytanie. Poza tym mogłam powiedzieć coś jeszcze gorszego. Przecież myślałam gorsze rzeczy.

– Chodzi o to, że nie mogę zrozumieć podobieństwa między pana moszną a naszym wzrokiem. – Zrobiłam ruch ręką, żeby wskazać na pozostałych pozbawionych wzroku nieszczęśników, którzy tkwili w tej klasie i dzień za dniem musieli go słuchać.

Oczywiście zaprowadził mnie do gabinetu dyrektora, gdzie musiałam powtórzyć odpowiedź na pytanie pana Huffa. Od tamtej pory popołudniami miałam karę, a pan Huff zwracał się do mnie piskliwym głosem i stawiał mi niezасłużone złe oceny.

Głos pana Sturgisa przywrócił mnie z powrotem do rzeczywistości.

– Jak tam twoja matka?

Poderwałam głowę.

– A co? Dzwoniła do pana?

– Nie, nie odzywała się. Masz jakieś kłopoty w domu?

– Nie.

Westchnął, jak to wzdychają kuratorzy: trochę podejrzliwie, z lekkim rozbawieniem i odrobiną irytacji, a potem powiedział:

– W takim razie widzimy się za miesiąc. I wiesz co, Margaret? Dobra z ciebie dziewczyna. Nie pakuj się w żadne kłopoty.

2

Dziadek Keith się spóźniał. Miał mnie odebrać od pana Sturgisa równo o czwartej, a mój telefon oznajmił, że jest już wpół do piątej. W sumie nie powinnam się dziwić. Dziadek miał wyjątkowy talent do spóźniania się. Może dlatego, że zawsze włókł się w ślimaczym tempie. Z telefonem w ręce zastanawiałam się właśnie, czy go pogonić, ale wtedy otworzyły się drzwi i zadzwonił dzwoneczek.

– No wreszcie! – Poderwałam się i ruszyłam do wyjścia. Nie wyjęłam laski i niemal od razu się przekonałam, że jakiś geniusz rozlał na płytkach niezidentyfikowaną, ale cudownie śliską substancję i nie sprzątnął. A ja, oczywiście, wylądowałam w samym środku.

Chciałabym móc powiedzieć, że runęłam z godnością i gracją właściwą szanującej się niewidomej pannie, która rozumie i akceptuje, że od czasu do czasu natknie się na przykre niespodzianki i czasem wyjdzie z nich nieco poobijana. Ale nie będę ściemniać. Pięcioliterowe słowo, które wyrwało się z moich ust, gdy wylądowałam na podłodze, było tak treściwe, że można by nim wykarmić wielopokoleniową rodzinę.

Zamknęłam oczy i leżałam na boku, otoczona zapachem gardenii. Ścisnęłam w rękach głowę, jakby zawartość czaszki miała się rozsypać po poczekalni, gdybym ją puściła. Nagle usłyszałam dziecięcy głos:

– W życiu nie widziałem takiego orła! – Super, dzięki, miałam ochotę powiedzieć, ale wyrzuciłam głowę w coś twardego i kanciastego i mój mózg nie funkcjonował jak należy. Nie mogłam znaleźć słów. Krążyły wokoło, ale nie mogły się wydostać. – Żyjesz? – spytał po chwili chłopiec, ale nie

wydawał mi się jakoś szczególnie przejęty.

– I to jak! – odparłam nie bez trudności, a w moim głosie nie było sarkazmu, tylko spowolnienie.

Dzwoniło mi w całej lewej połowie głowy. Wsadziłam palec do ucha i poruszałam, ale nie pomogło. Jęknęłam i przekręciłam się na plecy.

– Pomóc ci?

Mówił tak entuzjastycznie i żywiołowo, jakby z każdym słowem z jego ust wybiegała meksykańska orkiestra; aż otworzyłam oczy. I wtedy się okazało, że od uderzenia w głowę mam halucynacje.

Bo go zobaczyłam.

Minęło pół roku, odkąd bakteryjne zapalenie opon mózgowych odebrało mi wzrok. Sześć miesięcy, odkąd cokolwiek widziałam. Więc to musiała być halucynacja, ale, kurczę, podobała mi się! Powinnam częściej walić się w głowę.

Patrzył na mnie chłopiec. Obstawiałam, że ma z osiem, dziewięć lat, ale nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z takim zjawiskiem, więc oszacowanie jego wieku mogło być niedokładne. Był drobny, opalony na złoto, ubrany w spodenki o trzy numery za duże i przekrzywioną czapkę z daszkiem. Poza tym uśmiechał się szeroko i pokazywał zęby.

Chwiejnie usiadłam. Mózg mi falował, a głowa bolała.

– Ty... – wskazałam na niego drżącym palcem, ale kiedy zmarszczył brwi, zupełnie zapomniałam, co chciałam powiedzieć.

Rozejrzałam się. Widziałam nie tylko jego, ale i kilka metrów wokół, oświetlone jakby żarzącą się żarówką zapaloną przez świt. Trudno to było właściwie nazwać jasnością, ale ponieważ od tak dawna nie widziałam zupełnie nic, światło raziło mnie jak reflektor.

Na podłodze, przy jego butach, leżała zwinięta torebka po Skittlesach. Czerwona. Jasnoczerwona. Boże, jak ja tęskniłam za tą barwą. Obok stało niebieskie plastikowe krzesło, na którym ktoś wyciął dużymi drukowanymi literami słowa: „UGRYŹ MNIE”. A nad nim? Snop miękkiego popołudniowego światła. Dalej robiło się coraz mroczniej i mroczniej, aż wszystko zniknęło w niebycie.

To dziwne, nawet jak na halucynację.

Znów spojrzałam na chłopaka i zauważyłam, że opiera się na kulach. Nie takich, które się wkłada pod pachy, tylko krótkich, aluminiowych, w których się trzyma przedramiona. Dziwne, ale wydawały mi się integralną częścią jego ciała. Bez nich czegoś by mu brakowało, tak jak nosa, ucha czy czegoś innego. Uśmiechał się do mnie półgębkiem i minę miał trochę rozbawioną, a trochę pełną wątpliwości.

– Jesteś pijana? – spytał.

Nie miałam doświadczenia z halucynacjami, ale ta wydawała się nieco bezczelna. Zresztą może wszystkie takie były?

– Skąd, nie jestem! – odparłam z oburzeniem. – Mam wstrząs mózgu, co wyjaśnia twoją obecność tutaj. – Zrobiłam zamaszysty ruch ręką, żeby jeszcze wyraźniej wtajemniczyć go w sytuację.

Wydał policzki i wypuścił powietrze.

– Czyli ćpunka. Cholera. – A pod nosem dodał: – Te ładne zawsze są skrzywione.

Zmrużyłam oczy.

– Słucham?!

– No, sama powiedz. Najpierw totalnie się zakochałem w Jessice Baylor. Siedziała obok mnie na matematyce. Była boska. Miała błyszczące włosy, oczy i zęby. I co? Powiedziała, że nie znosi tortów, a ja mam uraz do osób, które nie lubią tortów. Potem była Hannah. Miała cycki. I to jakie! Na samą myśl chłopak mógł ześwirować. – Szybko zamrugał. Tak jakby przy użyciu powiek usuwał jej obraz z mózgu. – Ale przyłapałem ją na rzucaniu kamieniem w wiewiórkę. Wyobrażasz sobie? Przecież tak nie można! A dzisiaj zobaczyłem ciebie. I pomyślałem, że jesteś idealna. Ten upadek? O rany! Po prostu o rany. I nagle się dowiaduję, że jesteś ćpunką. – Znów westchnął głęboko. – Tragedia.

Cholera, chyba przywalałam mocniej, niż myślałam.

– Nie jestem ćpunką – oznajmiłam, chociaż nie byłam pewna, czemu tłumaczę się przed nieletnią, lekko perwersyjną halucynacją.

– To dlaczego się tak na mnie gapisz? – spytał. – Bez wyrazu, z głupią

miną?

Gapię się? W sumie możliwe. Przemknęło mi przez myśl pytanie, dlaczego głupie zasady towarzyskie obowiązują nawet wobec halucynacji.

– Musiałeś sam się na mnie gapić, żeby wiedzieć, że ja się gapię na ciebie.
– Z tak logicznym wywodem nie będzie mógł dyskutować.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, tak że uśmiech zajął mu prawie całą twarz.

– Ty się gapiłaś pierwsza, więc to ty zaczęłaś. Ja jestem tylko niewinnym świadkiem, skutkiem ubocznym twojego gapienia.

Zabębniłam palcami w brodę. Nic tak nie odświeża umysłu, jak dobra kłótnia. Po jego minie widziałam, że też zauważył poprawę mojego stanu umysłowego i koncepcja ćpunka zniknęła.

– Tak naprawdę – zaczęłam – jak pierwszy raz na ciebie spojrzałam, zaraz po upadku, już się na mnie patrzyłeś. Więc to ty zacząłeś. A w związku z tym moje gapienie się jest skutkiem ubocznym twojego gapienia.

Zapadła długa cisza, która zmieniła się w jeszcze dłuższą. A potem wyszeptał:

– Myślałem, że jesteś moją nową dziewczyną.

Zaczęłam się śmiać tak strasznie, że aż zachrumkałam, zupełnie nie jak dama. Z ludźmi nie szło mi najlepiej, ale najwyraźniej okazałam się mistrzynią rozmów z halucynacjami.

W poczekalni rozległo się stukanie obcasów. Gdzieś z tyłu dobiegł mnie głos recepcjonistki:

– Co się...? Maggie? Dlaczego siedzisz na podłodze? Wszystko dobrze?
– Wprost wybornie – wycodziłam, ale nie oderwałam wzroku od dzieciaka.
– W życiu nie czułam się lepiej. Troszkę się poślizgnęłam, a potem trochę mniej upadłam. Ktoś rozlał coś odrobinę śliskiego.

Zamilkła, a potem zaczęła zawodzić:

– O nie, nie, nie! Tylko nie teraz!

Nie rozumiałam, o co jej chodzi, ale też specjalnie mnie to nie interesowało. W tej konkretnej chwili życie stało po mojej stronie.

– Benjaminie, przestań flirtować z tą biedną dziewczyną. Nie widzisz, że jesteś dla niej za młody?

Chłopak odetchnął głęboko i znów wydał policzki. Potem uniósł palec.

– Wcale nie flirtowałem. Ale nic nie poradzę, że mam takie ciało...

Przerwała mu, zanim zdołał dokończyć i zaczęła mówić tak szybko, że prawie nic nie rozumiałam:

– Przepraszam cię, Ben, ale muszę lecieć, jestem spóźniona, strasznie, strasznie, za trzy minuty muszę odebrać dziecko z przedszkola, bo doliczą mi to do czesnego, a nie mogę sobie na to pozwolić, bo nie będę miała za co zapłacić czynszu, więc bądź tak dobry i zetrzyj to coś z podłogi, zanim ktoś sobie skręci kark. – Wzdrygnęłam się, gdy nikąd zjawiała się w moim polu widzenia i położyła rękę na ramieniu chłopca: – Dzięki, naprawdę jestem zobowiązana! – Potem podniosła głos i zawołała: – PROSZĘ PANA? JA WYCHODZĘ, PRZYSZEDŁ PANA SIOSTRZENIEC, NIECH PAN NIE ZAPOMNI ZAMKNAĆ DRZWI! – Okazała się farbowaną blondynką, szczupłą, w średnim wieku. Przemknęła przez obszar, który widziałam, i zniknęła.

Na kilka sekund zapomniałam o oddychaniu. Popatrzyłam znów na dzieciaka przede mną. Czułam się, jakbym wpadła na coś wielkiego i nieustępliwego, a potem rozpadła się na milion kawałków. Zamknęłam oczy i spróbowałam odwołać się do resztek zdrowego rozsądku. Gdy spojrzałam ponownie, wciąż tam był.

3

Siedziałam przez chwilę i gapiłam się na niego. Nachylił się do mnie, wsparty na kulach, i uśmiechnął się szeroko, oślepiając mnie wielkimi, przednimi zębami.

– Czemu cię widzę? – spytałam. Nie odpowiedział, bo tak naprawdę nie zadałam tego pytania. Na próbę wypowiedziałam te słowa w głowie, ale uznałam, że brzmią zbyt idiotycznie, by je wygłaszać. Pomacałam świeżutkiego guza na głowie. Czyżby w wyniku upadku jakiś luźny klocek trafił z powrotem na swoje miejsce? Do dziurki z napisem „wzrok”?

Czy to w ogóle możliwe?

Przełknęłam ślinę i spojrzałam w dół. Sama nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie... siebie. Ślepotą sprawiła, że chyba zwątpiłam w swoje istnienie. Zdawało mi się, że rozmyłam się w niebycie i istniałam tylko jako duch. Ręce naprawdę miałam białe, chude, kruche. Na palcu wskazującym prawej dłoni odcisk od nauki alfabetu Braille’a. Biała koszulka, wyrażająca moją najnowszą obsesję na punkcie najlepszego początkującego zespołu wszech czasów, Loose Cannons. Krótkie spodenki, które rodzice kupili mi kilka miesięcy temu. Uważałam, że są bardzo wygodne i niezwykle, ale teraz już wiedziałam dlaczego: były za duże, rozepchane w dziwnych miejscach i podejrzenie przypominały coś, co mogłaby nosić moja mama. Na paznokciach u stóp miałam resztki niebieskiego lakieru, mojego ulubionego w czasach, kiedy jeszcze widziałam. Na prawej kostce blizna po upadku z drzewa, w ósmej klasie. Wpatrywałam się w nią przez chwilę, z namaszczeniem i intensywnie, czując, jakbym stała kilka centymetrów od

jakiegoś wielkiego ekranu i zachwycała się każdym pikselem.

Tak. No tak. Zdecydowanie odzyskałam wzrok.

Ale...

Dlaczego?

Odwróciłam się i zerknęłam do tyłu. Pole widzenia obejmowało jakieś trzydzieści centymetrów, a dalej wszystko się rozmywało. Nie widziałam poczekalni. Nie widziałam krzeseł. Nie widziałam... nic. Spojrzałam w dół, na strużkę pianistej zielonej substancji, rozmazanej na nie całkiem białej podłodze. Obstawiałam, że to lody pistacjowe. Na nich się poślizgnęłam. Nigdy nie byłam fanką tego smaku, orzechy jakoś mi nie pasowały do czegoś kremowego i aksamitnego, ale w świetle ostatnich wydarzeń byłam gotowa zjeść cały kubek jeszcze dziś wieczorem.

No bo naprawdę...

Ten dzieciak, Ben, odchrząknął, odwrócił się w stronę gabinetu pana Sturgisa i ryknął:

– WUJKU! Mama mnie przysłała, żebyś cię zaprosił na kolację, ale widzę, że jesteś zajęty, więc zabiorę moją nową dziewczynę. – Pan Sturgis zdążył tylko powiedzieć: „Ale...”, kiedy Ben dokończył: – Nie, nie ma sprawy! Chcę, żeby poznała moją rodzinę.

– No dobrze! – odkrzyknął pan Sturgis, ewidentnie zdziwiony.

– Nie jestem twoją dziewczyną – przypomniałam mu cicho, ale on się tylko uśmiechnął jak wariat. A później, z zadartą brodą i wyprostowanymi dumnie plecami, schylił się do podłogi, opierając się na krzesło z napisem „UGRYŻ MNIE”. Kościste nogi złożyły się trochę bezwładnie, gdy kucnął.

– Za co? – spytał. Jednym okiem łypnął na mnie, a drugim na rozmazane lody, które właśnie ścierał. – Kradzieże w sklepach?

Nie odpowiedziałam, bo pytanie wydało mi się całkiem bezsensowne. A poza tym głowę miał tak odwróconą, że mogłam bez trudu odczytać napis na jego czapce z daszkiem: „TAKIE CIAŁO, A DO TEGO TEN MÓZG!”. Tak strasznie mnie zachwyciło, że widzę litery, że czytałam napis wciąż od nowa. Potem zorientowałam się, że on czeka na odpowiedź albo reakcję. Ale na co...? Nie pamiętałam.

– Słucham?

– Co robisz u mojego wujka? – wyjaśnił i odwrócił się, tak że nie widziałam już napisu. – Nie wyglądasz na seryjną morderczynię ani dilerkę, więc obstawiam, że podkradasz w sklepach. – Nachylił się i scenicznym szeptem spytał: – Co świsnęłaś?

– Nic – odparłam ostro. Normalnie już miałabym gotową jakąś uszczypliwą albo ironicznie zabawną ripostę, ale pulsowanie w głowie i niespodziewany powrót jakiejś jednej osiemdziesiątej pola widzenia całkiem mi zaburzyły zwyczajowe procesy intelektualne.

– Coś przede mną ukrywasz, moja piękna.

Hmm. Na to już zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie umiem skutecznie dyskutować z kimś, kto właśnie nazwał mnie „piękną”. Nawet, jeśli zrobiło to dziecko.

Przestał wycierać podłogę i oddał się czekaniu na odpowiedź w sprawie sklepowych kradzieży. Wyprostowałam się więc.

– Nie kradłam w sklepach. Nawet nie lubię sklepów. Mam karę za taką jedną szkolną akcję.

Uśmiechnął się, a potem się jeszcze roześmiał. Zabrzmiało to jak wykrzyknik na końcu zdania.

– Uwielbiam dziewczyny z głębią. Kontynuuj, proszę.

– Nie jestem twoją dziewczyną. Jestem dla ciebie o wiele za stara – przypomniałam.

– Tak, ale będziesz moją dziewczyną, więc z technicznego punktu widzenia wychodzi na to samo. – Zawadiacko uniósł brew.

– Na nic nie wychodzi. Ile ty masz lat? Dziewięć?

– Dziesięć! – parsknął z oburzeniem, tak jakby ten rok robił wielką różnicę.

– No więc z technicznego punktu widzenia ty masz dziesięć lat, a ja siedemnaście i coś mi się zdaje, że randki dziesięciolatka i siedemnastolatki są karane przez prawo.

Machnął tylko ręką.

– Nieistotne. No dobrze, co z tą akcją?

Miał coś takiego w oczach... Szczerłość albo oddanie. Zwróciłam na to

uwagę może dlatego, że mnie tego brakowało. Wystarczyło, żebym mu opowiedziała o moim wygłupie.

Parę miesięcy temu, podczas szkolnego apelu, w którym brali udział uczniowie oraz kadra, przesunęłam stojący na korytarzu nieznośnie wielki posąg nadętego patrona naszej szkoły, Eliasa Merchanta, parę metrów dalej, konkretnie do męskiej toalety. A mówiąc jeszcze precyzyjniej, ustawiłam go przed pisuarem. Potem pomalowałam stopy białą farbą i zostawiłam ślady zaczynające się w miejscu, gdzie stał wcześniej, a kończące się tam, gdzie się znalazł. Miało wyglądać tak, jakby pomnik sam poszedł do toalety. Nikt z uczniów nie mógł tego zobaczyć, ale byłam pewna, że wszyscy o tym usłyszą. Zresztą mieli szczęście, bo w mojej wyobraźni wyglądało to znacznie lepiej niż w rzeczywistości. Tak czy siak, miałam niezły ubaw. Aż mnie złapali.

Jak skończyłam opowiadać, Ben uśmiechał się szeroko. Myślałam, że pęknie mu twarz. Zaczął się śmiać i śmiał się długo, emitując całe szeregi wykrzykników.

– Genialne! – orzekł i wsparł się na krześle, żeby się podnieść. Włożył ręce w uchwyty kul, odzyskał równowagę, a potem nagle zamarł i spojrzał na mnie, mrużąc powieki.

– Zaczekaj. Chodzisz do Merchanta? Czy to nie jest szkoła dla niewidomych?

Już zdążyłam zapomnieć, że jestem niewidoma. Czułam się tak... normalnie. Normalniej niż od miesięcy. A jednocześnie wiedziałam, że jest jeszcze tyle rzeczy, których nie widzę, tyle świata poza Benem, mną i tym mrocznym pierścieniem wokół.

Wciąż byłam niewidoma. Prawie.

Milczałam chwilę, a potem z moich ust wydostały się słowa. Może niezbyt elokwentne, ale aktualnie nie mogłam sobie pozwolić na zadziorność.

– No tak. To szkoła dla niewidomych.

Zmarszczył brwi.

– No to dlaczego tam chodzisz?

Wstałam i otrzepałam tyłek. Grałam na zwłokę. Nie miałam pojęcia, jak zareagować. W końcu, po stwierdzeniu, że mam za mało funkcjonujących

komórek mózgowych, żeby spreparować porządne kłamstwo, zdecydowałam się naprawdę:

– Bo jestem niewidoma.

Wyszczrzył się z niedowierzaniem.

– E tam.

– Naprawdę. Jestem niewidoma. – Na dowód wyciągnęłam z torebki laskę i rozłożyłam. – A jeśli i tak nie wierzysz, zapytaj wujka. – Wskazałam ręką na jego gabinet. – Pytaj, śmiało.

Odwrócił tylko głowę i nie ruszając się z miejsca, ryknął:

– WUJKU! TA DZIEWCZYNA Z LOKAMI, CO PRZESUNEŁA POSĄG, JEST NIEWIDOMA?

Pan Sturgis odkaslnął niepewnie, ale potem wydał dźwięk, który można było uznać za przytaknięcie.

Ben powoli odwrócił się z powrotem do mnie. Oparł się całym ciężarem ciała na kulach i zrobił minę, która wyrażała najczystszy zachwyt.

– Straciłam wzrok pół roku temu, po zapaleniu opon mózgowych – zaczęłam wyjaśniać. – Zanim się tu dzisiaj wyłożyłam, nie widziałam kompletnie nic. Ale coś musiało mi się przestawić w mózgu, jak upadłam, bo cię widzę, ale tylko ciebie i może kawałek wokół. Poza tym nadal nic. – Zmrużyłam oczy i przyjrzałam się ciemnemu pierścieniowi, który go otaczał. Szarawe światło ciemniało i w zadziwiający sposób rozmywało się w niebycie.

– Ja pierdziele – szepnął Ben. – To cud!

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale zaraz je zamknęłam. Bo prawda była taka, że nie wiedziałam, czemu go widzę. Nic nie wiedziałam. Nawet czy powinnam komuś o tym powiedzieć: panu Sturgisowi, rodzicom, nauczycielom, lekarzowi?

Psychiatrze...

Zaczęłam obgryzać paznokcie kciuka. Czy ktoś mi w ogóle uwierzy? Pewnie nie. Ze względu na kłamstwa, którymi się ostatnimi czasy parałam i które się dorosłym zdecydowanie nie podobały, moi rodzice – a w tym przypadku na pewno też inni – nie przywiązywali wielkiej wagi do tego, co mówię.

Boże, tak naprawdę nie byłam pewna, czy sama sobie wierzę! Coś tu było

zdecydowanie nie tak. Powinnam się zastanowić, czy aż tak mi brakowało wzroku, że gotowa byłam w jego intencji zwariować. A moje biedne neurony postanowiły wyprodukować... to?

Zerknęłam na Bena, na jego wielkie zęby wyszczerzone w uśmiechu, zbyt długie jasne włosy i kule, a potem przełknęłam ślinę. Gdybym miała być z sobą całkiem szczerza – choć za wszelką cenę unikałam takich sytuacji – musiałabym przyznać, że stanowczo tak. Z całą pewnością oszalałam.

Ale mimo wszystko...

Zupełnie nie uśmiechało mi się wylądowanie na oddziale psychiatrycznym, a potem przekazanie mojego mózgu do pokrojenia jakiemuś badaczowi. Postanowiłam więc, że dopóki się nie dowiem, co się tak naprawdę dzieje, nikomu nie wyznam, że widzę Benjamina Milтона.

– Po pierwsze, jesteś za młody, żeby przeklinać – pouczyłam go. – A po drugie, to żaden cud. Upadając, uderzyłam się w głowę. Mocno. Czułam, że mój mózg aż się zatrząsł i w efekcie... zobaczyłam ciebie. Chyba.

Ale on mnie nie słuchał. Krążył wkoło i powtarzał:

– Ja pierdzielę, ja pierdzielę, ja pierdzielę, ja pierdzielę. – W końcu zatrzymał się gwałtownie, odchylił głowę, skierował wzrok w niebo i krzyknął: – JA PIERDZIELE, TO CUD!

Podeszłam do niego i zakryłam mu ręką usta. Nachyliłam się do jego ucha i wycedziłam szeptem:

– Nie mów nikomu, aż się dowiem, o co tu chodzi. Obiecuj, że będziesz milczał.

Wytrzeszczył oczy, ale powoli pokiwał głową. Puściłam go, a wtedy wymruczał:

– Dobrze, Thera, już dobrze

Thera???

– Mam na imię Maggie. Maggie Sanders.

– Ale ja będę na ciebie mówił Thera – wyszeptał, prawie nie poruszając ustami. Cały czas wpatrywał się we mnie w napięciu.

Zatkałam sobie nos. Użyłam za mało dezodorantu, żeby kontynuować tę rozmowę.

– Wolę swoje imię.

– Ale chodzi o to – szeptał – że wyglądasz dokładnie jak Thera. Z *Twenty-one Stones*. Ona strzela piorunami prosto z palców i ma magiczne moce, żeby walczyć ze smokami.

Położyłam sobie dłoń na czole.

– O czym ty mówisz?

– Nie znasz? To najlepsza gra na świecie!

Aha. Czyli będzie mnie nazywał na cześć bohaterki gry. Co za zaszczyt!

Stałam tak ze skrzyżowanymi ramionami, a on na mnie patrzył, jakbym była najwspanialszą kolejką górską w historii parków rozrywki. W końcu się odezwał:

– Przyjdiesz do mnie do domu na kolację? Proszę, proszę, proszę! Nie powiem mojej rodzinie o cudzie. Słowo! – Wskazał głową w stronę drzwi: – Możemy cię nawet podwieźć, moja mama czeka na zewnątrz. – Złożył kule i wygiął ręce w nadgarstkach, żeby wyglądać jak proszący pies. – Proszę!

Ogólnie rzecz biorąc, nigdy nie utrzymywałabym kontaktów z dziesięciolatkiem, chyba że miałabym dostać kasę za niańczenie go. I to niezłą kasę. Ale strasznie się chciałam dowiedzieć, czy Ben Milton to tylko produkt mojego mózgu. Może po całych miesiącach niewidzenia, które działało jak preparat o powolnym uwalnianiu, nagle zniknęła wierzchnia otoczka ochronna i po prostu zwariowałam.

A może wracał mi wzrok.

– Dobra, pójdę – wypaliłam. – Tylko przestań do mnie mówić Thera.

Przed wyjściem zadzwoniłam do dziadka. Oczywiście trafiłam na pocztę głosową. Dziadek nie jest specjalnie przywiązany do swojej komórki. Jego nagranie jak zawsze poprawiło mi humor: najpierw długa cisza, potem jakiś ruch i oddech prosto w słuchawkę, a na koniec „Pheh” i trzy sygnały.

„Pheh” to sztandarowe słowo dziadka. Słowo wielokrotnego użycia, mogące oznaczać wszystko, co akurat chce powiedzieć. Może być pytaniem, stwierdzeniem, dopowiedzeniem albo odpowiedzią. Ci, którzy naprawdę dziadka znają, zawsze wiedzą, co w danej sytuacji miało oznaczać „pheh”.

– Dziadku? – przemówiłam do telefonu. – Miałeś mnie odebrać jakąś

godzinę temu. W związku z tym idę na kolację do... – zamilkłam, bo nagle się okazało, że nie wiem, jak skategoryzować Bena. On usłużnie podsunął „mojego nowego chłopaka”. – Mojego nowego kolegi – dokończyłam, gromiąc go wzrokiem. – Zadzwoń, jak będę potrzebowała podwózki do domu. Dobrze? No to pa.

Rozłączyłam się i w zamyśleniu zaczęłam się wpatrywać w mój telefon. Rodzice kupili mi go zaraz po tym, jak straciłam wzrok. Prezent na pocieszenie. To w zasadzie nie był telefon, tylko wygenerowany komputerowo głos, który ryczał do mnie, jak tylko dotknęłam jakiegoś guzika. Natychmiast go znienawidziłam, a przyzwyczajanie się do niego wydawało się tak niedorzeczne, jak próba ochrzczenia kota. Ale jakoś się udało. Przynajmniej częściowo.

Łypnęłam na niego jeszcze raz, a potem wetknęłam do kieszeni i spojrzałam na Bena. Stał niedaleko i uśmiechał się idiotycznie. Czułam się, jakbym wzięła sobie coś, co do mnie nie należało, ale w końcu stwierdziłam:

– No dobra, dzieciaku, idziemy. I pamiętaj, ani słowa!

Wyswobodził rękę z kuli, przekręcił niewidzialny kluczyk przy ustach, zamykając je na głucho, a potem wyrzucił za siebie. Potem wyszliśmy na zewnątrz.

4

Zaraz po tym, jak straciłam wzrok, cały czas leżałam na łóżku w swoim pokoju i albo spałam, albo słuchałam muzyki. Moi rodzice nie mogli tego znieść, więc kiedy przez tydzień odmawiałam wyjścia, chodzenia do szkoły i w zasadzie wszystkiego, sprowadzili Hildę, instruktorkę orientacji przestrzennej, która, czy tego chciałam, czy nie, miała mnie nauczyć na nowo odnajdywać się w świecie.

Hilda miała dominującą osobowość i paskudny oddech, a jako Rumunka nie wymawiała głoski „ł” i zawsze mówiła „w”, co mnie bardzo bawiło, choć pewnie nie świadczyło o mnie dobrze. Nie zgadzałyśmy się w kilku zasadniczych sprawach, przede wszystkim w kwestii długiej, białej laski. Ja jej nienawidziłam, ona kochała. Nazywała ją „przedłużeniem palców”, co poniekąd się zgadzało, bo ilekroć musiałam jej użyć, miałam ochotę pokazać wszystkim środkowy palec.

Według mnie laski były dla starych ludzi. Bezradnych. Którym nie przeszkadzało demonstrowanie przed wszystkimi przechodniami, że są niewidomi. Ja nie chciałam niczego demonstrować. Chciałam po prostu iść. Laskę zaakceptowałam bardzo niechętnie i nawet teraz, po drodze z biura pana Sturgisa, czułam, jak mi nieznośnie ciąży w ręce. Musiałam się mocno powstrzymać, żeby jej nie złożyć i nie schować do torebki.

Mamę Bena – okrągłą kobietę o jasnych włosach, wesołych oczach, z kolczykami z piórek i ubraną w coś w stylu stroju chirurga – zobaczyłam dopiero, kiedy niemal na nią weszłam. Strasznie dziwne uczucie, iść obok Bena w bańce przytłumionego, szarawego światła, widzieć tylko asfalt, żwirek

i drzwi auta, a potem bach!, nagle ujrzeć tuż przed sobą kobietę, opierającą się o poobijanego bordowego minivana i trajkoczącą przez telefon. Widziałam ją, ostro i wyraźnie. Tak jak Ben, była zachwycająco i zjawiskowo rzeczywista. Cała jej postać, od ciepłego głosu po serdeczny uśmiech, komunikowała: „Lubię piec ciasteczka i chodzić na spotkania rady rodziców”. Mój mózg chyba nie zdołałby czegoś takiego stworzyć.

Nie. Tak.

Może.

Ben dokonał prezentacji:

– Mamo, to Thera. Thera, to moja mama. – Następnie, niezbyt subtelnie dodał: – Thera jest niewidoma.

Żeby się nie zdradzić, starałam się patrzeć na jej lewe ucho, a nie w oczy. Wrzuciła komórkę do kieszeni fartucha i uśmiechnęła się tak szeroko, jakby już samo moje istnienie ją zachwyciło.

– Ojej! Bardzo miło cię poznać, Thero! – zawołała. Potem rzuciła się w moją stronę i kompletnie z zaskoczenia mocno mnie objęła. Okazała się miękka i gąbczasta, więc zapadłam się w nią, jakby była objęciami samymi w sobie. Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę.

Nie wiedziałam, co zrobić z rękami, więc w końcu niezręcznie poklepałam ją po plecach.

– Tak naprawdę mam na imię Maggie – wystękałam w jej ramię.

Cofnęła się i zamyśliła nad moimi słowami. Zmarszczyła czoło, a kolczyki z piórek powiewały na wietrze.

– Moim zdaniem Thera bardziej do ciebie pasuje.

Ben prężył się obok, bardzo z siebie zadowolony.

– Wujek Kevin jest dzisiaj zajęty, więc zaprosiłem Therę. Dobrze?

Jego matka klasnęła w dłonie z taką radością, jakby wygrała zupełnie nowego minivana, który nie wyglądał, jakby się miał rozpaść na milion kawałków, gdy na antence usiądzie ptak.

– Jak najbardziej!

Ben podszedł do tylnych drzwi i czekał, aż mama mu je otworzy. A ja stałam jak wmurowana i patrzyłam w dół, na siebie, bo krąg przytłumionego,

szarawego światła dosłownie przepołowił moje ciało. Lewa połowa, choć trochę rozmyta, wyglądała normalnie. Prawa... nie istniała.

To nie mało sensu.

Wytarłam dłonie w spodenki. Może po prostu nie trzeba się teraz nad tym zastanawiać. Dać się ponieść i sprawdzić, gdzie mnie to zaprowadzi. Jeszcze kilka minut temu, gdy siedziałam na podłodze w poczekalni pana Sturgisa i rozmawiałam z Benem, zapomniałam o swojej ślepotcie. Krew lekko płynęła mi w żyłach i musowała jak napój gazowany, a ja czułam, jakbym po Bóg jeden wie, jak długim czasie, wróciła do siebie.

Chciałam być znów Maggie, chociaż przez chwilę.

I mogłam nią być. Odzyskałam ułamek wzroku i nawet jeśli to tylko halucynacja, uszczęśliwiła mnie w takim stopniu, że bez problemu mogłam sobie darować myślenie nad wszystkimi „jak?” oraz „a co, jeśli?” i po prostu być sobą. Zasługiwałam na to po sześciu miesiącach nieistnienia.

Zrobiłam duży krok w stronę Bena, nachyliłam się i szepnęłam mu do ucha:

– Pamiętaj, ani słowa o tym, co widzę, a czego nie.

Zasalutował:

– Melduję, że twój sekret jest bezpieczny, o pani – oznajmił całkiem poważnie.

Wywróciłam oczami.

Van świszczwał przy zapalaniu silnika, a gdy ruszył, terkotał, jakby wokół silnika kręcił się jakiś kamyk. Tapicerkę pokrywała gruba warstwa zwierzęcej sierści, a wszędzie upchnięte były klatki. Mama Bena wyjaśniła, że pracuje w klinice weterynaryjnej i zdarza jej się zabierać ranne zwierzęta z ulicy.

Miltonowie mieszkali w Chester Beach, przy brukowanej drodze mieszczącej jakieś piętnaście domów, kawał od mojego miejsca zamieszkania. W Chester Beach można było spotkać dwa typy ludzi: hipisów oraz hipisów. Moja babcia Karen zaliczała się do kategorii hipisów. Jak jeszcze żyła, wyciągała mnie z łóżka o haniebnej godzinie, żebyśmy razem powitały wynurzające się z wody słońce. Ponieważ nienawidziłam wcześniej wstawać,

złorzeczyłam przez całą piętnastominutową jazdę, ale potem usta zamykał mi widok słońca pojawiającego się nad oceanem i barwiącego niebo na żółto, czerwono i pomarańczowo. Zawsze lubiłam Chester Beach. Przypominało mi o babci. Nawet teraz o niej myślałam, choć jechałam zdezelowanym minivanem z chuderlawym dzieciakiem o sterczących zębach, który emitował światło przywracające mi wzrok w promieniu jakiegoś metra z kawałkiem, oraz jego dziwnie uczuciową matką. Więc niedługo myślałam, ale jednak. Ogródek Miltonów był, z tego co zauważyłam, zarośnięty chwastami i krzaczorami. Dom jakby się zapadł, a warstwa białej farby na sidingu popękała i wyblakła. Mosiężna kołatka na drzwiach wejściowych została kiedyś urwana i przymocowano ją z powrotem za pomocą taśmy klejącej. Ale mimo wszystko wewnątrz okazało się przyjazne, a gdy weszłam, nie wystraszył mnie pogłos, jak w moim domu. Odkąd straciłam wzrok, zauważyłam, jakie wydaje dźwięki.

Pachniało tam lekko kadzidłem, a cały przedpokój zajmowały zdjęcia. Wisiały wszędzie i przedstawiały głównie Bena i jakiegoś starszego, przystojnego, ciemnowłosego chłopaka.

– To twój brat? – szepnęłam.

– Tak – odparł radośnie Ben. – Ale ja jestem atrakcyjniejszy i bystrzejszy. – Wskazał na zdjęcia i zniżył głos. – Mama ma szmergla na punkcie zdjęć. Są wszędzie.

Nie przesadzał. Ściany były wręcz nimi wytapetowane. Co ciekawe, większość nieostra albo rozmazana. Wydawałoby się, że wraz z praktyką nabywa się też umiejętności.

Ben poprowadził mnie korytarzem obok starego, wielkiego pianina i dalej do swojego pokoju. W progu się zatrzymał, wyswobodził rękę z kuli i pochylił się usłużnie:

– Witam w moim centrum dowodzenia.

Na pierwszy rzut oka był to pokój mogący należeć do dzieciaka, który za dużo czasu się uczy. Upchnął tu modele układu słonecznego, plakaty Einsteina, gadżety związane z NASA i stosy książek.

– Ben? Powiedz mi, że to nie twoje encyklopedie. – Schyliłam się i

przyjrzałam grzbietom książek na półce. – I że po prostu je przechowujesz, nim twoja mama opchnie je na garażowej wyprzedaży jakiejś pomarszczonej osiemdziesięciolatce.

Machnął wolną ręką.

– Są w moim pokoju, więc oczywiście należą do mnie!

Zaczęłam się śmiać.

– Nie słyszałeś, że wynaleziono nową encyklopedię? Zajmuje bardzo mało miejsca i jest prosta w użyciu. Nazywa się internet. – Podniosłam się i odwróciłam w stronę szafy. Ona wiele mówi o człowieku. Z racji ograniczonego pola widzenia musiałam się zaspokoić tylko prawym kątem, w którym piętrzył się stos czapek z daszkiem, każda z innym napisem. U podnóża tego wzniesienia leżała piłka do nogi. Niepełnowymiarowa, taka dla dzieci, ale mimo wszystko piłka. Z trudem przełknęłam ślinę i odwróciłam się do niej tyłem.

– Internet jest dla mięczaków – odparł Ben. – Zaczęłam czytać encyklopedie, jak miałem osiem lat.

Parsknęłam głośno.

– No, co ty? Czytasz je dla przyjemności? Nieźle! To dość... żalosne.

Nawet nie skomentował.

– A ty, Thero, co czytasz?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Odpuściłam sobie książki. Brajl mnie męczył, nie szło mi to, więc czytałam palcem wyłącznie z konieczności. Głównie w szkole. Ostatnimi czasy kontakt ze słowem pisanym miałam tylko dzięki komputerowi. Spędzałam przy nim całe godziny i próbowałam ustalić, gdzie się odbędzie najbliższy koncert Loose Cannons. Zresztą to też nie bardzo się liczyło jako czytanie, bo komputer czytał za mnie. W końcu odpowiedziałam mu tak, jak bym to zrobiła pół roku temu:

– Czytam tylko to, co jest śmieszne i dobrze się kończy. Nie znoszę smutnych, depresyjnych ani strasznych książek. Od tego jest życie.

Uniósł brwi, jakby chciał stwierdzić: „A więc mamy do czynienia z mieszkanką krainy elfów?”.

– Czyli książek o smokach nie czytasz? – Pokręciłam głową. – O

czarodziejach? – Wywróciłam oczami. – O mistykach? Astronautach? – Zaczęłam parskać. – Rany, Thera! Musisz zacząć żyć! – podsumował z szerokim uśmiechem.

– Mówi dzieciak, który dla przyjemności czyta encyklopedie.

– Encyklopedie są super! – wykrzyknął z oburzeniem. – Po ostatniej operacji kręgosłupa strasznie długo leżałem w szpitalu. Nudziłem się. A jedyną wartościową rzeczą, jaką mieli w bibliotece, był zestaw encyklopedii. Przez dwa tygodnie czytałem literę A. – Z uśmiechem wskazał na pierwszą książkę na półce. Była gruba. – Dużo jest słów na A. Teraz mam własny zestaw. I dotarłem już do R. Nie mam tylko Q. – Zamilkł na chwilę i jego uśmiech jakby przybladł, ale zaraz podjął temat: – Przy R się zrobiło ciekawie. Wiesz, raróg i Arkady Raikin.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć, co to. – Nawet się nie starałam ukrywać rozbawienia.

– Raróg to ptak z rodziny sokołowatych...

– Interesują cię ptaszki?

Kontynuował, jakby nie usłyszał:

– A Arkady Raikin? Nie słyszałaś o nim? To komik z czasów sowieckich.

– Nie miałam przyjemności – odparłam oschle. Tego mi jeszcze było trzeba. Dziesięcioletni kumpel, który zdałby maturę milion razy lepiej niż ja.

Pokręcił głową i zacmokał.

– Thero, Thero, Thero. Nie wiesz, ile tracisz.

Pokiwałam głową. Z tym się nie mogłam nie zgodzić.

5

Potem Ben chciał, żebym poznała jego psa. Nie jestem fanką psów, więc zapewniłam, że nie ma potrzeby, ale nie słuchał. Zostawił mnie z encyklopediami i poszedł do ogródka. Razem z nim zniknęła moja zdolność widzenia. Jak tylko postawił stopę na korytarzu, świat pogrzyżył się w nicości.

Wiedziałam, że w pokoju jest milion rzeczy fascynujących przemądrzałego dziesięciolatka, ale dla mnie istniała tylko piłka. Potknęłam się nie mam pojęcia o co, a potem przywaliłam piszczelą w coś twardego i kanciastego, ale klnąc pod nosem w końcu dotarłam do szafy Bena. Chociaż wpatrywałam się w próżnię, oczami wyobraźni świetnie tę piłkę widziałam.

W tylnej kieszeni spodni zadzwonił mi telefon. Tak się wystraszyłam, że serce podskoczyło mi do gardła i zaparło mi dech w piersi. Sięgnęłam po komórkę i znów pokonałam drogę przez pokój, żeby schować telefon do torebki. Wiedziałam, że to musi być Clarissa Fenstermacher. Koleżanka ze szkoły. Parę tygodni temu pan Huff połączył nas w pary, żebyśmy w czasie wakacji przygotowali pracę na temat analfabetyzmu w Ameryce i od tamtej pory Clarissa dręczy mnie w tej sprawie, a ja robię, co się da, żeby jej unikać.

Nie słyszałam charakterystycznego stukania psich pazurów o podłogę, więc kundel Bena pojawił się w zasięgu mojego widzenia znienacka. Okazał się wielkim, liniejącym żółtym stworem, który aż do kolacji zajmował się obslinianiem Bena. Nie znałam się na psach, ale obstawiałam, że to musi być biszkoptowy labrador albo jakaś wariacja na temat. Kimkolwiek był, szczekał na losowo wybrane przedmioty, jak długopisy, nożyczki i szew na spodenkach Bena, a potem poszedł za nami do jadalni, gdzie uwalił się u jego stóp i

dyszał, jakby właśnie przebiegł maraton, pochłaniając przy okazji całe świeże powietrze w pokoju i wymieniając je na cuchnące psim oddechem. Nie chodzi o to, że nie lubię psów. Po prostu wolę mniejsze, spokojniejsze i czystsze. Z długim, cienkim ogonem i miauczące. To rasa idealna.

Mama Bena przebrała się w zwiewną, niebieską sukienkę, która przy każdym kroku fruwała wokół niej. Wyglądała jak cyganka. Zrobiła enchilady z kwinoą. Wymawiała to słowo jako „kwin-ŁA”. W życiu o czymś takim nie słyszałam i chyba było to widać po mojej minie, bo wyjaśniła, że kwinoa to „zdrowa kasza”.

Tylko że cóż. Generalnie jestem przeciwna zdrowemu jedzeniu. Z mojego doświadczenia wynika, że smakuje jak kurz albo powietrze, czyli jest wstrętne albo bez wyrazu. Poza tym uważam, że dieta o wysokiej zawartości konserwantów przyczynia się do wydłużenia życia, bo jak sama nazwa wskazuje, one konserwują.

Łypiąc jednym okiem na mamę Bena, szybko odwróciłam talerz tak, że enchilada znalazła się na godzinie dwunastej. Zrobiłam to odruchowo, bo akurat teraz nie było mi to potrzebne. Odkąd straciłam wzrok, jedzenie nie przychodziło mi łatwo, ale odkryłam, że jeśli główne danie nie znajduje się na samej górze talerza, gdzie mogę je łatwo zlokalizować, wszystko się wali.

Wzięłam pierwszy kęs enchilady i okazało się, że zupełnie nie przypomina chipsów o tym smaku. Co więcej, jest zaskakująco dobra. Mniej więcej w tej samej chwili usłyszałam zbliżające się do jadalni dudniące kroki. Głośne tupanie dochodziło z lewej strony mojej martwej strefy. Nagle z nicości wyłonił się starszy brat Bena, przystojny chłopak o oliwkowej skórze, którego widziałam już z pięćdziesiąt milionów razy na zdjęciach rozwieszonych w całym domu. Usiadł naprzeciwko mnie.

Gdybym miała go opisać tylko jednym słowem, wybrałabym „duży”. Ale nie gruby! Po prostu duży. Umięśniony. Miał chyba ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i górował nade mną, ważącą czterdzieści pięć kilo i mierzącą metr sześćdziesiąt dwa. Ubrany był w czarny T-shirt z dekoltem w serek, džinsy i gigantyczne buty, w których wydawał się jeszcze wyższy. Ciemne włosy miał w totalnym nieładzie, ale trudno powiedzieć, czy

naturalnym, czy wypracowanym. W każdym razie nie mogłam się powstrzymać od wgapienia się w to, co się działo na jego głowie. Kompletnie mnie olał, tylko nałożył sobie samczą porcję i zabrał się za jedzenie.

Dobra, wiedziałam, że cały ten wieczór mógł być jedynie kreacją mojego mózgu i bardzo możliwe – o wiele bardziej możliwe niż niemożliwe – że wciąż leżałam na podłodze w biurze pana Sturgisa i śniłam albo pogrążałam się w halucynacjach, albo robiłam to, co robią szaleńcy, jak już całkiem tracą kontakt z rzeczywistością. Jasne, pamiętałam o tym.

Ale mimo wszystko!

Coś w tym chłopaku – rzeczywistym albo nie – boleśnie uświadamiało mi wszystkie moje niedoskonałości. To, że jestem za niska, mam zbyt znudzoną minę i rozczochrane włosy. Nie czesałam się przez całe popołudnie i z pewnością na głowie miałam coś, co przypominało męską pachę. Poza tym byłam ubrana w workowate szorty mojej mamy i spraną koszulkę Loose Cannons, a do tego najstarsze znane ludzkości japonki. Prezentowałam się tragicznie.

– Mason, to jest Thera – poinformował Ben brata, wskazując na mnie królewskim gestem.

Mason nawet nie podniósł wzroku, tylko kiwnął głową i rzucił:

– Cześć. – Z jego języka zsunęło się aksamitne i dźwięczne „E”.

Dziwne. Był taki wielki i barczysty, że spodziewałam się po nim chropowatego głosu. Poza tym zabrzmiał znajomo, ale za nic nie mogłam skojarzyć, skąd go znam. Odtwarzałam go w głowie i analizowałam melodię, aż nagle uświadomiłam sobie, że mu nie odpowiedziałam. Jak przystało na niewidomą, spojrzałam gdzieś ponad jego głową i odparłam:

– Cześć. Tak naprawdę mam na imię Maggie.

Wreszcie łaskawie na mnie spojrzał, ale na widok moich niechlujnych włosów, T-shirtu z nadrukiem Loose Cannons i niechlujnego wszystkiego, zrobił dziwną minę. Nie mogłam się zdecydować, co wyrażała. Może gniew? Nie wiem. W każdym razie było to pierwsze ludzkie uczucie, jakie okazał, odkąd usiadł przy stole. Pół sekundy później zniknęło i jego miejsce zajęła domyślna olewka.

Bardziej typowa dziewczyna skuliłaby się na krześle i zarumieniła. Ale ja nie byłam typowa. Zadarłam brodę i odwzajemniłam się taką samą obojętnością, a potem jak gdyby nigdy nic wzięłam kęs enchilady. Nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale uważałam, że to nie mój problem.

– Gdzie chodzisz do szkoły, Maggie? – spytała pani Milton, kiedy akurat udawałam, że mam problem z nałożeniem na widelec porcji nadzienia. Wypatrzyłam w nim coś podejrzanie brązowego. Mięso albo grzyby.

– Do szkoły Merchanta dla niewidomych – oznajmił na cały głos Ben, przesadnie maskując fakt, że zaczęłam widzieć. Potem trącił mnie pod stołem nogą. Fajny dzieciak.

– Tak, do Merchanta – powtórzyłam, bo uznałam, że chyba powinnam odpowiedzieć.

– Mason chodzi do Brighton – radośnie ogłosiła pani Milton.

W normalnej, uprzejmej rozmowie byłaby teraz kolej na Masona, żeby się włączyć i też coś dodać. Ale nie zrobił tego. Kątem oka widziałam jego niewzruszoną obojętność.

Nigdy nie mogłam się pochwalić wybitnym opanowaniem, zwłaszcza jeśli chodziło o takich nadętych buców. Odwróciłam się w jego stronę i spiorunowałam go wzrokiem. Miałam śmierć w oczach. Skrzyżował ramiona na piersi, opadł na oparcie i przez resztę posiłku łąpał na mnie sceptycznie.

Ja bębniłam palcami w blat stołu, wygrywając rytm kapiącej z kuchennego kranu wody. Dobra. Co mnie to obchodzi? Przecież on pewnie i tak w ogóle nie istnieje.

Odezwał się po tym jeszcze trzy razy: „ze śmietaną”, „mhm”, „nie”. Za każdym razem wsłuchiwałam się w aksamitne samogłoski spływające z jego ust. I wściekałam się na siebie za taką reakcję, bo koleś był ewidentnie zarozumiałym ćwokiem.

Siedziałam więc, wygrywałam palcami rytm i jadłam kwinoę z mięsem albo grzybami, kiedy Ben zwrócił się do mamy:

– Jeśli pytasz o wczorajszy trening, to byłem zajebisty. – Zerknął na brata, jakby szukał potwierdzenia: – Co nie, Mason?

Mason mruknął coś, co można było uznać za przyznanie racji, ale pani

Mason spiorunowała Bena wzrokiem i syknęła:

– Benjamin, słownictwo!

Ben westchnął tak ostentacyjnie i tak wyduł policzki, że twarz zrobiła mu się niemal całkiem okrągła. Potem oparł obie dłonie na stole i nachylił się do matki:

– Wybacz, ale pobiłem swój rekord z zeszłego roku. W stylu grzbietowym. Kończę teraz tylko kilka sekund za pozostałymi.

– Pływasz? – spytałam z niedowierzaniem.

Wyprostował się dumnie.

– Należę do drużyny w klubie North Bay Aquatic. Do Delfinów.

– Benjamin ma rozszczep kręgosłupa – zaczęła wyjaśniać jego mama. – Od urodzenia. Dolną połowę nóg ma w zasadzie bezwładną, ale górną połowę ciała nadrabia. Od trzeciego roku życia należy do drużyny pływackiej.

– No, no! Jestem pod wrażeniem – oznajmiłam ciszej niż zamierałam.

Uśmiechnęła się.

– Talent do sportu odziedziczył po ojcu. Ja się potykam, jak idę z psem, ale jego tata był prawdziwym atletą. – Po tym, jak wypowiedziała słowo „był”, uznałam, że pan Milton nie żyje.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Ben kręcił się na krześle, a Mason odchrząknął. Pani Milton nagle zerwała się z miejsca i zawołała:

– Byłabym zapomniała!

Nie wiem, gdzie zniknęła, w każdym razie poza moim zasięgiem, ale chociaż nie sprecyzowała, o co chodzi, Ben i Mason chyba dobrze wiedzieli, co się stanie. Obydwaj jęknęli, przy czym Mason głośniej. Odłożył widelec i potarł czoło. Niespodziewanie jego matka pojawiła się znowu, z aparatem fotograficznym w ręce. W twarze błysnął nam flesz.

– Mamo. – Tylko tyle wycedził Mason w ramach protestu. Jedno słowo.

Zerknęła na niego.

– To wyjątkowy wieczór. Mamy towarzystwo. I enchilady. Życie tak szybko mija, że jeśli go nie uwiecznię... – zamilkła i posmutniała. Potem odetchnęła głęboko, zmusiła się do uśmiechu i podsumowała: – Chcę zapamiętać dzisiaj wieczór.

6

Po kolacji poszliśmy z Benem do jego pokoju, zamknęliśmy za sobą drzwi i graliśmy w gry komputerowe. Okazało się, że rzeczywiście jestem trochę podobna do Thery, nieustraszonej pogromczynie smoków z *Twenty-one Stones*. Tyle, że ona jest od mnie znacznie atrakcyjniejsza, chociaż animowana. Fakt, miała kręcone kasztanowe włosy, jak ja, i jasną skórę, ale do tego uroczy nosek, a nie duży i niekobiecy jak mój. Poza tym miała cycki, a ja ciągle tylko liczyłam, że moje urosną i zaczną wyglądać jakoś sensownie.

Pies Bena położył mu pysk na nodze. Nozdrza wciąż mu się poruszały i wpatrywał się w jego twarz, podczas gdy my graliśmy, co moim skromnym zdaniem było dziwne. Po kilku minutach takiego nieustannego gapienia się wskazałam na sierściucha palcem i spytałam:

– Co jest z tym psem?

Ben odpowiedział nieuważnie i chaotycznie, jak to dzieciak grający w coś na komputerze:

– SZYBCIEJ STRZELAJ SMOK LECI ZASTRZEL GO ALE NIE TAK! Co? Wally? To mój pies. Nie widzisz? Najbardziej lubi mnie. CZEKAJ GDZIE LEZIESZ ZABIJESZ NAS WSZYSTKICH!

– Nie uważasz, że to gapienie się jest dziwne?

Ben wywrócił oczami.

– Wally’ego jakaś gnida zostawiła pod kliniką weterynaryjną, gdzie pracuje mama. Więc go przyprowadziła. Od tamtej pory... ODWRÓĆ SIĘ BO CIĘ SFAJCZY... jest moim psem.

– No dobrze, ale czy on nie powinien robić psich rzeczy? Szczekać, biegać

po ogrodzie, gonić kotów? – mruknęłam, jednym okiem zerkając na Wally'ego.

– To też robi. WALNIJ SMOKA MIĘDZY OCZY TYLKO TAK GO WYKOŃCZYSZ! – Potem zmienił temat: – No dobra. Muszę się o tobie dowiedzieć wszystkiego. Po pierwsze: jakie masz Coś?

– Coś?

– No tak. Każdy ma jakieś.

– Ale w jakim sensie?

– Co cię najbardziej uszczęśliwia? UWAŻAJ ZA TOBĄ! Co sprawia, że jesteś sobą? No, twoje Coś. Moim Cosiem jest oczywiście pływanie.

– Dobra, rozumiem. To łatwe. Piłka nożna. – Kiedyś byłam świetna w nogę. Biegłam jak wiatr przez boisko, dryblowałam wewnętrzną stroną stopy, strzelałam gole.

Zastanawiał się przez chwilę.

– A kiedy ostatnio grałaś?

– Z pół roku temu. Zanim straciłam wzrok – odparłam, trochę jakbym się broniła.

– Czyli to nie jest twoje Coś. Już nie.

Wzruszyłam ramionami. Nie chciałam, żeby jego słowa mnie zaboląły, ale się nie udało. Wniknęły głęboko przez wielkie poszarpane rany, jakie zostawiła po sobie ślepotą. Ścisnęło mnie w żołądku i wyszło mi w ustach.

– To znaczy, że nie mam żadnego Cosia – stwierdziłam z nadzieją, że odpuści.

Ale nie. Odłożył pada i wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. Na ekranie jego bohaterkę spopielał purpurowy smok.

– Ależ Thero. Każdy ma.

– Ja nie mam – upierałam się. Tak się zaangażowałam w piłkę, że niewiele miałam czasu na cokolwiek innego. Chociaż słowo daję, że próbowałam. Letnie obozy jogi. Klub snowboardowy. Dziesięć lat gry na pianinie. A jednak z miliona różnych powodów nic mnie tak nie kręciło, jak piłka.

– A Loose Cannons? – Wskazał na moją koszulkę. – Nie są twoim Cosiem?

– To jest zespół. Nie mogą być Cosiem.

– Dlaczego nie? Jesteś dzięki nim szczęśliwa?

– No tak. Chyba tak. To moja ulubiona muzyka. Ale nie muszą być od razu moim Cosem.

– Byłaś na ich koncercie?

Westchnęłam.

– Nie. – Loose Cannons nie dawali normalnych koncertów. Improwizowali w zupełnie przypadkowych miejscach, jak centrum handlowe czy bank, a potem umieszczali nagranie w internecie. Pięć miesięcy temu, kiedy się pojawili na scenie muzycznej po wrzuceniu na YouTube pierwszego koncertu, obejrzało go milion osób. Drugi koncert – trzy miliony. Ale chociaż teraz już się liczyli, na koncert nadal można się było załapać, jeśli się rozszyfrowało lakoniczne wskazówki, jakie umieszczali na swojej stronie. Co usiłowałam, nieskutecznie, zrobić od miesięcy. – Pójście na ich koncert jest prawie niemożliwe.

Ben pokręcił głową i sięgnął po pada. Postać na ekranie natychmiast się poderwała i biegiem ruszyła przez jaskinię. Mój bohater ruszył za nią.

– Oczywiście, że jest jak najbardziej możliwe.

– Jasne.

– Kobieto. Twoje słowa dogłębnie mnie ranią. Przecież już ich widziałas. A w każdym razie jednego z nich. Mój brat jest ich wokalistą. Mason Milton.

Mason Milton.

Ta wiadomość spadła na mnie i przydusiła jak ciężki wełniany koc. Czyli to już pewne: mam halucynacje. Przez ostatnie miesiące prawie cały czas albo łkałam za utraconym wzrokiem, albo zachwycałam się Loose Cannons.

W czasie upadku po prostu połączyłam te dwie rzeczy.

Nic w tym dziwnego.

Poza tym Mason Milton, którego dzisiaj poznałam, wyglądał podejrzanie podobnie do chłopaka, którego sobie wyobrażałam, słuchając jego głosu. Westchnęłam i odchyliłam głowę. Dobrze. Dobrze! Czas się obudzić albo zrobić to, co robią szaleńcy, jak się zorientują, że oszaleli.

Ale jakoś się nie obudziłam. Siedziałam wciąż na swoim miejscu i byłam szalona.

Pół godziny później do drzwi zapukała pani Milton i uprzejmie

poinformowała Bena, że dokładnie za czterdzieści dwie minuty zamierza go wysadzić przy basenie, więc ma znaleźć kąpielówki i „skorzystać z toalety, bo basen to nie ubikacja”.

Nawet się trochę zawstydził.

– Mamo! Mam mnóstwo czasu. Możemy nawet podzucić Thereę. Ona mieszka... – Odwrócił się do mnie. – Gdzie mieszkasz?

– W Bedford Estates.

Uniósł brwi.

– W Bedford Estates – powtórzył mamie. – Więc mamy mnóstwo czasu.

Usadziliśmy się na tylnym siedzeniu minivana, ruszyliśmy z podjazdu i podałam mamie Bena wskazówki, jak dotrzeć do mojego domu, a wtedy Ben się do mnie nachylił i szepnął mi do ucha:

– Naprawdę mieszkasz w Bedford Estates?

– No tak.

Nasz dom wyglądał właśnie tak, jak można się było spodziewać po tej dzielnicy: skandalicznie wielki i nieco tandetny. Przeprowadziliśmy się tam, jak miałam cztery lata i już wtedy, choć miałam na głowie inne sprawy, uważałam, że jest skandalicznie wielki i nieco tandetny. Prawie cały czas spędzałam w swoim pokoju na górze. Okna wychodziły na wielki klon w ogródku, na skośnym suficie zostało naklejonych kilkadziesiąt świecących w ciemności gwiazdek, a okno było w wykuszu, więc stanowiło idealne miejsce do czytania. Zostały tam tysiące wspomnień, zatrzymanych w pół kroku jak film: na desce korkowej zdjęcia moich przyjaciół, w rogu lekko sflaczała piłka do nogi, stos książek na stoliku nocnym... Odkąd straciłam wzrok, poszłam tam tylko raz i czułam się, jakbym weszła do pokoju obcej osoby, przed którą stało otworem życie pełne możliwości. Potem zamieszkałam w kwadratowym, wygodnym pokoju na dole, który rodzice przygotowali dla mnie przed powrotem ze szpitala.

Wjechaliśmy na nasz podjazd, a Ben się wychylił i tak wykręcił głowę, żeby pooglądać dom. Wydał przeciągły gwizd.

– Nieźle – orzekł, jakby oceniał trik na deskorolce albo nową grę.

A potem oboje zamilkli i czekali, aż wysiądę.

Z trudem przełknęłam ślinę. Nadszedł koniec. Kilka ostatnich godzin było spełnieniem marzenia i przetoczyło się przede mną jak pociąg towarowy z ładunkiem normalności. Ale tamte minuty i sekundy minęły, a ja czułam, jakbym je zmarnowała. Nie byłam gotowa, żeby to stracić. Jeszcze raz przełknęłam ślinę, tym razem głośniej, i rozejrzałam się wkoło. Patrzyłam na tył głowy pani Milton, na chude nogi Bena i popękane fotele.

– Wiesz co, Thera? Spóźnię się na basen – podsunął Ben.

Drgnęłam.

– Jasne. – Sięgnęłam do klamki i postawiłam drżącą nogę na podjeździe. Ostatnie, bolesne spojrzenie na kolory, kształty i na życie w ogóle. Potem się pożegnałam.

7

Pierwsze słowa dziadka, jakie usłyszałam tego wieczoru, skierował do telewizyjnej aukcji samochodów:

– Dodge ram z osiemdziesiątego szóstego. Złom!

Dobrze, tak naprawdę pierwsze słowa brzmiały: „Dzwonił tata. Pytał, gdzie się podziewałaś całe popołudnie i czemu nie odbierasz telefonu”, ale nie chciało mi się tym teraz zajmować, więc zwróciłam uwagę dopiero na ten komentarz o złomie.

Leżałam na kanapie w pozycji niegodnej damy. Nogi, włosy i myśli miałam poplątane. Mój kot, Louie, najleniwszy przedstawiciel swego gatunku na tej planecie, leżał obok mnie w charakterze wielkiej, śpiącej szopy futra. Dziadek jak zwykle zagarnął dla siebie podniszczony fotel taty. Zajmował go aż do jego powrotu z pracy. Gdybym nie wiedziała, jak jest naprawdę, uznałabym, że rewanżuje się w ten sposób za wszystkie stresy, na jakie tata go naraził w dzieciństwie, ale ponieważ tata to najspokojniejszy człowiek na świecie, jedyne, za co dziadek mógł się mścić, to totalna nuda.

Dziadek, jako telewizyjny nazista, za prawo do obsługi pilota gotów był oddać życie, więc to on mnie skazał na tę aukcję samochodów. Zresztą przecież nie zwracałam na nią uwagi, zajmowałam się... W sumie sama nie wiem czym. Chyba próbowałam sama siebie przekonać, że to, co mnie dzisiaj spotkało, wydarzyło się naprawdę.

Kiepsko mi szło.

Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej niedorzeczne mi się to wydawało. No, błagam! Walnąć się w głowę i nagle odzyskać część wzroku? A do tego

zupełnym przypadkiem Mason Milton okazuje się bratem Bena? Jasne, że to jedynie wytwór mojego umysłu!

Tylko że...

Gdzie spędziłam całe popołudnie, jeśli nie u nich? I jak się dostałam do domu z biura pana Sturgisa?

– Dziadku? – odezwałam się niespodziewanie. – Widziałeś samochód, którym przyjechałam?

– Nie. A co? – zainteresował się.

– Nic, tak pytam. – Wytarłam dłonie o kanapę i zastanowiłam się, jakby tu zmienić temat. – Co dzisiaj robiłeś?

– Wybrałem się na pogrzeb Manny’ego Graysona. – Dziadek się pasjonował pogrzebami: jaką kto miał trumnę, co sobie napisał na nagrobku i tak dalej.

– Kto to jest Manny Grayson?

– Przyjaciel Hanka. Hank mnie wziął jako osobę towarzyszącą.

Zmarszczyłam nos.

– Osoba towarzysząca na pogrzebie...?

Dziadek nie zwrócił uwagi na mój komentarz.

– W czasie mszy grali polkę. – Parsknął pogardliwie. – Polkę! Jezu. Kto gra taką tandetę?

Skrzywiłam się w duchu. Ja gram. A raczej: grałam. Nie z własnej woli, ale mój były nauczyciel pianina, pan Hawthorne, darzył wielką miłością beznadziejną muzykę. Problem w tym, że ja nie potrafiłam wydobyć z instrumentu czegoś tak koszmarnego. Więc nie wydobywałam. Za to improwizowałam w wielkim stylu. Mieszałam koncerty i mazurki, chwytając w locie nuty jak liście na wietrze, ale moja kreatywność nie znajdowała uznania u pana Hawthorne’a, więc po dziesięciu latach wyklócania się z nim na temat skostniałej teorii gry znudziło mi się i odeszłam. Trudno stwierdzić, komu bardziej ulżyło.

Punktualnie o wpół do ósmej do domu weszła mama. Nie wiedziałam, która godzina, ale znałam moją mamę, wyznawczynię absolutnego rygoru. Po przelotnym powitaniu – pogłaskała mnie po głowie – zasiadła na podłokietniku kanapy i westchnęła.

Energicznie postawiłam stopy na podłodze, a mój kot wylądował na dywanie, rozkraczony i zdruzgotany.

– Cześć, mammo. Jak minął dzień?

– Jestem wykończona. – Ostatnio codziennie odpowiadała tak samo, chyba po to, żeby nie rozmawiać o pracy. Była trenerką damskiej drużyny piłki nożnej Uniwersytetu w Connecticut. Odchrząknęła i zmieniła temat: – Dzwoniła dzisiaj do mnie Hilda, żeby umówić z tobą spotkanie. Zostawiła ci kilka wiadomości, ale podobno nie oddzwoniłaś. – Milczałam, więc kontynuowała: – W każdym razie przyjdzie tu jutro o jedenastej.

– Rano??? Już się umówiłam. – Co było oczywiście nieprawdą. Ale przecież gdybym chciała, mogłabym to zrobić.

Może i brakowało mi wielu przydatnych umiejętności, ale za to w kłamstwie osiągnęłam mistrzostwo. Niestety, moja mama też dobrze o tym wiedziała. Niemal słyszałam, jak jej brwi unoszą się w górę.

– Z kim?

– Z kimś.

– No to odwołasz spotkanie – skwitowała zmęczonym głosem. Później zadzwonił jej telefon. Asystentka. Warknęła, wstała i odeszła, wdając się w rozmowę na temat podania do tyłu, podania przez boisko i ataku na bramkę.

Kiedyś mama grała w piłkę nożną w damskiej reprezentacji. Na pozycji pomocnika, i była najszybsza. Mieliśmy na dowód całe pudło płyt z nagraniami meczów. Jak byłam bardzo mała, w nocy schodziłam do piwnicy, włączałam telewizor, wyciszałam dźwięk, a potem nakrywałam się szydełkowym kocem i oglądałam. Traktowałam ją jak bohaterkę. Największe i najwspanialsze wspomnienie związane z mamą pochodzi z czasów, gdy miałam pięć lat. Jesienny dzień, niebo bez chmurki, tak błękitne, że nierzeczywiste. Drużyna mamy gra z Norwegią w ćwierćfinałach Mistrzostw Świata Kobiet, odbywających się w Ameryce. Komentatorzy typowali zwycięstwo Norwegii, ale mama im pokazała, jak bardzo się mylili. Strzeliła jedyne goła w tym spotkaniu. Gdy rozbrzmiał gwizdek kończący mecz, mama jak wiatr zbiegła z boiska i niczym smuga składająca się z potu, uśmiechu i spiętych w kucyk włosów, pomknęła na trybuny. Złapała mnie,

posadziła sobie na ramionach i obniosła po całym boisku. Nigdy nie zapomnę, jak się czułam: silna, ładna, mądra.

Tego samego wieczoru na parkingu pod stadionem jakiś cwaniaczek wpadł na mamę, popchnął ją, wyrwał jej torebkę i zaczął uciekać. Tak, tata szedł z nią. Stał jak cieleń, gdy koleś zwiewał. Ale mama za nim ruszyła, wrzeszcząc na cały głos. Wkrótce go złapała. Chwyciła go za rękę, wyrwała mu torebkę i wycedziła przez zęby: „Matka na pewno jest z ciebie bardzo dumna!”. Potem trzasnęła go tą torebką w głowę i odeszła.

Nie mogłam się na nią napatrzeć tego dnia. Widziałam w niej boginię. Czarodziejkę. Pewność siebie i energia, którymi emanowała na boisku, przenikały do wszystkiego, czego dotknęła. Mogła zrobić wszystko, być wszystkim, pokonać każdego wroga, a ja najbardziej na świecie chciałam być taka jak ona. Kilka dni później, tuż przed półfinałami, zerwała ścięgno Achillesa. Aż za dobrze pamiętam, jak zacisnęła wargi na wieść, że już nigdy nie wróci do zawodowej gry. Znałam ją jako silną i opanowaną, więc nie spodziewałam się, że uraz tak ją zmieni. Dlatego następne tygodnie wydawały mi się takie dziwne. Oddaliła się. Zamknęła w sobie. Twarz miała udęconą, a rysy wyostrome. Nie widywała się z przyjaciółmi, chowała się w pokoju, całe dni chodziła w pizamie. Nie znałam jej takiej i bałam się. Tata zapewniał, że wszystko będzie dobrze, ale że teraz mama przeżywa żalobę, bo jej marzenia, zdolności i jej siła umarły.

Ale poprawa nastąpiła dopiero, jak skończyłam sześć lat i sama zaczęłam grać w piłkę. Nie miałam jak ona naturalnej smykałki. Spędzałam na dworze długie godziny. Bez końca bębniłam piłką w drzwi od garażu i udoskonalałam pracę stóp. „Źle to robisz”, odezwała się któregoś dnia z tylnego ganku, kiedy usiłowałam dokończyć strzał na wymyśloną bramkę. Spojrzałam na nią, ale chociaż miała rozczochrane włosy i wymięte ciuchy, w jej oczach coś się zmieniło. Pojawiła się nadzieja, tęsknota, a może potrzeba?

Podrapałam bąbel po ugryzieniu komara na obojczyku i spytałam, czy mi pomoże.

Potem poszło już z górki.

Zaczął się poprawiać z chwilą, gdy zeszła z ganku. Moje umiejętności

zresztą też wzrosły. Okazała się niezmordowaną trenerką, a ja, z piłką przy nodze, zmieniałam się w demona i zaliczałam osiem, dziewięć albo dziesięć goli w meczu. Uwielbiałam jej minę, gdy trafiałam do bramki. Tę samą, którą kochałam kiedyś: jasne oczy pełne życia i energii. Już wtedy rozumiałam, że stałam się jej drugą szansą. Wyobrażałam sobie siebie, składającą się z potu, uśmiechu i włosów spiętych w kucyk, jak zbiegam z boiska i lecę do niej na trybuny po ostatnim gwizdku w finale Mistrzostw Świata. Żeby z nią świętować. Żeby jej dać to, co jej zostało odebrane. Oddać życie, jakie straciła.

Ale sześć miesięcy i pięć dni później znów wszystko się zmieniło. Po raz drugi straciła marzenie.

Niewiele kojarzę z pierwszego tygodnia w szpitalu, ale to, co ważne, zapamiętałam. Równy rytm piszczących za mną maszyn. Unoszący się w powietrzu gęsty smród choroby. Uczucie, jakby moja głowa została przecięta na pół przy użyciu zardzewiałej siekierki. Ale najwyraźniej zanotowałam podsłuchaną rozmowę, której nie powinnam była słyszeć.

– Myślisz, że już wie? – spytała pielęgniarka, poprawiająca mi pościel.

Po podłodze przetoczyło się coś ciężkiego. Czułam na twarzy oddech pachnący kawą, gdy druga siostra odparła:

– Że straciła wzrok?

– Nie. Że jej matka wyjechała

Ciężkie westchnienie.

– Ona mało co teraz kojarzy.

– Co to za matka, która wyjeżdża, jak jej dziecko jest w szpitalu? Kim trzeba być?

W pierwszej chwili nie uwierzyłam, że mama to zrobiła. Jednak przez kilka następnych dni, kiedy leżałam oszołomiona lekami, nasłuchiwałam, wyczekiwałam perfum o zapachu świeżej pościeli, dotyku jej dłoni i słów, że wszystko będzie dobrze. Ale się nie doczekałam.

Tata był przy mnie prawie przez cały czas. Czułam u boku jego kojącą, niewzruszoną obecność i słyszałam, jak się szeptem modli. Zawsze to robił. Znaczący modlił się. Chociaż wydawał się tak racjonalną i twardo stojącą na

ziemi osobą, że pewnie mało kto by go o to podejrzewał. Ale z tych chwil w szpitalu bardzo wyraźnie pamiętam jego modlitwę za mnie i za mamę.

I za „żyli długo i szczęśliwie”.

Ziściło się. Prawie.

Kiedy wreszcie zaczęło mi się poprawiać, mama pojawiła się znikąd i zaczęła się skarżyć lekarzom, że dają mi za mało środków przeciwbólowych i marudzić na temperaturę na sali, a ja nie byłam już pewna, czy sobie tego wszystkiego nie wymyśliłam. Kiedy mnie wypisali, uznałam, że raczej tak.

8

Następnego dnia rano siedziałam właśnie przed komputerem, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Zignorowałam go. Oduczyłam się reagowania na dzwonek. Ryzyko było za duże: mógł to być papież albo seryjny morderca. Nie mogłam tego w żaden sposób sprawdzić, nie istniał wizjer, przez który mogłabym zerknąć. A poza tym dopiero się zwlekłam z łóżka i siedziałam całkowicie pochłonięta stroną internetową Loose Cannons, z której się dowiedziałam, że wczoraj wieczorem grali na dachu opuszczonego budynku w Bridgeport.

A ja to przegapiłam.

Główna różnica między komputerem moim a widzącej osoby polegała na tym, że mój wyposażono w program odczytujący na głos wszystko, co widniało na ekranie. Każdy link, każdy fragment tekstu. W praktyce wyglądało to tak, że przedzieranie się przez stronę trwało w nieskończoność. Używałam skrótów klawiaturowych, żeby znaleźć... no właśnie. Nic.

Podobno wskazówki, gdzie odbędą się następne koncerty, gdzieś się znajdowały, ale ja nigdy żadnej nie znalazłam. Dzisiaj pojawił się krótki wpis z podziękowaniem dla fanów, którzy przyszli. Chyba nic nie zostało zaszyfrowane. Kilka cytatów z zeszytygodniowych tekstów prasowych dotyczących zespołu. Też nic. Link do nagrania z koncertu umieszczonego na YouTube.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

Kliknęłam w link i pokój wypełniły pierwsze dźwięki *Lucidity*, piosenki otwierającej wczorajszy koncert. Westchnęłam i zjechałam niżej, do

komentarzy. Fani dopuszczeni do wiedzy tajemnej zawsze się tutaj zbierali i beczelnie chwalili obecnością na koncercie. Dzisiaj też. Jakaś superfanka o pseudonimie Pink Pistol szczyciła się zdobytym po koncercie autografem Masona. Niejaki Tommy X oświadczał, że było „genialnie”. Dalej kilkoro durnowatych cwaniaczków, do których i ja się zaliczałam, błagało Pink Pistol i Tommy’ego X, żeby zdradzili, gdzie znaleźli wskazówkę.

Dzwonek znów zadzwonił.

Odpowiedź Tommy’ego X: „Nie mogę popsuć całej zabawy i zdradzić Wielkiej Tajemnicy. Powiem tylko, żebyście szukali głębiej”.

Westchnęłam z irytacją. Od miesiący przedzieram się przez tę stronę. Od miesiący! Znam ją na wylot. Gdyby tu była jakaś wskazówka, płycej albo głębiej, już bym się chyba na nią natknęła.

Dzwonek.

I znów.

I znów.

Zakląłam pod nosem, zerwałam się i ruszyłam do drzwi. Moje dobre maniery nigdy nie nadążały za niewyparzonym językiem, więc gwałtownie otworzyłam, by objawić się stojącemu w progu w pełnej chwale – włosy, które wyglądały, jakby miotają się w nich wiewiórka, nieprana od miesiąca piżama godna bezdomnego oraz mina sugerująca, że na końcu języka mam brzydkie pięcioliterowe słowo – a potem warknęłam:

– Nie znam angielskiego. – I zatrzasnęłam je ponownie.

Przez jakąś sekundę albo dwie panowała cisza, a później zza drzwi dobiegła znajoma melodia głosek:

– Ja też nie.

Szybko otworzyłam drzwi.

– Hilda! – wysapałam. – Zapomniałam, że masz przyjść.

– Uch – sapnęła i wepchnęła się do domu.

W czasie naszego pierwszego spotkania, zaraz po tym, jak straciłam wzrok, wpadła do domu jak huragan, nakazała rodzicom poprzestawiać meble, krótkimi warknięciami wydała dyspozycje przeorganizowania kuchni oraz szaf i zmusiła ich do zniszczenia szafek słowami w alfabecie Braille’a. Wszystko

to wydawało mi się bardzo zabawne, ale kiedy zabrała się za mnie, nasze stosunki zaczęły się psuć.

– Zakładaj buty i bierz laskę – poleciła burkliwie. – Dzisiaj wychodzimy na zewnątrz.

– Ale po co?

– Uczyć się.

Lekceważąco machnęłam ręką.

– Wewnątrz jest mi całkiem dobrze.

– Pff! – parsknęła. – Nie możesz do końca życia siedzieć w domu.

Ależ oczywiście, że mogę! Tutaj byłam mistrzem świata. Wiedziałam, gdzie iść, co jest w każdej szufladzie i które kroki są czyje. Nawet nie potrzebowałam laski. Ale na zewnątrz? No tak, to już co innego. Nie miałam najmniejszej ochoty dawać przedstawienia na środku chodnika.

– Ostatnio stałam się domatorką.

– Idziemy! – warknęła.

Ta kobieta potrafiła zepsuć poranek tak samo, jak Hitler ideę wąsów.

Westchnęłam głośno i powlokłam się ubrać do swojego pokoju. Parę minut później z butami w ręce opadłam na kanapę i spytałam:

– Dlaczego musimy gdzieś iść?

– Żeby się nauczyć chodzić po ulicy.

Skrzywiłam się.

– Czyli będziemy łązić tam i z powrotem po chodniku, żeby ludzie mogli się na mnie napatrzeć, zanim mnie staranują?

Mruknęła coś pod nosem.

– Możemy odwiedzić jakąś twoją przyjaciółkę. Znasz kogoś w okolicy?

Przyjaciółka...

Poczułam gorzki smak w ustach. Większość moich „przyjaciółek” poznałam w drużynie piłkarskiej. Odkąd straciłam wzrok, traktowały mnie jak przypadek, którym powinna się zająć jakaś fundacja charytatywna, i stały się częścią mojej przeszłości; w teraźniejszości ich zabrakło. Nawet te dwie najbliższe, Sophie i Lauren, dyskretnie się oddaliły i pozostawały poza moim zasięgiem, tak jakby czekały na cud.

Ale cud nie następował.

Tymczasem ja musiałam się nauczyć żyć na nowo: ubierać się, jeść, brać prysznic, rozpoznawać przedmioty. Stawiać pierwsze kroki we wszechobecnej, niezidentyfikowanej nicości. Zresztą, prawdę mówiąc, za bardzo się wstydziłam pierwszych sukcesów, żeby się nimi dzielić z Sophie i Lauren. Jakby to brzmiało: „Ej, dziewczyny, wiecie co? Nauczyłam się dzisiaj, jak używać widelca, nie wydłubując sobie oczu!”? W związku z tym o czynionych postępach informowałam Hildę, ale tylko dlatego, że to ona mnie zmuszała do roboty.

- Gotowa? – spytała krótko.
- Nie bardzo.
- Nie możesz się do końca życia chować.
- Właśnie, że mogę!

Słyszałam, jak drobi przede mną tam i z powrotem. Zawsze tak robiła, kiedy ją wyprowadzałam z równowagi. W końcu wypaliła:

- A za dziesięć lat co będzie?

Głosik w mojej głowie, który zawsze mnie zachęcał do mówienia nieuprzejmych, ale za to bardzo zabawnych rzeczy, namawiał, żebym ją spytała, czy to podchwytliwe pytanie, ale w końcu postanowiłam się powstrzymać. Chociaż nie miałam żadnych naukowych dowodów, podejrzewałam, że Hilda jest najsztwywniejszą osobą na tej planecie.

Milczenie wzięła za niepewność, więc dopowiedziała:

- Chodzi mi o twoje życie. Jaką masz wizję przyszłości.

Grzebałam dużym palcem w dywanie. O przyszłości zamierzałam myśleć najwcześniej w przyszłości, nie prędej. A może nawet w życiu po śmierci. Żeby zyskać na czasie, dopytałam:

- Chodzi pani o rodzinę, pracę i takie tam?
- Poczułam na twarzy jej nieprzyjemny oddech.
- Tak. Takie tam. Twoja przyszłość.

Machnęłam ręką, jakby nie było o czym mówić:

- Na szczęście jeszcze przez jakiś czas nie muszę się tym martwić.

Chrząknęła tak energicznie, że aż się wystraszyłam, czy nie zdarła gardła,

doznając krwotoku wewnętrznego.

– Musisz zacząć planować już teraz! – A potem rozwodziła się nad stanowym uniwersytetem w Missouri, uznanym za najprzyjaźniejszy college dla niewidomych, i nad możliwością posiadania satysfakcjonującej pracy, męża i dzieci. Mogę przecież jeździć do pracy transportem publicznym, załatwiać swoje sprawy na mieście itp. Aż nagle uświadomiłam sobie, że zagłusza ją pewna myśl: za nic w świecie nie chcę tak żyć.

9

Przed wyruszeniem na bój ze zdrazieckimi latarniami i hydrantami, o które się cały czas potykałam, zostawiłam telefon w pokoju na łóżku. Po powrocie zastałam dziesięć nieodebranych połączeń i dwie wiadomości w poczcie głosowej. Wszystkie z tego samego numeru. Z telefonem w ręce przeszłam aż do przesuwanych drzwi na ganek. Usiadłam na drewnianym schodku i zaczęłam odsłuchiwać nagrania.

Pierwsze zaczynało się od słów: „Thera? Tu Ben”.

Ben!

Ręce zaczęły mi się tak strasznie trząść, że z trudem utrzymałam telefon, gdy Ben mówił dalej:

– No wiesz, Ben Milton. Twój chłopak. Kojarzysz? Czarujący, przystojny? No dobra, mam dla ciebie jedno słowo: doritos. – Tu zamilkł, żeby wrażenie było większe, a potem kontynuował: – Chodzi mi o to, że właśnie przeżyłem jedną z tych chwil. Tych, wiesz, o których zawsze mówi Oprah. Dotarło do mnie, że doritos to najlepsze chipsy świata. – Seria chrupiących dźwięków prosto w słuchawkę, jakby Ben chciał mnie pozbawić słuchu za pomocą paczki chipsów. – Idealna proporcja soli. Intensywny smak. Doskonale się sprawdzają z wodą, mlekiem, sokiem albo napojem gazowanym. A jeśli nie umyję zębów po jedzeniu, czuję ich smak przez jakieś dziesięć godzin. Co może być lepszego niż wielogodzinny smak chipsów w ustach? Nic. Dokładnie tak, nie ma nic lepszego. To ideał. I uważam, że dzieło sztuki, zwane jego doskonałością doritosem, może się okazać twoim Cosiem. Zjedz natychmiast całą paczkę. Chociaż nie. Nie chodzi o to, żebyś po prostu jadła. Musisz je

spożyć, doceniając na bieżąco ich wybitność. Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz mogła. Do widzenia.

Siedziałam tak z telefonem przy uchu jeszcze długo po zakończeniu wiadomości i starałam się zapanować nad rosnącą we mnie nadzieją. Co nie przychodziło łatwo, bo osobowość Bena niemal wylazła z telefonu i mną potrzęsnęła.

On naprawdę istniał.

Ale to jeszcze nie znaczy, że go widziałam.

Zaczęłam obgryzać paznokcie i zabrałam się za drugą wiadomość:

– Thera? Powinnaś się trochę zainteresować kwestią danych osobowych, bo każdy psychol może znaleźć twój numer telefonu w sieci. Nie, żebym ja nim był. Jestem chyba najmniej psychotyczną osobą, jaką znam. – Zamilkł, jakby czekał, że stanę w obronie jego honoru i potwierdzę. – Nieważne. Chciałem cię spytać, czy wiesz, kiedy facetom zaczynają rosnać włosy pod pachami. Ja mam chyba jakąś chorobę pach, bo nie mam ani jednego włosa. Ani pół! A poza tym, jesteś moją dziewczyną, a w ogóle nie odpowiadasz na moje telefony! To tyle.

Uspokój się, upomniałam się, zapisując jego numer w pamięci komórki. To nic nie znaczy. Jeszcze nie.

Oddzwoniłam. Odebrał po jednym dzwonku.

– Thera, moja miłości! – pawie wrzasnął.

– Ben! – odwrzasnęłam, uśmiechając się jak wariatka.

– Próbowałaś doritosów?

– Nie, jeszcze nie miałam okazji. – Czułam się dziwnie, jakbym odzyskała kolejny fragment prawdziwej siebie, który kilka miesięcy temu został ze mnie wydarty.

Westchnął.

– Thera, to jest poważna sprawa. Nie masz żadnego Cosia. Nie możesz tak sobie chodzić po świecie, go nie mając. To sprzeczne z naturą. Zacznieś kuleć albo dostaniesz ataku kaszlu. – Gdy wybuchłam śmiechem, Ben ryknął: – To nie są żarty, Thera! Nie lekceważ tego! Każdy powinien mieć Coś. Kurde, nawet Mason go ma!

Mason. No dobra, to mi zamknęło usta.

Poderwałam się i zaczęłam chodzić tam i z powrotem po ganku, a moje japonki akompaniowały mi radosnym klapaniem, zupełnie niepasującym do ściśniętego żołądka. Jeśli Ben był prawdziwy, to Mason...

– Nieważne. – Ben znów zagryzł chipsem. – Pomyślałem sobie dziś rano: Thera na pewno chciałyby dziś zobaczyć mój trening pływacki.

– Chciałabym? – Oczywiście, że tak. Odkąd wczoraj pożegnałam się z Benem, wyhodowałam sobie stado nowych wrzodów. Gotowa byłam uwierzyć, że to moja roz hulana wyobraźnia powołała go do życia. Chciałam tego tak długo, że w końcu mózg się nade mną zlitował i sam w to uwierzył. Musiałam się dowiedzieć, czy to możliwe, że wraca mi wzrok. Brakowało mi danych.

– Tak jest. Chciałabyś – potwierdził Ben. – Dzisiaj o czternastej, North Bay Aquatic Club. Do zobaczenia. – I się rozłączył.

Znałam to miejsce. Jako czternastolatka miałam parę lekcji pływania, bo moja mama uznała, że przed początkiem sezonu przyda mi się urozmaicenie treningu kardio. Mój instruktor okazał się gościem w średnim wieku, wielkim i gruzłowatym, o budowie worka na śmieci pełnego orzechów. Przez cały czas miał kwaśny, ale lekko zdziwiony wyraz twarzy, jakby napił się czegoś, co brał za sprite'a, a okazało się sokiem grejpfrutowym.

Na pierwszej lekcji popełnił wielki błąd taktyczny i nauczył mnie dryfowania na plecach. Od tej chwili było po mnie. Po co się szamotać, walczyć o oddech i ulepszać już i tak doskonałe zdolności piłkarskie, skoro można sobie po prostu leżeć na plecach i spokojnie unosić się na wodzie? Dryfowałam tak przez całą pierwszą lekcję, a potem przez wszystkie następne. Najlepiej zmarnowane dwieście dolarów mojej mamy.

Dziadek zaparkował przed North Bay Aquatic Club, a ja usiłowałam się powstrzymać przed przeczesywaniem niewidzialnej okolicy w poszukiwaniu mojej nadziei na wzrok, ale mi się nie udało. Nic nie widziałam, ale robiłam się coraz bardziej spięta, gdy dziadek wysiadł i zaczął mnie prowadzić na

basen.

Chyba byłam nienormalna.

Wsadzą mnie do domu bez klamek, gdzie będę do końca życia siedziała razem z innymi oszołomami, kiwała się w świetlicy i robiła na szydełku koronkowe serwetki.

– Zaprowadzić cię na trybuny? – spytał dziadek.

W tym właśnie momencie objawił mi się Ben. Może ktoś go zasłaniał, a może ja stałam pod złym kątem, ale nagle go zobaczyłam. Szedł na bosaka wzdłuż basenu pełnego kobaltowo błękitnej wody. Obok kroczył jakiś kudłaty chłopiec i obydwaj się z czegoś zaśmiewali.

Aż mnie zatkało.

– Dobrze się czujesz, mała? – spytał dziadek.

– Tak – mruknęłam. Bo to prawda. Czułam się dobrze. I całkiem poczytalnie.

Czułam na łokciu spoconą dłoń dziadka i słyszałam rytm wytupywany przez widzów na trybunie. W powietrzu unosił się zapach chloru i balsamu do opalania z masłem kakaowym. Poza tym widziałam Bena. Wszystkie doznania zaatakowały mnie jednocześnie. A ja wciąż byłam całkiem poczytalna.

– Mags! – krzyknął dziadek tak niecierpliwie, że chyba musiał powtarzać to już któryś raz. – Zaprowadzić cię na trybuny?

Machnęłam ręką i pożegnałam się z nim. Chciałam zostać tu, gdzie stałam, gdziekolwiek to było, bo nagle spłynęło na mnie olśnienie. Jeśli naprawdę widziałam teraz Bena – naprawdę! – to dlaczego nie mogłabym widzieć w innych okolicznościach? Nadzieja nadęła mi się w piersi jak balon gorącego powietrza.

Mogłabym wrócić na boisko.

Odzyskałabym przyjaciół.

Szkołę.

Życie.

Nagle dźgnęło mnie w biodro coś, co sięgało mi mniej więcej do pasa i cuchnęło klejem do papieru i tostami pop-tarts.

– Zamierzasz się ruszyć z miejsca jeszcze w tym stuleciu? – Brzmiało jak

mała dziewczynka. Pyskata mała dziewczynka. Zamiast odpowiadać, z tylnej kieszeni spodni wyjęłam laskę i jednym ruchem rozłożyłam. – Aha. Dobra. Czyli jesteś niewidoma? – zasepleniła, choć w jej głosie nadal rozbrzmiewał upór.

– Jestem.

– To dlaczego nie masz psa przewodnika? – dociekała.

– A kto mówi, że potrzebuję? – Wpatrywałam się w Bena, kibicującego startującym w rozgrywanym teraz wyścigu.

– Ja! – upierała się. – Ślepi zawsze mają psy. Jak to możliwe, że ty nie masz?

Potałam czoło.

– Bo nie lubię psów.

– Jak można nie lubić psów?

Miałam wielką ochotę ją olać. Ciągnęło mnie do Bena i do mojej odzyskanej szansy.

– Bo się ślinią, linieją i szczekają – odparłam, usiłując jednocześnie ściągnąć go wzrokiem.

Coś burczała pod nosem.

– A czemu nie masz czarnych okularów?

Zdrowy rozsądek jest chyba rzadszym zjawiskiem, niż myślałam. Naprawdę nie brała pod uwagę, że mam ważniejsze rzeczy na głowie?

– Nie wszyscy ludzie z uszkodzonym wzorkiem je noszą. – Tak naprawdę każdy robi, jak mu pasuje. Niektórzy noszą okulary słoneczne, bo mają bezbarwne albo uszkodzone tęczówki, a inni są nadwrażliwi na światło. Ale to nie sprawa tego dzieciaka.

– Myślałam, że ślepi powinni być mili. A ty nie jesteś.

Tak, w tym akurat trudno jej było odmówić racji.

Wtedy Ben podniósł wzrok i mnie zobaczył. Uśmiechnął się tak szeroko, że naprawdę się bałam, czy nie zerwał jakiegoś mięśnia w twarzy. Ruszył ku nam, a moje spojrzenie sunęło za nim jak ogon komety. Zatrzymał się tuż przede mną.

W jednej chwili poczułam się znów sobą. Nie mogłam się nie uśmiechać.

Ubrany był w niebieskie kąpielówki, radośnie szczyrzył zęby, a na głowie, na wilgotnych piaskowych włosach, miał bejsbolówkę z napisem: „Głosy w mojej głowie twierdzą, że jesteś kosmitą”.

– Thera! – wrzasnął. Wyglądał jak wyjątkowo wychudzony bocian w kąpielówkach. Składał się wyłącznie z kolan, łokci i innych kości.

– Ben! – odwrzasnęłam, a potem spojrzałam w dół. Ujrzałam tam dziewczynkę mniej więcej sześć-, siedmioletnią, o zaciętym wyrazie twarzy, wyposażoną w ogromną liczbę piegów, ale tylko jedną jedynekę. Marszczyła brwi, ubrana była w dżinsowe krótkie spodenki marszczone w talii, białą koszulkę w serduszka i błyszczącą, purpurową tiarę. Podejrzliwie zacisnęła usta, a ja odwróciłam wzrok, bo zorientowałam się, że gapię się na nią, jakbym rzeczywiście widziała.

Dziewczynka podeszła do Bena i objęła go w pasie, razem z kulami.

– Ben! – krzyknęła.

– Cześć, Samantha.

Zatrzepotała rzęsami.

– Pobawisz się ze mną? Proszęproszęproszę! Nudzi mi się!

– Oczywiście, że się z tobą pobawię. Ale później. – Kiwnął głową w moją stronę. – W tej chwili jestem zajęty Therą.

Łypnęła na mnie ze złością. Uśmiechnęłam się niewinnie do jej ramienia. Obróciła się na pięcie i poszła tam, skąd przyszła. Bardzo możliwe, że wróciła usiąść na kolanach Szatana.

10

Ben przedstawił mnie najlepszemu przyjacielowi i koledze z drużyny, Teddy'emu, niskiemu, kudłatemu chłopcu w takich samych kąpielówkach. Nie mogłam nie zauważyć, że prawa strona twarzy Teddy'ego pokryta jest ściągniętą, zabliźnioną skórą. Wyglądał jednocześnie makabrycznie i fascynująco. Chciałabym móc powiedzieć, że nie jestem typem osoby, która się na takie rzeczy nie gapi, ale prawda jest taka, że nie mogłam przestać. Blizny były... tak bardzo obecne. W końcu odwrócił głowę i włosy przypominające mop zakryły tę część, wybawiając mnie z moralnego potrzasku.

– Jak poznałem Teddy'ego, leżał tyłkiem do góry w szpitalnym łóżku – wyjaśnił Ben po dokonaniu prezentacji. – Hodowali mu skórę na półdupku, żeby potem przeszczepić na twarz.

Jak, na litość boską, miałam zareagować na coś takiego? Zerknęłam na Teddy'ego, którego kompletnie ten temat nie peszył.

– Ojej. To ciekawe – wydukałam w końcu. Oczywiście nie powstrzymałam się od jeszcze jednego rzutu oka. Nie zgadłabym, że skóra pochodzi z dziecięcego tyłka.

– Leżeliśmy razem na sali. Pokój dwieście dwadzieścia dwa w szpitalu Memorial. Byłem na badaniach i dostawałem pierdolca z nudów.

– Nie przeklinaj – pouczyłam, ale obaj trajkotali dalej, jakbym się w ogóle nie odezwała. Rozmowa dotyczyła białego tyłka Teddy'ego. Teddy się upierał, że ma tyłek przystojniejszy od twarzy Bena, a Ben się upierał, że jest bielszy niż białe siekacze niedźwiedzia polarnego. I tak bez końca.

W końcu Teddy oznajmił:

– Przyznaj, stary, zaprzyjaźniłeś się ze mną tylko dlatego, żeby móc mnie z czystym sumieniem nazywać dupkiem. – Śmiałam się tak strasznie, że aż zaczęłam wydawać odgłosy godne delfina.

Później rozległ się ogłuszający komunikat dotyczący następnego wyścigu, a Ben rzucił:

– Musimy lecieć. – Kiwnął głową w stronę basenu: – Lecę, żeby *carpe* swoje *diem*.

– A co ty wiesz o *carpe diem*? – spytałam, chichocząc.

– Wszystko. Czytałem o tym pod C.

Znow zaczęłam się śmiać. Zabrzmiało to jak wykrzyknikowy śmiech Bena. Dziwnie mi z tym było, ale dobrze.

– Za pięć minut jestem w wodzie. – Zasalutował, Teddy się pożegnał i odeszli. Po chwili zniknęli w tłumie dzieciaków w kostiumach kąpielowych.

Pierwsze słowa, jakie skierowała do mnie tego popołudnia mama Bena, brzmiały: „Uważaj, mam na ubraniu psią kupę”. Trochę się zestresowałam, zwłaszcza że powiedziała to podczas jednego ze swoich niespodziewanych ataków przytulania. Na szczęście wcale nie śmierdziała. Pachniała trochę kadzidłem, a poza tym miętą i uprzejmością. Jak tylko się odsunęła, zaprowadziła mnie na metalowe fotele na trybunach. Siedział tam już – ku mojemu śmiertelnemu przerażeniu – Mason. Biorąc pod uwagę, że wczoraj pojawiłam się w jego domu w koszulce Loose Cannons i kiepsko udając niewidomą, musiał mnie uważać za nienormalną fankę, która usiłuje się wkraść w jego życie, zgrywając ślepa, żeby wzbudzić litość jego małego brata. Przerażało mnie to, chociaż przecież to nie była prawda.

No dobrze, może z wyjątkiem fragmentu o nienormalnej fance. W tym sensie, że gdyby dzisiaj udało mi się wytropić jakąś odpowiedź co do miejsca następnego koncertu bym się nie obraziła.

Mason udawał, że mnie nie widzi, kiedy się przywitałam. Chociaż nie, nie mógł mnie nie zauważyć, bo odsunął się tak gwałtownie, że sądząc po

zaskoczonym „ojej!”, chyba wpadł na jakąś panią.

Rozmawiałam trochę bezmyślnie z panią Milton, ale wszystkie zmysły nastawiłam na Masona (usiłując udawać, że tak nie jest). Dosłownie czułam irytację uwalniającą się z jego porów, słyszałam wzburzony oddech.

No, bez przesady!

Dobra, może i ostatnio stał się kimś na kształt celebryty, ale ileż trzeba było arogancji, by podejrzewać, że przyszłam na zawody pływackie tylko po to, żeby się znaleźć obok niego. Gotowałam się w milczeniu i tupałam nogą w rytm przecinających powierzchnię wody ramion pływaków. Niechęć Masona do mnie była wkurzająca, frustrująca i... pochłaniała mnie prawie w całości. Naprawdę myślał, że jestem zwariowaną fanką, czy po prostu uważał mnie za kompletnie nieatrakcyjną? Pewnie i jedno, i drugie. Już dawno darowałam sobie makijaż. Wszystkie te małe słoiczki i tubeczki dawały zbyt wiele okazji do zrobienia z siebie klauna.

Tak czy siak, nie rozmawiał ze mną. Za to z innymi wymieniał uprzejmości. Pomógł nawet jakiejś małej dziewczynce – tak sądziłam – która miała kłopot z wdrapaniem się na fotel.

– Uważaj! – odezwał się, a potem poczułam, jak cały rząd foteli lekko się unosi, kiedy wstał. W jego głosie było coś szczerego, autentycznego. Nie wiem dlaczego, ale poczułam się winna. Jakby skrzywdzona albo obnażona. Nie wiem, o co mi chodziło, ale nie byłam w stanie udawać, że tak nie czuję.

Wściekałam się na siebie, że tak mi zalazł za skórę. Przecież okazał się nie tylko totalnie egoistycznym dupkiem, ale też totalnie egoistycznym dupkiem, który żył w przekonaniu, że go uwielbiam. A bardzo się mylił! Jasne, uwielbiałam jego muzykę. Chętnie oddałabym prawą nerkę, żeby się dowiedzieć, gdzie jego grupa zagra następny koncert. I nie ukrywam, ma fantastyczny głos. Ale to jeszcze nie znaczy, że uwielbiam też jego i posunęłabym się tak daleko, by tylko znaleźć się w jego towarzystwie.

Pani Milton trąciła mnie łokciem.

– Zaraz się zacznie wyścig Bena.

– Tak? – Ukradkiem zerknęłam w jego stronę... Stał niedaleko krawędzi basenu i aż się trząsał ze śmiechu, bo Teddy robił do niego głupie miny. –

Zawsze lubił pływać? – spytałam i jednocześnie trochę się schyliłam, żeby się podrapać po łydce. Niechcący dotknęłam ramieniem ręki Masona. Ten dotyk był ledwie wyczuwalny i trwał sekundę, ale poczułam, jakby między nami przeszedł prąd. Odskokczyłam i skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Niedawno – zaczęła pani Milton trochę niespokojnie – kilka miesięcy temu miał mały kryzys, bo pokłócił się z kimś z drużyny.

Opadła mi szczęka.

– Ben się z kimś pokłócił?! Naprawdę?

– To była dziewczynka – mruknęła pani Milton.

– Ach.

– Ben się w niej zakochał. A wiesz, jaki on jest, kiedy kogoś lubi. Angażuje się cały, nawet jeśli po drugiej stronie brak zainteresowania. Przez wiele tygodni oszczędzał kieszonkowe, żeby jej kupić grę.

– *Twenty-one Stones*? – spytałam, ale natychmiast poczułam, że nie chcę poznać dalszego ciągu tej historii.

– Właśnie – potwierdziła. – Ale kiedy jej ją wręczył, nie zareagowała, jak na to liczył. – Mówiła bardzo spokojnie, ale w jej głosie słyszałam eksplozję instynktu macierzyńskiego.

– Co zrobiła?

– Grę wyrzuciła do śmieci, a jego nazwała... – zamilkła, zebrała się w sobie i dopiero mogła kontynuować: – Nazwała go opóźnionym kaleką. Pękło mu serce.

Ścisnęło mnie w piersi, a w gardle pojawiła się klucha.

– Ona wciąż jest w drużynie? Ta dziewczynka?

– Nie – westchnęła pani Milton. – Trener przywiązuje dużą wagę do stosunków między dziećmi. – Poklepała mnie po nodze. – Nie przejmuj się, skarbie. Dzieciaki w szkole przygotowały go na takie sytuacje. On jest miły, ufny, to łatwy cel. Ale teraz ma Teddy'ego, ma ciebie. Ty dobrze wiesz, jak to jest, gdy życie rzuca kłody pod nogi.

Sztywno pokiwałam głową, zamknęłam oczy i skupiłam się na wzięciu w garść. Mason siedział obok mnie nieporuszony jak kamień, ale czułam na policzku jego oddech. Mogłabym przysiąc, że siedzi twarzą do mnie i na mnie

patrzy. Gapił się?

Schyliłam głowę i na kilka sekund schowałam twarz we włosach. Potem się wyprostowałam. Wciąż czułam na sobie jego wzrok, palący jak słońce na pustyni. Wykręciłam leżące na kolanach dłonie. Czemu się gapi?

Żeby przestać się zastanawiać nad Masonem, wpatrzyłam się w nicość, w miejsce, gdzie Ben przygotowywał się do startu. Siedział na drewnianej ławce przy basenie, taki radosny, że uśmiechy niemal się z niego wylewały. Włożył czerwone okulary do pływania, trochę zniekształcające mu twarz, jak krzywe zwierciadła, od których człowiek robił się gruby w dziwnych miejscach. Wyrzucił w powietrze zaciśniętą pięść i komuś kibicował. W jego zachowaniu było coś, co przepęliło mnie poczuciem odpowiedzialności za niego. Niektórzy ludzie składają się z tylu warstw, że nie wiadomo, kim są. Ale na Bena wystarczyło spojrzeć, żeby zobaczyć wszystko, co czyniło go Benem.

Jak ktoś mógłby chcieć z premedytacją go skrzywdzić?

Gdy przez megafon ogłoszono następny wyścig, Ben zbliżył się do wody. Potem wspiął się na słupek startowy. Poruszał się powoli i uważnie, jakby rozkoszował się każdą chwilą. Kiedy wreszcie się wdrapał, stał tam przez jakiś czas. Następnie oparł się o metalową barierkę, odstawił kule, a potem przeczesywał wzrokiem trybuny, aż nas znalazł. Uśmiechnął się i pomachał.

Odruchowo odwzajemniłam uśmiech i podniosłam rękę, żeby też mu pomachać, ale w połowie drogi się powstrzymałam i poprawiłam włosy.

Za późno. Mason już to zauważył. Warknął.

Uznałam, że trzeba coś z tym zrobić, więc ze wzrokiem utkwionym w basen spytałam niewinnie:

– Wszystko w porządku?

Przez zaciśnięte zęby wycedził, że tak.

No, no! Przynajmniej się do mnie odezwał.

Ben, nieświadomy niczego, wyprostował palce u stóp i pochylił się nad krawędzią. Pani Milton robiła jedno zdjęcie za drugim.

Rozległ się głośny huk, jeszcze głośniejszy chlupot i na trybunach wybuchły oklaski i okrzyki kibiców. W wodzie Ben nie wyglądał na częściowo sparaliżowanego. Wydawał się silny i pewny siebie, jak wszystkie inne

dzieciaki, a jednocześnie tak bardzo od nich różny. Widziałam, jak inni zawodnicy zostawiają go w tyle, ale chociaż poruszał się powoli i rozważnie, miał wyraźną przewagę nad innym pływakiem, tustym chłopcem, którego wyprzedzał o całą długość ciała. Kiedy na końcu basenu robił nawrót przed ostatnią prostą, zerknął przez ramię. A potem stopniowo zwalniał, żeby chłopiec go dogonił.

Nie mogłam w to uwierzyć. Z własnej woli pozwalał mu się pokonać!

W sumie nie wiem, czemu się dziwiłam. Ben... miał dobre serce. Był prezesem Krajowego Stowarzyszenia Czytelników Encyklopedii Britanniki, prezydentem Departamentu Nieustających Wyszczierzonych Uśmiechów i wielką szychą w świecie Pozwalających Wygrać Grubasom.

A ja kim byłam? Nie miałam pojęcia.

11

Jak tylko zezwoliłam sobie na nadzieję, że mogłabym całkiem odzyskać wzrok, ta myśl mnie opętała. Wieczór spędziłam na wyobrażaniu sobie, co by było, gdybym zaczęła znów widzieć. Wróciłabym na boisko, do dawnej szkoły, do popołudni spędzanych z Sophie i Lauren. Zniknęłyby problemy z mamą.

Ale miałam też wątpliwości. Martwiłam się, że sytuacja jest tymczasowa, przelotna. Natura się zorientuje, że doszło do błędu i cofnie mnie do stanu całkowitej ślepoty. Jeśli w porę nie zgłębię tego, co się stało i nie uzyskam odpowiedzi na wszystkie pytania, ta mała wysepka zdrowego wzroku rozmyje się w niebycie tak samo nagle, jak się objawiła.

Podejrzewałam, że spowodowało to uderzenie w głowę, ale nie paliłam się do potwierdzania tej teorii. Przywalić sobie młotkiem, żeby zdobyć kolejną parę centymetrów pola widzenia? Nie, dzięki. Znając moje szczęście, po takim ciosie cofnęłabym się do kompletnej nicości. Poza tym nie mogłam się pozbyć wrażenia, że nie dostrzegam w tych rozmyślaniach czegoś kluczowego. Byłam jak ćma uwięziona pod kloszem lampy. Miotalam się wokół źródła światła, ale nie dostrzegałam szerszego kontekstu.

Gdyby dotarłam do salonu, gdzie dziadek i tata słuchali jakiejś przedpotopowej płyty Beatlesów, wymieniając się znanymi spiskowymi teoriami na temat śmierci Johna Lennona, byłam wyczerpana. Pragnienie zobaczenia Bena wywoływało poczucie winy. Ten dziesięcioletek o złotym sercu nie zasługiwał na bycie wykorzystywanym do odzyskania przeze mnie wzroku. Bez niego nie widziałam nic, kompletnie nic. Chciałam więc znów go

zobaczyć, co z kolei prowadziło do frustracji, że używam Bena do własnych celów... Jęknęłam cicho i schowałam twarz w poduszce.

– Coś się stało, skarbie? – spytał tata.

Już chciałam powiedzieć prawdę, byłam blisko, serio, ale nawet nie wiedziałam, jak to zrobić, żeby zabrzmiało sensownie, więc w końcu odparłam, że wszystko dobrze, tylko boli mnie głowa. Potem wróciłam do siebie i zamknęłam drzwi.

Krążyłam trochę po pokoju. Potem przysiadłam na łóżku. Chwilę słuchałam radia, następnie wstałam, zasiadłam do komputera i zalogowałam się na stronę dr. Darrena.

Nie po raz pierwszy. Zawsze cechowały mnie lekkie skłonności do hipochondrii. W czwartej klasie miałam przez jakiś czas wymyślony nowotwór kciuka. Potem gangrenę na kostce. W gimnazjum zaraziłam się czymś w rodzaju gruźlicy, co moi rodzice olali, biorąc pod uwagę moje wcześniejsze wyczyny. Zrobiłam więc to, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek chory na urojoną gruźlicę: zalogowałam się na stronę Zapytaj dr. Darrena, żeby tam znaleźć zrozumienie.

Z tego, co pamiętam ze zdjęcia, dr Darren był siwowłosym mężczyzną o lekko pomarszczonej skórze i krzaczastych, sterczących brwiach. Na pytania odpowiadał krótko i zwięźle. Na tyle przekonująco, że w moim przypadku skutkowało natychmiastowym wyleczeniem. Tego mi było w tej chwili trzeba.

Sto lat trwało, zanim natrafiłam na sekcję Pytania i Odpowiedzi. Wahałam się przez chwilę, ale potem wpisałam w okienko: „Dzień dobry, panie doktorze. Chciałabym spytać, czy to możliwe, że niewidomy człowiek odzyskuje wzrok po urazie głowy?”.

Czekanie na odpowiedź umilałam sobie obgryzaniem skórki przy kciuku.

Czekałam i czekałam.

I czekałam.

W końcu podniosłam się i zaczęłam krążyć tam i z powrotem po pokoju. Co chwila zacierałam ręce i upominałam się, żeby na nic nie liczyć. Wreszcie rozległ się dzwoneczek oznajmiający nadejście wiadomości. Opadłam na fotel i przewinęłam ekran w dół. „Dobry wieczór, Maggie. Obawiam się, że to

niemożliwe”.

Pomasowałam się po karku, a potem wpisałam odpowiedź: „Nawet częściowo?”. „Co to znaczy?”, spytał. „Widzi się tylko jedną osobę. Powiedzmy, że uderzyłam się w głowę i od tej pory widzę tylko jednego człowieka”. Dr Darren odparł: „Jeśli po urazie głowy nagle zaczęłaś coś widzieć, to albo doznałaś urazu mózgu, albo masz halucynacje. Albo...”. Głos odczytujący napisy z ekranu na chwilę zamilkł. „Albo masz jakieś zaburzenia psychiczne”.

Padłam na łóżko i przedramieniem zakryłam oczy. Właśnie takiej reakcji się obawiałam po zwróceniu się o pomoc. Byłam więc zdana na siebie.

12

Dział damskich środków higienicznych nie był najszcześniejszym miejscem do porzucenia mnie. Ale dziadek gdzieś zniknął. Przyprowadził mnie tutaj, mruczając, że tu znajdę „te rzeczy” że i są naprzeciwno. Potem poinformował, że zaraz wróci, musi kupić coś do wędki i chyba obcinak do paznokci u nóg, ale tego już nie byłam pewna. Generalnie dziadek mówił dość niewyraźnie, więc często go nie rozumiałam.

Mój drugi dziadek, Brian, nazywany był przeze mnie Dziadkiem Powtórka, bo wszystko mówił dwa razy („Jak tam w szkole? Jak tam w szkole?”), więc trudno było cokolwiek przegapić. Dziadek Powtórka mieszkał w Kalifornii i nie bardzo spełniał kryteria dziadkowości, bo był wysoki, szczupły i rzadko przeklinał. Według mnie, żeby być dziadkiem, trzeba być starym, zrędlwym, łysym, wyszczekany i grubym, jak tutejszy dziadek. A przynajmniej mieć piwny brzuch, skłonność do wyrzekania na ludzi, którzy za szybko jeżdżą, i nadużywać powiedzenia „a niech to wszyscy diabli”. W każdym razie ja tak uważam.

Odkąd straciłam wzrok, dziadek został moim najlepszym przyjacielem. Dawał mi to, czego koleżanki w moim wieku nie umiały. Po pierwsze mnie nie żałował, a po drugie nie traktował mnie inaczej tylko dlatego, że nie wdziałam. Nie mogłam tego powiedzieć o moich dawnych przyjaciółkach.

Pół godziny temu wpadł do mojego pokoju z ogłoszeniem, że jedzie do Targetu i pytaniem, czy czegoś nie potrzebuję. Siedziałam już od trzech godzin w internecie i najpierw usiłowałam odkryć Wielką Tajemnicę zgodnie ze wskazówką Tommy’ego X, czyli „szukając głębiej” (cofnęłam się do

pierwszego wpisu na stronie i rozłożyłam go na czynniki pierwsze w poszukiwaniu danych), a następnie, kiedy nic z tego nie wyszło, zaczęłam słuchać mojego komputerowego lektora odczytującego dla mnie hasła z internetowej encyklopedii. Zaczęłam od D, a nie od A, żeby oddać hołd Dead Eddies. Dawno, dawno temu to Dead Eddies wciągnęli mnie do świata muzyki. Ich piosenka, nomen omen pod tytułem *The beginning of it all*, zmieniła moje życie. No więc zaczęłam od D. Kiedy dziadek wpadł z pytaniem o Target, zajęta byłam brnięciem przez literę D i przeklinaniem Tommy'ego X. Oczywiście bardzo potrzebowałam „dziewczyńskich rzeczy”, a dobrze wiedziałam, że dziadek nie skala się kupowaniem ich dla mnie, więc musiałam z nim jechać.

Jeździł półciężarówką, tak starą, że prawdopodobnie jeździł nią do kościoła jeszcze Mojżesz. Ale nie było mowy o sprzedaniu jej. Upierał się, że nowa nie będzie tak solidna, co może i miało sens, bo za kierownicą dziadek nie oszałamiał umiejętnościami. W zeszłym roku miał stłuczkę ze swoim fryzjerem. Wjechał na parking przed salonem, ale zamiast wcisnąć hamulec, dodał gazu. Koniec końców strzyżenie wyszło drogo.

– Mama w pracy? – spytałam dziadka, jak wyjeżdżaliśmy z podjazdu.

– Wyszła o świcie, ma dzisiaj pracować do późna – odparł.

Ścisnęło mnie w piersi, jak zawsze, kiedy spędzała cały dzień poza domem. To pewnie dziecinne i histeryczne, ale odkąd zniknęła podczas mojego pobytu w szpitalu, obawiałam się, że nigdy nie wróci. Czy moja ślepotą odstraszyła ją na dobre? Odchrząknęłam i spytałam o tatę.

– Wyszedł do pracy o wpół do szóstej. – To mnie nie zdziwiło. Tata wstawał skoro świt, żeby się dostać na Manhattan. Pracował jako prawnik, specjalizował się w sprawach własności intelektualnej, cokolwiek to znaczyło. Kiedyś bardzo szczegółowo mi to wytłumaczył, a ja bardzo szczegółowo zapomniałam.

Już po chwili jazdy zaczęłam ziewać. Odkąd straciłam wzrok, zaczęłam częściej ziewać i zastanawiać się, dlaczego tak jest, co wywoływało jeszcze większe napady. Lekarz mi wyjaśnił to zjawisko: ziewałam z powodu nagłej utraty stymulacji. Mój mózg nie miał się czym zająć, więc uznawał, że jest noc.

Innymi słowy: moje życie stało się tak nieznośnie nudne, że lepiej było iść spać.

Teraz ziewałam chyba dlatego, że dziadek mówił o pogodzie, pogodzie, a potem jeszcze trochę o pogodzie. Następnie poinformował, co tam u jego złośliwego kolana. Śpieszę wyjaśnić, że jego kolano nie zostało opętane przez złośliwego ducha, po prostu co jakiś czas się zacinało. W końcu spytał:

– Czemu się spotykasz z tym kulawym dzieciakiem? Na moje oko jest dla ciebie trochę za młody.

Dziadek nie miał funkcji krytycznej analizy swoich myśli. Po prostu otwierał usta i mówił, co mu ślina na język przyniosła. Poprawność polityczna? Zapomnij!

– Dziadku! – wykrzyknęłam, nagle stając się tą moralną w naszym związku.
– On nie jest kulawy! Ma rozszczep kręgosłupa. I jest bardzo dojrzały jak na swój wiek.

Dziadek coś zabalgotał.

– Podobno pływa jak noga.

– Kto ci tak powiedział? – Włączył mi się instynkt opiekuńczy wobec Bena.

– Hank. – Hank to przyjaciel dziadka. Codziennie rano spotykali się na ciastku i kawie.

Potarłam czoło.

– A niby skąd Hank wie, jak Benowi idzie pływanie? – spytałam, chociaż dobrze znałam odpowiedź. Hank był miejscowym królem plotek.

– Syn mu powiedział. Jest listonoszem. – Wywróciłam oczami. – Cała ta rodzina jest dziwna. Ten starszy chłopak... Jak mu tam, Mason? W gorącej wodzie kąpany. Parę lat temu zawiesili go w szkole. Po śmierci ojca. Gra w jakiejś kapeli. Coś z pukawkami w nazwie.

– Z armatami! – wymruczałam, niezadowolona z przypomnienia o Masonie.

Do końca drogi milczałam. A teraz zostałam uziemiona w Targecie, z myślami pełnymi Masona Milтона. Stałam w miejscu jak kompletna idiotka. W końcu głęboko odetchnęłam i wyciągnęłam ręce do półki, ale źle oceniłam odległość i na podłogę poleciało coś, co brzmiało jak upadający mur chiński zbudowany z pudełek tamponów. Kucnęłam, żeby je pozbiierać i złorzeczyłam

pod nosem. Dziadek zachował się jak dzieciak, że mnie tu zostawił. A Hilda jeszcze mnie nie nauczyła poruszać się po sklepie. Zresztą trudno się dziwić, skoro wczoraj ledwie udało mi się nie wybić zębów na chodniku.

Usłyszałam za plecami głosy i odezwała się jakaś dziewczyna.

– O rany... Nieźle! Może pomogę? – Przez chwilę milczałam, zastanawiając się, czy powinnam odrzucić jej propozycję, i to wystarczyło, żeby odkryła, że mnie zna.

– Maggie?! – spytała ze szczerym zdziwieniem.

Gdybym miała lepszy zmysł obserwacji, od razu bym się zorientowała, że to Sophie. Przecież słyszałam jej głos milion razy na boisku i drugi milion poza nim. Od razu przypomniały mi się czasy normalności. Wspomnienia imprez, wspólnych głupawek i obozów letnich.

Znałyśmy się od zawsze, a precyzyjniej mówiąc, zdaje się, że od siódmego roku życia. Nasza wielka przyjaźń narodziła się w czasie pierwszego treningu w lidze koedukacyjnej. Tego dnia nasz kolega z drużyny, Trevor Wilson, chłopiec z włosami jak siano i uciekającym okiem, którego bezwolność rozprzestrzeniła się na resztę jego ciała, ciągle podstawiał Sophie nogę. On i jego koledzy uważali, że to śmieszne. Taka zabawa. Ale ja nie. Zawsze nienawidziłam szkolnych dręczycieli. Kiedy podciął ją szósty raz, podeszłam do niego od tyłu i poklepałam go w ramię. Jak się odwrócił, przykopałam mu między nogi. To był koniec podcinania i początek wielkiej przyjaźni z Sophie.

Sophie jest bardzo wysoka, ma rude włosy i smukłe palce, którymi stuka się w brodę, gdy o czymś myśli. Tysiące razy widziałam, jak to robi, kiedy gra nam nie wychodziła. Podejrzewałam, że to właśnie robiła teraz. I dlatego poczułam chęć ucieczki.

– Cześć!

– No cześć.

Boleśnie długa cisza.

Z głośników rozbrzmiewała piosenka Foreignersów, ulubiona mojego taty. Desperacko się jej chwyciłam i zaczęłam postukiwać nogą do rytmu.

– Boże, nie widziałam cię od wieków. Świetnie wyglądasz! – wypaliła. Taka właśnie była Sophie. Była miła. Dlatego ją lubiłam. Kiedyś nawet jej o

tym powiedziałam, a ona odparła, że mnie lubi, bo nie jestem miła. Nigdy się nie dowiedziałam, czy to miał być komplement, czy obelga.

– Dzięki. Ty też – zażartowałam. Po o sekundę za długiej ciszy wybuchnęła śmiechem. Nieszczerym. Wszystko szło nie tak.

Stałyśmy jeszcze przez chwilę w pułapce bolesnego milczenia. Przeszłowałam z nogi na nogę. Nigdy nie byłam dobra w takich pogawędkach o niczym. Męczyłam się. Czułam, jakbym usiłowała przecisnąć wielki głaz przez wąski tunel. A koniec końców z mojego tunelu i tak wydostawał się tylko duszący pył. Poza tym rozmowa z Sophie nie wydawała mi się naturalna. Zresztą z nikim nie rozmawiało mi się ostatnio swobodnie. Z wyjątkiem Bena oczywiście. Mówiąc w skrócie: to, że nie widziałam, stresowało ludzi. Czuli się niezręcznie.

Nieswojo.

Sophie postanowiła mówić dalej, choć stłumionym głosem, bo zabrała się za odstawianie tamponów na półkę.

– Bez ciebie nie jest już tak samo – wyznała trochę drżącym głosem.

Miała na myśli drużynę. Kiedyś się przyjaźniłyśmy. Zwykle w takiej drużynie jakaś dziewczyna jest fałszywa albo plotkuje, ale ja naprawdę lubiałam wszystkie. Jak trafiłam do szpitala, zapowiadały, że będą przy mnie, kiedy przyjdzie mi uczyć się życia z nieoczekiwaną ślepotą. Przecież, na litość boską, od tego stanowiłyśmy drużynę! Jedna za wszystkie, wszystkie za jedną i tak dalej. Ale odkąd nie widziałam, przyjaźń nam nie wychodziła. Już nie było przyjemnie. Wszystkie to czułyśmy. Ale tylko ja miałam jaja, żeby coś z tym zrobić. Przestałam odbierać telefony, nie reagowałam na ich wizyty, odrzucałam propozycje spotkań, twierdząc, że mam zbyt dużo zajęć.

No dobrze, wygląda na to, że to ja się odwróciłam od przyjaciółek. Ale poszło mi bardzo łatwo. Teraz, stojąc twarzą w twarz z Sophie, czułam, jak ściska mnie w gardle. Zastanawiałam się, czemu się tak szybko poddała. Nie mogłam przestać myśleć o tym, dlaczego o mnie nie zawańczyła. Musiałam się nauczyć chodzić po korytarzach nowej szkoły, a każdy krok stawiany w próżni wydawał się zwycięstwem. Nie chciałam tak samo się czuć wśród przyjaciół.

– Lauren zwariuje, jak jej powiem, że cię spotkałam!

Naprawdę dużo mnie kosztowało powstrzymanie się od wywrócenia oczami. Odejście od Lauren było najprostsze. Miałam wrażenie, że jej ulżyło.

Cisza.

Dalsza cisza.

Piosenka Foreignersów się skończyła i rozległ się jakiś koszmar Kenny'ego G. Wydawało mi się, że się duszę.

Sophie odchrząknęła.

– Mama czeka na mnie w samochodzie. Muszę iść. Ale miło było cię zobaczyć.

– Też się cieszę – wymamrotałam. – Jeszcze tylko jedno.

– Tak?

Boże, co za upokorzenie.

Podniosłam trzymane w rękach pudełko tamponów.

– Czy to są przypadkiem super plus?

Chwila milczenia, podczas której, jak sędzę, czytała napisy.

– Tak.

Pożegnałyśmy się, a ja dotarłam do końca alejki. Czekaając na dziadka, mrużyłam oczy i kręciłam głową na wszystkie strony, próbując odzyskać wzrok, zobaczyć cokolwiek, ale się nie udało. Tak się na tym skoncentrowałam, że aż podskoczyłam, gdy jakiś kretyn mnie szturchnął i spytał:

– Ślepa jesteś?

Bez wyrzutów sumienia go olałam. Byłam mistrzynią ignorowania ludzi. To jedna z moich pasji. I jedna z zalet bycia niewidomym. Zresztą, obcy przemawiają do ciebie tylko tak długo, aż uznają, że jesteś także głucha. Albo zbyt powolna, żeby sformułować odpowiedź.

– No co, ślepa? – powtórzył tym razem głośniejszym głosem i zionął mi w twarz oddechem cuchnącym papierosami, kiepską angielszczyzną i co najmniej dwiema dziesiątkami lat życiowych porażek.

Odsunęłam się od niego i postukałam laską w podłogę, żeby zaznaczyć, że mam do roboty lepsze rzeczy niż rozmowa z nim. Chociaż sama nie wiedziałam, co by to mogło być.

– Jak na ślepa, jesteś całkiem niezła – stwierdził.

Ten gość stanowił doskonały przykład człowieka, dla którego na butelkach szamponów umieszcza się instrukcję obsługi.

– Taa, dzięki – mruknęłam.

W tej chwili pojawił się dziadek i mnie ocalił, mówiąc niskim, grobowym głosem:

– Może i jestem stary, ale silny.

Facet zniknął.

13

Wieczorem wyszłam posiedzieć na starym fotelu stojącym na tylnej werandzie. Przychodziłam tu czasami, kiedy dom wydawał się zbyt krzywy, żeby mnie utrzymać na prawidłowym kursie. Jak pogoda pozwalała, słuchałam muzyki albo świerszczy. Dzisiaj, gdy się sadowiłam z jedną nogą podwiniętą pod siebie, słyszałam syczenie zraszacza u sąsiadów. Powietrze było gęste i zanosilo się na deszcz, ale ja już i tak za dużo czasu spędziłam w brutalnie klimatyzowanym domu, powstrzymując się od telefonu do Bena i wproszenia się do jego życia. Chociaż minęło już kilka godzin, odkąd wpadłam w sklepie na Sophie, cały czas czułam się, jakbym się potknęła o pozrywane więzy naszej nieudanej przyjaźni.

Ruszyłam więc na ganek, gdzie mogłam pooddychać.

Od jakiegoś czasu nie używałam słuchawek. Paprały mi słuch. Gdy odpaliłam iPod, *Transcendence* Loose Cannons rozległo się z małego bezprzewodowego głośniczka leżącego mi na kolanach.

Rozluźniłam się.

Przez ostatnie miesiące to właśnie muzyka Loose Cannons trzymała mnie w pionie. Tylko ona miała jakiś sens. Zamknęłam oczy i śpiewałam szeptem aż do klawiszowej solówki pod koniec.

Otworzyły się przesuwne drzwi, wyrzucając na werandę porcję klimatyzowanego powietrza i mamę, która najwyraźniej właśnie wróciła z pracy.

– Mogłabyś wyłączyć? – spytała i przemknęła obok mnie w podgumowanych trenerskich butach od Sandersa. A przynajmniej tak brzmiały.

Miałam ochotę wstać i wrócić do swojego pokoju. Przebywanie z nią sam na sam przywoływało bolesne wspomnienia. W mgnieniu oka znów lądowałam w szpitalnym łóżku, ledwie żywa, od niedawna niewidoma, zrozpaczona i pochłonięta zastanawianiem się, gdzie ona jest. I czy kiedykolwiek wróci.

Odsunęłam te myśli.

– Co robisz? – spytałam. Wyłączyłam muzykę i postawiłam obie stopy na deskach. Kiedyś nie mogłam tu chodzić na bosaka, bo zaraz wbijały mi się drzazgi, ale przez lata drewno się wyslizgało i teraz było miękkie i gładkie.

– Podleвам – odparła zmęczonym głosem. Słyszałam ją teraz z odległego końca werandy. Mieliśmy liczącą co najmniej osiem tysięcy lat paproć, która co roku lato spędzała w ogrodzie. To jedyna roślina, którą udało się jej wyhodować. Była gigantyczna, rozrośnięta we wszystkie strony i jestem pewna, że mogłaby połknąć dziecko, którego nigdy by już nie odnaleziono. We wrześniu trafiała z powrotem na swoje miejsce w oknie wykuszowym. – Paproć wygląda na zwiędłą.

– Może powinnaś ją podlewać dwa razy dziennie – zasugerowałam, jakbym się świetnie znała na tych sprawach. A przecież konewkę trzymałam w ręku wiele lat temu, kiedy topiłam pająka. We śnie.

– Może – odparła mama odruchowo.

Potem zapadła cisza.

Niezmacona.

Takie wymiany półsłówek ratowały życie ludziom stojącym w kolejce w urzędach.

Odchrząknęłam.

– Chyba będzie padać – zaryzykowałam.

– Czy ja wiem?

Mniej więcej tak wyglądały nasze rozmowy od czasu, gdy straciłam wzrok. Rozmawialiśmy, ale nic sobie nie mówiłyśmy. Gdy jeszcze widziałam, nasza komunikacja tak nie wyglądała. Nie była taka dziurawa. W każdą lukę wciskałyśmy piłki i dzięki temu potrafiłyśmy dotrzeć w zasadzie wszędzie. Teraz każdy krok groził runięciem w przepaść.

Mama w końcu wróciła stamtąd, gdzie uciekła. Może nawet na swój sposób próbowała mi wynagrodzić tę nieobecność. Bardzo się uaktywniła, gdy wyszłam ze szpitala, współpracowała z Hildą, żeby przystosować wszystko dla moich potrzeb, okiełznała ze mną nowy komputer i takie tam. Ale potem na paluszkach wyszła z domu i wróciła do pracy.

Wtedy zapadła cisza.

Nie wspominałyśmy o jej zniknięciu. Ani o szybkim powrocie na boisko. Po prostu przystosowałyśmy się do nowej rzeczywistości. Tata przez kilka miesięcy pracował w domu, gdy oswajałam nowe otoczenie i szkołę. Jego obecność powinna mi dodawać otuchy, ale w praktyce wyglądało to tak, że chodził za mną z pokoju do pokoju i trajkotał. Zachowywał się tak do tej pory tylko raz, kiedy chorowała babcia. Dziadek przynosił do domu całe torby ciastek z Big Dough, mojej ulubionej piekarni. Wszyscy robili co w ich mocy, żeby sprawić mi przyjemność. Ale mimo to pierwsze miesiące bycia niewidomą spędziłam samotnie, dotykając ścian mojego nowego świata i szukając drzwi, których nie było.

Nazajutrz rano tata zastał mnie przy kuchennym stole nad miseczką Cap'n Crunch, płatków, które z lenistwa stały się moimi ulubionymi: miały charakterystyczne pudełko i łatwo je było odróżnić od innych.

– Dzień dobry, skarbie! – zawołał radośnie.

– Cześć – odmruknęłam, bo nie wiedziałam, co niby dobrego miało mnie spotkać tego dnia. W wakacje raczej nie wstawałam o tak haniebnie wczesnej porze. Tak strasznie uwielbiałam spać, że myślałam o śnie już od chwili przebudzenia. Tylko że przez kilka ostatnich nocy źle mi się spało i często się budziłam. Dobrze wiedziałam, dlaczego. Już od paru dni nic nie widziałam.

Żywiłam beznadziejną nadzieję, że z czasem wzrok zacznie do mnie wracać i że stopniowo zacznę widzieć też inne rzeczy. Albo w ogóle cokolwiek. Ale po kilku dniach przytłaczającej ślepoty zaczęłam się czuć, jakbym tonęła w groźnej, ciemnej wodzie.

Nie mogłam tego znieść. To tak, jakby ktoś mi rzucił koło ratunkowe, ale

okazało się zbyt ciężkie i zaczęło mnie wciągać pod powierzchnię. Wczoraj wieczorem się zламаłam i napisałam do Bena. Wprosiłam się do niego. Nie byłam dumna z tego, że go wykorzystuję, ale na tym etapie zaczynałam już wątpić, że kiedykolwiek go widziałam. I wpadłam w panikę.

– Kawy? – zaproponował tata, mijając mnie.

– Boże, tak!

Tata był nieśmiały, mało mówny i miał grację yetiego. Przez całe dzieciństwo grał jako rezerwowego rezerwowego prawoskrzydłowego w małej lidze. Prawdziwy samiec... Rodzice nadali mu dwa drugie imiona, Melvin i Samuel, które nie brzmiały dobrze razem i wyglądało na to, że stanowiły efekt nierozstrzygniętej wojny, którą toczyli, jeszcze przed jego narodzinami.

– Wcześniej wstałaś – zauważył. Słyszałam, że miota się wśród szafek. Chociaż nasza kuchnia została skrupulatnie zaplanowana, przeorganizowana i opisana brajlem, on wciąż nie potrafił znaleźć najbardziej podstawowych rzeczy. Jak śmietanka i cukier. Siłą woli powstrzymywałam się, żeby nie wstać, zrobić cztery perfekcyjnie wymierzone kroki w lewo, wziąć cukier i śmietankę z drugiej półki od dołu w odpowiedniej szafce. Pozwoliłam mu to zrobić, bo czuł taką potrzebę.

– Masz rano spotkanie z Hildą?

– Nie. Jutro w południe. – Właśnie. Muszę je odwołać. Wczoraj Hilda poinformowała mnie, że na następnej lekcji będziemy się uczyć przechodzenia przez ulicę. Brzmiało doprawdy fascynująco, ale będzie to miało miejsce dopiero po moim trupie.

– Przyszła do ciebie poczta. Leży na mikrofalówce.

– Taka prawdziwa poczta?

Postawił przede mną kubek z kawą. Twarz owiała mi orzechowa para.

– DVD z ofertą kilku college'ów – rzucił niezobowiązująco.

– To jakaś pomyłka. Nie kontaktowałam się z żadnymi college'ami.

– Mama cię zgłosiła w twoim imieniu. Sprawdziła, które szkoły oferują najlepszy program dla studentów z ograniczeniami. – Cała mama. Mogła mi to powiedzieć wczoraj na werandzie, ale tego nie zrobiła. – Politechnika w Kalifornii świetnie się zapowiada. No i uniwersytet w Missouri.

Jeszcze parę miesięcy temu sądziłam, że mam doskonałą wymówkę, żeby nie wysyłać aplikacji do szkół wyższych: byłam przecież młodocianą przestępczynią, która zbecześciła wizerunek Merchanta. Ale potem się dowiedziałam, że ten żart to tylko drobne wykroczenie i wiele college'ów nie zwróci na to uwagi, jeśli tylko szczerze i z żalem im to wyjaśnię w czasie procesu rekrutacji.

Z westchnieniem odparłam:

– Nie chcę iść do tych szkół.

– To gdzie chcesz iść?

Nigdzie.

– Nie wiem. – W zeszłym roku rekrutujący nie dawali mi spokoju. Dzwonili raz w miesiącu i dopytywali, czy już wybrałam szkołę. Wtedy nawet się nie zastanawiałam: chciałam iść na Uniwersytet w Connecticut. Planowałam, że cztery ostatnie lata z przyjemnością rozegram dla mamy, a potem od razu przejdę do reprezentacji kraju. Ale teraz nawet college wydawał się odległym marzeniem. Całkiem nieosiągalnym. – Dzisiaj jestem zajęta, więc zajrzę do nich jutro. Albo któregoś dnia.

Prawie słyszałam, jak unosi brwi.

– Masz plany?

– Idę do kogoś.

– Naprawdę? Do kogo? – spytał z nadzieją.

Łyknęłam kawy, żeby uniknąć odpowiedzi. Chciał usłyszeć, czy tym kimś jest Clarissa Fenstermacher. Odkąd zadarłam z literą prawa, rodzice pchali mnie ku Clarissie. Była niewidoma od urodzenia, miała „czarującą osobowość” i wydawała się kimś, kto „pomoże mi pogodzić się z moją ślepotą”. W związku z tym z całych sił wzbraniałam się przed kontaktami z nią.

– Nie znasz – rzuciłam w końcu. Prawda jest taka, że nie ciągnęło mnie do uczniów Merchanta, a już na pewno do Clarissy, której radosne, optymistyczne i niesłabnące trajkotanie sprawiało, że miałam ochotę pozbyć się także zmysłu słuchu. – Jest weekend, czemu tak wczesnie wstałeś? Masz jakąś rozprawę?

Słyszałam, że trochę go zatkało. Za głośno odstawił filiżankę na blat. Potem skłamał:

– Mam parę spraw do załatwienia.

Ukłucie w piersi.

Jedyne, co łączyło mnie z tatą, to muzyka. On kochał klasycznego rocka, a do tego uwielbiał winyle i kupowanie za grosze, co w efekcie czyniło z niego pasjonata garażowych wyprzedaży. Często w soboty rano pochylał się nad moim łóżkiem. Widziałam jego wielki cień obramowany światłem z korytarza, gdy w wielkich emocjach – choć nieosładzających traumatycznego przebudzenia – informował:

– Dzisiaj trzydzieści wyprzedaży! Trzydzieści! A na połowie będą winyle!

Parę chwil później zwlekałam się z łóżka i zaczynałam się ubierać. Poszukiwanie starych albumów było jedyną rzeczą, którą robiliśmy razem, tylko tę część jego osobowości naprawdę czułam.

Teraz i ona zniknęła.

Nie wiem nawet, jak to się skończyło. Czy on przestał mnie zapraszać, czy ja zbyt wiele razy odmówiłam? Fakt pozostał faktem.

Tata odchrząknął.

– Będę już leciał. Widzimy się wieczorem?

Pokiwałam głową. A po śniadaniu, chociaż wstałam już parę godzin temu i byłam ubrana, wróciłam do łóżka.

14

Przez resztę poranka milczałam, jak nie ja. Chociaż jasne, że zakłęłam żywiołowo, kiedy przywalałam palcem u nogi we framugę drzwi, a pod prysznicem odśpiewałam trzy piosenki Loose Cannon. Potem musiałam jeszcze poprosić dziadka, żeby mnie podrzucił do Bena, ale nic poza tym. Aż się tam znalazłam. Bo kiedy tylko odzyskałam odrobinę wzroku, poczułam się znów sobą.

Nie ramię w ramię, a laska w kule staliśmy z Benem przy blacie w kuchni Miltonów i przygotowywaliśmy pizzę na grubym cieście, a on prowokował mnie do rozmowy w stylu gry „co byś wolał”. Sprowadzała się ona głównie do zmuszaniu mnie do odpowiedzi na kretyńskie, hipotetyczne pytania: „Czy wolałabym strzelić w kogoś pociskiem najeżonym żyłkami, czy dać sobie wbić w język siedem gwoździ”. Przez ten czas skupiałam się, żeby nie patrzeć na Masona, siedzącego przy stole i brzdąkającego na gitarze. Oczywiście cały czas go obserwowałam. Na swoją obronę muszę powiedzieć, że kiedy godzinę temu weszłam do ich domu, okazało się, że mój zakres widzenia odrobinę się powiększył od ostatniego razu i nie mogłam się powstrzymać od rozglądania się wkoło.

Nic nie poradzę, że był tam też Mason.

Niechętnie, ale musiałam przyznać, że nie był klasycznie przystojny. Za to interesujący. Specjalnie czy nie, ciemne włosy nosił w nieładzie, jakby się spocił, a potem przeczesał je ręką i tak zostały, powykęcane w różne strony. Cerę miał oliwkową, a rysy ostre, takie, których dziewczyny nie potrafią olać. Usiłowałam go do kogoś porównać, ale nie umiałam. Miał szeroką pierś

dźwigającego ciężary, ciemne oczy dzieciaka-emo i włosy gwiazdy. Niby nic do siebie nie pasowało, ale jakimś cudem grało idealnie.

Zorientowałam się, że myślami odpłynęłam na jakieś dalekie, niestrzeżone wody, więc dobrowolnie odwróciłam się od Masona i skupiłam się na przestrzeni wokół Bena. Przecież musiałam się upewnić, po to przyszedłam. Musiałam znaleźć jakieś wyjaśnienie.

Zniknął mrok, który go otaczał, kiedy pierwszy raz na niego spojrzałam. Teraz rozświetlał pokój słonecznym, ciepłym światłem, pełnym życia. Choć najjaśniej było wokół Bena, blask przesączał się przez ściany do pokoju obok, a dopiero potem świat ginął w nicości. Nie mogłam nic poradzić na nadzieję, że zakres mojego widzenia będzie się powiększał, aż w końcu obejmie wszystko.

Ale na strach, że odzyskanie wzroku zniknie tak samo niespodziewanie, jak się pojawiło, też nie znajdowałam rady.

Cicho westchnęłam i spojrzałam na swoje stopy. Lata temu, gdy moja drużyna przegrywała, trenerka zbierała nas i informowała stanowczo i z przekonaniem, że wszechświat potajemnie nam sprzyja, więc mamy po prostu wyjść na boisko i walczyć. Pierwszą część wzięła z Paula Coelho, a druga miała nas po prostu otrzeźwić i zmusić do gry. Grunt, że zwykle działało: jak przestawałyśmy za dużo analizować i grałyśmy, najczęściej kończyło się naszym zwycięstwem.

Teraz, w kuchni rodziny Miltonów, dotarło do mnie, że im zacieklej poszukuję odpowiedzi dotyczących mojego wzroku, tym bardziej mi się wymykają, wyslizgują się z rąk, nieuchwytne jak promienie. Gdybym dała sobie spokój, wyluzowała i najzwyczajniej cieszyła się tym, że widzę, a odpowiedziom pozwoliła przyjść, kiedy będzie ich pora, wszystko by się ułożyło.

Wszechświat mi potajemnie sprzyja.

Mam na to dowód, przecież coś tam widzę!

Wypuściłam powietrze z płuc i od razu cała się rozluźniłam.

– Halo! – zawołał Ben. – Pytałem, czy wolałabyś się obudzić nago w zatłoczonym Koloseum, czy wyssać psu gluta z nosa. Spytałem też, czy chcesz

dotatkowy sos. Oraz czy byłabyś tak miła i przyniosła ser z szuflady. Leży po lewej stronie w lodówce.

– Nie wiem, tak, jasne – odpowiedziałam hurtowo i zwróciłam się w stronę lodówki.

Wiedziałam, że Mason przyszedł do kuchni tylko po to, żeby z pierwszego rzędu oglądać przedstawienie o Maggie, która udaje, że straciła wzrok, zatem ruszyłam ostrożnie i powoli. Mimo to, gdy szamotałam się, stwarzając pozory, że nie mogę tego sera znaleźć, od razu przestał grać, parsknął gniewnie i wyburczał pod nosem coś niezrozumiałego. Z serem w ręku zamknęłam wreszcie lodówkę i rzuciłam mu pełne wściekłości spojrzenie. Co prawdopodobnie nie utwierdziło go w przekonaniu, że jestem niewidoma, ale przynajmniej poprawiło mi samopoczucie.

Szkoda, że Mason nie jest taki serdeczny, jak pani Milton, która zdawała się w ogóle nie pamiętać o moim wzroku. I nie zauważała nic dziwnego w tym, że siedemnastoletnia dziewczyna spędza czas z jej dziesięcioletnim synem. Oraz nie oceniała każdego mojego ruchu i przy niej czułam się całkiem swobodnie. A ponieważ się przy niej nie stresowałam, nie popełniałam błędów. Stałam się mistrzynią omijania jej wzrokiem, gdy do niej mówiłam, a dla lepszego wrażenia, co jakiś czas postukiwałam wokół siebie laską. Ale Mason? To co innego. Teraz, w drodze powrotnej do Bena, musiałam się bardzo starać, żeby nie patrzeć na jego białe stopy, które wyciągnął przed siebie. Były wielkie i szerokie, a ogromne paluchy wyginały się w górę za każdym razem, gdy brał jakiś wyjątkowo skomplikowany akord. Ten odruch nie wiedzieć czemu mnie wzruszał.

– Ziemia do They! Po raz tysięczny: wolisz się obudzić nago pośrodku zatłoczonego Koloseum czy wyssać psu gluta z nosa? – spytał Ben, wciągając mnie z powrotem do gry. – Zanim spytasz, odpowiedź brzmi: nie.

– O co miałabym pytać?

– Czy możesz pominąć to pytanie. Nie można pomijać pytań. Nagość czy glut? – Balansował, oparty na jednej kuli, sięgając po ser.

Może Mason miał już dość słuchania wciąż tego samego pytania. A może kwestia psich glutów budziła w nim jakieś emocje. W każdym razie właśnie w

tej chwili postanowił wejść do gry:

– Nagość.

Dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie. Po pierwsze: zostałam całkowicie pozbawiona zdolności racjonalnego myślenia. Po drugie: moje policzki pokryły się bardzo eleganckim odcieniem głębokiej czerwieni. Na szczęście Ben od razu odwrócił się do brata, więc nie zauważył.

– Wolałbyś się obudzić nago niż połknąć gluta?! Serio?

Mason spojrzał na Bena wzrokiem pełnym treści, którą można zgromadzić tylko przez lata wspólnego tkwienia na tylnym siedzeniu samochodu podczas drogi na rodzinne wakacje.

– Pewnie. Ale ty powinieneś wybrać psiego gluta, żeby nie pokazywać ludziom tego wielkiego znamienia na dupie. – Ben ruszył w jego stronę i wszystko skończyło się pełną śmiechu, wrzasków i zapasów szamotaniną na kuchennej podłodze.

– Chłopcy, dalibyście spokój! – rzuciła pani Milton, która właśnie weszła obwieszona ekologicznymi torbami na zakupy. Miała na sobie workowatą sukienkę i birkenstocki.

Zerwali się z twarzami winowajców.

– Wyglądaliśmy się – mruknął Mason. Potem pocałował matkę w czoło.

Gdy wyjmował jej z rąk zakupy, widziałam w jego oczach prawdziwą czułość. Zmusiło mnie to do zweryfikowania wszystkiego, co o nim myślałam. Mason jest dobrym człowiekiem, tak to mogłam podsumować, krótko i z przekonaniem.

Przełknęłam ślinę.

Wszyscy Miltonowie tacy byli, zwłaszcza Ben. Którego przecież wykorzystywałam, chociaż nawet przed sobą trudno mi się było do tego przyznać. Ta myśl uwierała mnie jak kamyczek w bucie, tylko że zamiast buta występowała czaszka.

– Thera? – odezwał się Ben. – Chyba twoja komórka dzwoni.

Nie słyszałam.

Musiałam oddalić się od mojego źródła wzroku i ruszyć korytarzem na poszukiwanie telefonu. Skręciłam za róg do pokoju Bena i zatrzymałam się na

chwilę. Raczej dłuższą niż krótszą. Chciałam chwilę pooddychać i zebrać się w sobie. Potem zamknęłam drzwi do pokoju i przesunęłam dłońmi po drewnianej płaszczyźnie, żeby znaleźć haczyk, na którym wisiała moja torebka. Ale torebki nie było, a zamiast niej namacałam mokry ręcznik.

Dziwne.

– Thera! – zawołał Ben z pełną buzią. Słyszałam w korytarzu stukot jego kul. Zbliżał się. – Musisz spróbować sosu ranch, rozpiędziela system!

Dzięki Benowi zobaczyłam nagle róg pokoju, a pole, w obrębie którego widziałam, zbliżało się do mnie razem z nim.

To nie pokój Bena.

Tylko Masona.

Zamarłam i spojrzałam na ścianę, za którą znajdował się pokój, który znałam. Chociaż dostrzegałam jedynie zewnętrzny obrys, dawało to i tak widok na połowę przestrzeni.

Dziwnie się czułam.

W pokoju było, co ciekawe, czysto i porządnie. Przypominał pokój dorosłego. Nigdzie nie leżały stopy brudnych ubrań. Nie było plakatów półnagich dziewczyn. Po podłodze nie poniewierały się stopy magazynów „Sports Illustrated”. Mieściły się tu w zasadzie trzy mahoniowe, masywne meble: starannie pościelone łóżko, komoda i biurko. Na ścianie wisiało zdjęcie Masona z ojcem, także w mahoniowej ramce. Z tysiąca fotografii porozwieszanych po całym domu wiedziałam już, że pan Milton wyglądał jak starsza wersja Masona oraz że często nosił podkoszulki Uniwersytetu w Connecticut. Jednak żadne z tamtych zdjęć nie było podobnego do tego. Zrobiono je wiele lat temu, bo Mason miał na nim góra cztery lata. Siedział na kolanach ojca, a ten na drewnianym pomoście. Bose stopy zanurzył w wodzie. Mason uśmiechał się szeroko do obiektywu, ale jego tata miał głowę schyloną, bo całował synka we włosy. Ujęcie wprost emanowało emocjami: akceptacją, oddaniem, szacunkiem.

Poczułam, że mam łzy w oczach, więc się odwróciłam, żeby opanować oddech. Zaczęłam się rozglądać. Pokój Masona przypominał pokój hotelowy: przesadnie uporządkowany i wysprzątnany. A jednak potrafiłam sobie

wyobrazić, jak siedzi pochylony nad laptopem, ze zmarszczonymi brwiami i palcami skaczącymi po klawiaturze. Widziałam, jak wraca z łazienki, z ręcznikiem zawiązanym na biodrach, kroplami wody na ramionach i mokrymi włosami sterczącymi w różnych kierunkach.

Zaczęłam złorzeczyć pod nosem. Masona nawet nie musiało być obok, żebym się poczuła jak kompletna idiotka.

– Thera? – wrzasnął Ben ze swojego pokoju. – Gdzieś ty poszła?

Nie odpowiedziałam. Bo kiedy patrzyłam na rzeczy starannie ułożone na biurku, przyszła mi go głowy myśl, od której aż się zachwiałam. A co, jeśli jest tu lista najbliższych koncertów? Miesiące obsesji na punkcie Loose Cannons i oto ja, w pokoju Masona, grzebiąca w jego papierach, bliższa niż kiedykolwiek odkrycia jednego z najlepiej strzeżonych sekretów w historii muzyki.

Na pierwszy rzut oka nic się tu nie kojarzyło z zespołem. Zauważyłam za to książeczkę czekową, przypiętą do pliku rachunków wystawionych na panią Milton i elegancko otwartych nożem do listów. W skórzanym, brązowym kalendarzu dziennym rozpisane były dyżury pani Milton i treningi Bena. Kilka lakierowanych ulotek: Nocne skoki spadochronowe, Spadochronowa dywizja 101, Spadochroniarstwo w Connecticut i Spadochronowa Dusza. Kartka z niedokończonym wierszem „Listopad”.

Nie. To nie wiersz. To piosenka.

„Zima i wiosna już prawie minęły/ale gorzki wiatr wciąż gra tę melodię./Każdy jego powiew mnie niesie do listopada./Tata nie powinien był odejść. Był silny, ale nie wiedział/że każdy powiew mnie tam zabierze./Wiem to, wiem, wiem/listopad będzie zawsze./Wiem to, wiem, wiem/listopad się nie skończy./Wspomnienia blakną/ale nigdy się nie uwolnię/bo z każdym powiewem wiatru wracam do listopada/z każdym powiewem wracam do listopada/o tak, każdy powiew wiatru zabiera mnie tam”.

Serce i płuca zmiażdżył mi bezdenny ból wypływający z tych słów. Nie wiem, co tak działało: cierpienie płynące z tekstu, wrażenie wywołane zdjęciem pana Milтона czy fakt, że trafiłam do pokoju Masona i szukałam jakiejś wskazówki, ale nagle zakręciło mi się w głowie. Zamknęłam oczy i

cicho jęknęłam. Uczucia i myśli za bardzo mnie pochłoneły, żebym zwróciła uwagę na odgłos otwierających się drzwi wejściowych, eksplozję kroków w korytarzu i zbliżające się do mnie głosy. Otrzeźwił mnie dopiero odgłos otwierających się drzwi. Wtedy wszystko do mnie dotarło.

I spanikowałam.

Otworzyłam oczy w tej samej chwili, w której otworzyły się drzwi. Do pokoju wkroczył Mason w towarzystwie trzech innych chłopaków, śmiejących się i przepychających w progu. Na mój widok stanęli jak wryci. Widziałam po minie Masona, że jest w szoku, który bardzo szybko ustąpił miejsca wściekłości. Zrobił krok w moją stronę.

– Co ty tu, do cholery, robisz?!

15

Serce waliło mi jak młotem i przez kilka żalonych sekund stałam bez ruchu, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Modliłam się tylko, żeby podłoga się rozstąpiła i mnie pochłonęła. W tym czasie trzech nieznajomych chłopaków mniej więcej w moim wieku weszło do pokoju i patrzyło na mnie z różnym poziomem zainteresowania. Z lewej strony miałam mocno zakolczykowanego gościa o wąskich ramionach, któremu brwi podskoczyły aż do linii włosów. Za nim stał drugi, zarumieniony, krępy, przestępujący z nogi na nogę. Najwyższy był smukły i wytatuowany. Bawił się pałeczkami do perkusji i pożerał mnie wzrokiem, jakbym była co najmniej odnowionym mustangiem z 1968 roku.

Mason nie zwracał uwagi na reakcje kolegów i wpatrywał się we mnie wściekle, a gniew buchał z niego jak gęsty, duszący dym.

– Zgubiłam się – wydukałam w końcu. Co zresztą było świętą prawdą.

– Zgubiłaś się?

Przełknęłam ślinę.

– Chyba słyszysz?

Nie zareagował. Stał i paraliżował mnie wzrokiem. Ten wytatuowany miał za nic otwartą wrogość Masona. Podrapał się pałeczkami w pierś i rzucił:

– Ej, stary, ukrywasz przed nami nową dziewczynę?

Mason zamknął oczy, a ja doznałam dziwnego wrażenia, że stara się zwalczyć mieszankę sprzecznych emocji. Powoli odetchnął, a gitara, która zwisała mu z ramienia, przesunęła się na brzuch. Wciąż z zamkniętymi oczami wypuścił powietrze i wyjaśnił:

– To nie jest moja dziewczyna. Nazywa się Maggie i przyjaźni się z Benem. Jest niewidoma. – Słowa były zbyt wyważone, wypowiedziane przesadnie cicho i wyraźnie, a ja słyszałam cudzysłowy wokół „przyjaźni się” oraz „niewidoma”. Myślałam, że szlag mnie trafi. Dlaczego mnie podejrzewał o najgorsze? Czemu nie mógł mi zafundować domniemania niewinności?

Skierowałam wzrok mniej więcej w okolicę, z której dochodził głos Wytatuowanego i z wysiłkiem opanowując ochotę mówienia przez zaciśnięte zęby, oznajmiłam:

– Miło cię poznać. Ty jesteś...? – Wiedziałam, że Mason otworzył oczy, bo czułam na sobie ich żar, ale miałam to gdzieś. Nie pamiętam, kiedy ostatnio zawładnęła mną taka wściekłość. Może kilka lat temu, w czasie kłótni z matką. Wiem, że czułam się potem niepewnie, jakbym straciła nad wszystkim kontrolę.

Wytatuowany wydawał się ubawiony wrogością zatruwającą powietrze, bo prychnął i oznajmił:

– David Slater. Witam, o pani. – Wyciągnął rękę i teatralnie się skłonił. Myślał może, że jest tak oszałamiający, że widzą go nawet niewidomi?

Ten z kolczykami spojrzał na niego z niesmakiem, odchrząknął, a potem wyciągnął ręce na boki, jakby się prezentował publiczności, i oznajmił:

– To jeszcze nic. Ja jestem Carlos Santiago, wirtuoz klawiszy. – Potem klepnął w ramię tego nieśmiałego. – A oto Gavin Alexander.

Członkowie Loose Cannons. Poznałam po nazwiskach, bo ich twarze nigdy nie widziałam.

Choć trwałam w szoku, pokiwałam głową.

Mason rzucił gitarę na łóżko. Struny zabrzęczały nieprzyjemnie. Następnie wypowiedział dwa słowa. Skierował je do mnie i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Wyjdź stąd.

W tej chwili poczułam, że powiem mu prawdę.

Teraz.

Nie mogłam dłużej wytrzymać. Nie chciałam znosić oskarżeń, jego doskonałego samopoczucia i drwiącego tonu. Na litość boską, przez kilka

ostatnich miesięcy ciężko pracowałam, żeby się w tym wszystkim odnaleźć! Dobierać ubrania, nalewać mleka do kawy i znajdować drogę do swojego pokoju... Życ! A Mason? Ma wszystko i wydaje mu się to oczywiste.

Wyprostowałam się, nachyliłam do przodu, oskarżycielsko wskazałam na niego palcem, a potem cicho i groźnie zaczęłam:

– Naprawdę ci się wydaje, że wiesz, co się dzieje, arogancki, zadufany w sobie złamasie? Nie masz bladego pojęcia!

Złapał mnie za rękę i też się do mnie nachylił, jakby mnie zachęcał, żebym kontynuowała. Znaleźliśmy się stanowczo za blisko, dzieliło nas kilkanaście centymetrów. Aż między nami iskrzyło, a za bursztynowymi kleksami w jego oczach kryło się coś, czego nie widziałam nigdy wcześniej: cierpienie i furia.

– Thera, tu jesteś! Zgubiłaś się? – krzyknął od drzwi Ben, a kiedy wtargnął do pokoju, czar prysł. – Siema, chłopaki.

Mason puścił moją rękę i równocześnie zrobiliśmy po kilka kroków w tył.

Zapadło niezręczne milczenie, które szybko zmieniło się w bardzo niezręczne milczenie. David odchrząknął, uśmiechnął się leciutko i wyciągnął do Bena zwiniętą pięść.

– Siema, stary.

Ben trochę niezdarnie – z powodu kul – przybił mu żółwika, a następnie zwrócił się do Masona:

– Błagam cię, powiedz, że nie będziecie tu mieli próby.

Mason westchnął i przesunął po czole kostkami palców.

– Sąsiedzi Gavina narzekali w zeszłym tygodniu na hałas, więc tak, dzisiaj próba u nas.

Ben zadarł głowę.

– W takim razie ja też narzekam na hałas! – oznajmił, a Mason parsknął. Ale Ben nie ustępował: – Serio. Thera i ja będziemy oglądać film i chcemy go słyszeć, a wasze próby są głośne i wstrętne.

Carlos aż się skrzywił.

– Jest bezwzględny!

Mason na chwilę zamknął oczy.

– Będziecie musieli jakoś to przeżyć. Nie mamy wyboru: Carlos mieszka za

daleko, mama Gavina ma dzisiaj spotkanie klubu czytelniczego, a dom Davida jest za mały. – Potem już nic nie mówił, tylko stał ze skrzyżowanymi ramionami i czekał, aż wyjdziemy.

Jak tylko znaleźliśmy się na korytarzu, usłyszałam głośne pytania kolegów Masona: „Stary, co to, do cholery, było?” oraz: „Coś was łączy?”. I tak dalej. Pomknęłam korytarzem, żeby się jak najbardziej oddalić, zanim usłyszę wyjaśnienia Masona. Żenującą naiwnością byłaby wiara, że im nie powie, jaka ze mnie żalosna grupie, węsząca informacje o ich koncertach. Zdecydowanie nie chciałam tego słyszeć. Tak, wiem, jeszcze parę minut temu byłam gotowa wykrzyczeć Masonowi prawdę w twarz, ale teraz, gdy szłam do kuchni za Benem, który już się skarżył pani Milton, zdałam sobie sprawę, że to by był koszmarny błąd. Zabrzmiałoby to wszystko jak idiotyczne kłamstwo, w które na pewno nikt by nie uwierzył.

Boże, nawet ja nie wierzyłam!

Westchnęłam dramatycznie i skupiłam się na tekście znalezionej piosenki. Chyba nie powinnam mieć do niego pretensji za to, że mi nie ufa. Naprawdę nie. Jeszcze się nie otrząsnął po stracie ojca, wciąż był poobijany, podejrzliwy, sponiewierany. A nade wszystko wiedziałam, że chce chronić Bena, którego dzieciaki już upokarzały i krzywdziły. Ale mimo wszystko to nie dawało mu prawa do traktowania mnie w ten sposób. Do robienia tych protekcyjnych cudzysłowów. Do tłamszenia mnie. Opadłam na kuchenne krzesło obok Bena i zaczęłam masować miejsce między brwiami, gdzie rodził się ból głowy.

– Mamo! – jęknął Ben do pani Milton, pochylonej nad kupką najnowszych zdjęć i kubkiem herbaty pachnącej zielskiem. – To jest także mój dom, prawda? Mam takie samo prawo do przebywania tutaj jak Mason.

Nie odpowiedziała od razu. Lubiłam to w niej. Nie była typem rodzica, który od razu wypala nic nieznaczącymi odpowiedziami. Oparła się wygodnie i przez kilka chwil przyglądała się bacznie Benowi. W końcu się odezwała:

– Rozumiem, że czujesz się pomijany. – Potem analizowała sytuację jeszcze

przez parę sekund. Napiła się herbaty i zmarszczyła nos, gdy owionęła ją para.

– Ale przecież nikt nie każe ci wychodzić, prawda?

– Nie, ale chodzi o zasadę! – walczył Ben. – Dlaczego ja muszę rezygnować ze swoich planów, bo Mason będzie tu grał swoją głupią muzykę?

No proszę, nie sądziłam, że dożyję tego dnia! Święty Ben jest zazdrosny!

Pani Milton kiwnęła głową, jakby w pełni rozumiała jego żal.

– Tak, oczywiście. Chodzi o zasadę. – Przejechała palcem po krawędzi kubka. – Nie chcesz, żeby twój brat odniósł sukces?

Ben odchylił głowę i demonstracyjnie wpatrzył się w sufit.

– Może... – mruknął wściekle.

– A czy on nie wspiera twoich pasji? – kontynuowała, bacznie się Benowi przyglądając. – Nie zawozi cię na basen i nie przywozi do domu? Nie poświęca wolnego czasu, żeby chodzić na twoje wyścigi?

Ben się wyprostował, a minę miał taką, jakby zamierzał wycedzić kilka niecenzuralnych słów. W końcu oparł się całym ciężarem ciała na kulach i zaczął majtać nogą.

– Może – wymruczał.

Znów łyknęła herbaty i uśmiechnęła się łagodnie:

– W takim razie na pewno nie będziesz miał nic przeciwko. – Ben zasznurował usta, ale nic nie powiedział. – Czyli wszystko gra. Odwiozę Maggie do domu, a film obejrzycie jutro.

16

W nocy nie mogłam zasnąć, więc zeszłam do piwnicy i słuchałam starych meczów mamy na DVD. Częściowo moją bezsenność wywoływał Mason i świadomość, że na pewno powiedział wszystkim, którzy mieli ochotę słuchać, że jestem oszustką. Ale przyczyniał się też do niej mój dawny pokój na górze. Może z powodu konfrontacji z Masonem i emocji, jakie mną targwały. Nie wiem. Ale kiedy wieczorem położyłam się do łóżka, poczułam, że pokój nade mną góruje, mroczny i złowieszczy.

Ponieważ dom został przemeblowany, zorganizowany na nowo i aż nieznośnie szczegółowo opisany brajlem, bez pudła znalazłam płyty. Leżały w szafce pod telewizorem. Dawniej, jak je oglądałam, wyciszałam głos, żeby nie obudzić mamy. Nie chciałam jej przypominać o przeszłości. Teraz wyciszanie dźwięku już nie wchodziło w grę.

Zresztą, już bym się nią chyba nie przejmowała. Przez ostatnie miesiące bardzo się od siebie oddaliłyśmy. Czułam się wykreślona z listy jej priorytetów, więc złośliwie nastawiłam dźwięk głośniejszy, niż było trzeba. Chyba chciałam, żeby tu przyszła i mnie znalazła.

Przez kilka pierwszych chwil nie miałam pojęcia, jaki mecz wylosowałam. Słyszałam tylko hałas: kibiców, gwizdki i wuwuzele. Ale potem rozległ się głos taty.

Na meczach zmieniał się nie do poznania. Bez przerwy komentował decyzje sędziego i wrzeszczał. Był tak wkurzający, że musieli go nienawidzić kibice w promieniu pięćdziesięciu miejsc. Uwielbiałam na niego wtedy patrzeć i odkąd przestałam grać w piłkę, bardzo za tą stroną jego osobowości tęskniłam.

Słuchanie go teraz sprawiało, że czułam się źle i cudownie jednocześnie.

To był stary mecz, międzynarodowy. Sądząc po języku komentatora, odbywał się w Hiszpanii. Usłyszałam cichy, cienki głosik, mój własny. Boże, musiałam być całkiem mała:

- Mamusia jest szybka, prawda, tatusiu?
- Jest niesamowita! – potwierdził w uniesieniu.
- Jak dorosnę, też będę niesamowita – oznajmiłam.

Ścisnęło mnie w piersi. Zawsze wierzyłam, że mogę taka być. Magia mamy na mnie spłyne. I jestem niezniszczalna. Taka byłam, przynajmniej przez jakiś czas. Westchnęłam i okryłam się kocem aż pod brodę. Teraz czułam się mała, połamana i bezbronna. Przypomniałam sobie swój ostatni mecz.

To był listopad, w trzeciej klasie liceum. Spotkałyśmy się na boisku z z McDonnel Prep, prywatną szkołą pełną zarozumiałych lasek. Ja i moja drużyna grałyśmy razem jeszcze od czasów ligi amatorskiej, więc poruszałyśmy się bez zastanowienia, jak trybiki jednej maszyny. Tego wieczoru grałyśmy genialnie. Zagrałyśmy mecz, którego oglądanie musiało być strasznie nudne dla widzów: gdy rozległ się ostatni gwizdek, było 20:2. Już po wszystkim Sophie, Lauren i ja wyszłyśmy ze stadionu jak na hajdu i zostałyśmy na parkingu znacznie dłużej, niż było trzeba, ale wspólnie przeżywałyśmy ostatnie sekundy sezonu.

Sophie dopiero co zrobiła prawo jazdy i rodzice kupili jej olbrzymiego czarnego chryslera, którego nazywałyśmy Bertą. Najfajniejsza była gigantyczna maska. Tego wieczoru rozwaliłyśmy się na niej bezwstydnie, nie jak damy, ale jak dziewczyny, które są spocone, brudne i właśnie stłukły na miazgę drużynę snobek. W listopadowym powietrzu czuć już było zapowiedź zimy, ale słońce dopiero co zaszło, więc karoseria jeszcze nie zdążyła wystygnąć.

Potem Lauren usiadła, spuściła nogi i spojrzała na mnie.

– A właściwie co to było, Sanders? Gdzieś się nauczyła takiej przewrotki? Czegoś takiego jeszcze nie widziałam! – Na dowód uderzyła się dłonią w czoło i wytrzeszczyła oczy. Szczupła i atrakcyjna Lauren zawsze robiła miny, od czego trafiał mnie szlag. Miała też długą jasną grzywkę, która wpadała jej do oczu, od czego też trafiał mnie szlag oraz świetne cycki i od tego również

mnie szlag trafiał. Ale mimo wszystko ją lubiłam. Była pełna życia i pasji.

Wzruszyłam ramionami i zapatrzyłam się w pierwsze na niebie gwiazdy, totalnie zawstydzona i jednocześnie strasznie szczęśliwa. Z Lauren tak już było. Zawsze musiała się czymś zachwycać, a to kaloryferem na brzuchu Nicka Jonasa, a to najnowszą piosenką Maroon 5 albo, jak wówczas, mną. Ostatnio weszłam na wyższy poziom wtajemniczenia w piłce nożnej i zszokowało mnie to mniej więcej tak samo, jak wszystkich innych. Napiałam się gatorade i odparłam:

– Nie wiem. Tak wyszło. – Po dośrodkowaniu zauważyłam, że piłka leci prosto na mnie, jakby w zwolnionym tempie, zawieszona w powietrzu, czekająca. Wskoczyłam i kopnęłam, raz – dwa. Jakbym słyszała rytm, dwie ostatnie nuty w takcie. Moje ciało działało instynktownie i bez pudła.

Sophie nigdy nie lubiła gadania o niczym, więc trąciła mnie łokciem i rzuciła:

– Żałuj, że nie widziałaś swojej mamy. Oszalała!

– Serio? – Od razu na nią spojrzałam.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową, a ja poczułam, że coś wielkiego i gorącego rośnie mi w piersi. Nagle nie mogłam się już doczekać, aż wrócę do domu i usiądziemy z mamą przy kuchennym blacie, a potem będziemy analizować grę, jedząc lody z wielkiego kubła jedną łyżką, na zmianę. Piłka nożna stanowiła największą i najlepszą część nas. Spajała nas w jedną osobę, silniejszą. W tandem o nazwie Maggie-i-mama.

Nuciłam razem z dobiegającą przez otwarte okno samochodu piosenką Dead Eddies, a Lauren grzebała w plecaku. Wyjęła, wyglądający na drogi, francuski balsam do ust. Zaaplikowała go hojnie i głośno mlasnęła. Mama Lauren pracowała w dziale makijażu w Nordstrom i bez wyrzutów sumienia podprowadzała stamtąd kosmetyki, a Lauren bez skrępowań je podkradała.

Sophie z potępieniem popatrzyła na jej usta i głęboko westchnęła. Potem zaczęła kręcić na palcu kluczyki do auta. Przy każdym obrocie klekotały. Przyjęła rolę naszej samozwańczej mamuski. Ale jej wszystko potrafiłam wybaczyć. Zasługiwała na wyrozumiałość. Była najlepszą z najlepszych, moją skałą, świadectwem z czerwonym paskiem w ludzkim ciele. Takemu komuś

wolno mieć jedną czy dwie wady.

Sophie cechowała nad wyraz rozwinięta powaga, a Lauren towarzyskość. Ja plasowałam się gdzieś pomiędzy. Oceny miałam na tyle dobre, żeby można mnie było uznać za przeciętną, a wrodzone wyszczekanie kwalifikowało mnie jako zabawną. Moim zdaniem całkiem dobry status. Może nie mogłam się pochwalić długą listą byłych chłopaków – jeśli wliczyć Dillona Younga z piątej klasy, było ich w sumie pięciu, co nie przynosiło jednak jakiegoś straszego wstydu – ale liczyło się to, że na boisku jestem boginią.

– Niemożliwe, że... – zmieniła temat Lauren – że mamy jeszcze tylko jeden sezon...

– Nie kończ! – wrzasnęłam. – Wszystko popsujesz. Właśnie złożyliśmy McDonnell Prep, nie zapominaj o tym.

– Wiem, ale...

Znów podniosłam rękę, żeby ją powstrzymać. Chociaż miałyśmy przed sobą jeszcze półtora roku, Lauren już się mazała na myśl o maturze. O rozwiązaniu drużyny. Pójściu każda w swoją stronę. Emocje zawsze jej skakały od największego zachwytu do najgłębszej depresji, ale koniec szkoły budził w niej strach godny co najmniej leczenia kanałowego. Ja tam nie mogłam się tego doczekać. I awansu do ligi uniwersyteckiej. Reprezentacji.

Czułam, że nic mnie nie powstrzyma. Że jestem cudem.

A teraz leżałam pod szydełkowym kocem na zakurzonej podłodze piwnicy, z kolanami podciągniętymi niemal pod brodę i przypomiinałam sobie, jak tamtego wieczoru położyłam ręce na ramionach Lauren i zdecydowanie spojrzałam jej w oczy. Pamiętam, że pachniała gumą arbużową i serum de rouge lip treatment. A najlepiej pamiętam, co jej powiedziałam. „Wszystko się jakoś ułoży, zobaczysz”.

Okazało się, że okłamałam ją jak nigdy wcześniej.

17

Mogłabym powiedzieć wiele przykrych rzeczy o Hildzie. Zresztą już je przecież mówiłam. Ale biorąc pod uwagę, że ciężko jej szło samo wymówienie słów „dwunasta w południe”, umiała się zmaterializować pod moimi drzwiami punktualnie o dwunastej. Co do setnych sekundy. A ponieważ wczorajsza tragedia z pokoju Masona przyćmiła niemal każdy aspekt mojego życia i zapomniałam odwołać sesję, spędziłam upojne popołudnie, ucząc się „Jak znaleźć ulicę, której szukam” oraz „Jak przejść przez przejście”. Jedno i drugie wydawało się równie proste, jak zejście z wyciągu narciarskiego z noworodkiem w jednej ręce i kartonem jajek w drugiej.

Po jakiejś godzinie mój mózg przeszedł w stan uśpienia i zastanawiałam się wyłącznie nad takimi sprawami, jak: czy mój dawny trener nadal ma brzuch wylewający się z nad paska, czy Hilda kiedykolwiek była u dentysty oraz czy ciasteczka nutter butters na pewno są lepsze niż fig newtons. Hilda musiała zauważyć, że myślami jestem gdzie indziej, bo spytała ostro:

– Powiedz mi, Maggie, gdzie się znajdujemy?

Wiedziałaam tylko, że szłyśmy na tyle długo, że moja ręka zaczęła się pocić na jej łokciu oraz że cały czas mówiła o „wejściu na krawężnik”, „zejściu z krawężnika” albo „ominięciu krawężnika”.

– Jesteśmy... niedaleko krawężnika?

Prychnęła mi w twarz rumuńskim oddechem.

– Opowiedz o tym, co cię otacza.

Znałam ją od paru miesięcy i wiedziałaam, że najłatwiej się jej pozbyć, mówiąc to, co chce usłyszeć. Oznajmiłam więc zdecydowanie:

– Przed nami słyszę ulicę, więc pewnie się zbliżamy do dużego skrzyżowania.

Wymruczała wiązkę wściekłych słów w obcym języku.

– Więcej.

Przytupywałam stopą w rytm łopotu flagi znajdującej się po naszej prawej stronie. Zlewała się z muzyką, którą zawsze słyszałam w głowie. Gdy straciłam wzrok, myślałam, że automatycznie wyostrzą mi się pozostałe zmysły, ale tak się nie stało. To Hilda uczuliła mnie na wskazówki wyłuskiwane z otoczenia.

– Jesteśmy między kilkoma budynkami – orzekłam w końcu, odnotowawszy w powietrzu zapach tłuszczu. Jak kierujący ruchem zaczęłam wymachiwać rękami: – Tam łopocze flaga, a stamtąd pachnie... frytkami? Czyli jesteśmy w centrum. Między sądem a McDonaldsem.

– Uff – usłyszałam tylko. Mogło to oznaczać dwie rzeczy: albo absolutnie miałam rację, albo absolutnie nie.

Pierwsze słowa, jakie wypowiedział Ben, gdy tego wieczoru odebrałam od niego telefon, nie brzmiały: „Cześć, co słychać?” ani nic, czego można by się spodziewać. Powiedział bowiem: „Manat”. Niesamowite, że wywoływał na mojej twarzy uśmiech, wypowiadając tylko jedno słowo!

– O czym ty mówisz? – spytałam i powoli obróciłam się na krześle, a potem zaczęłam poruszać ustami do wtóru z nową piosenką Loose Cannons, *Eternal Implosion*, która akurat leciała w radiu.

Westchnął dramatycznie.

– Posłuchaj, Thera. Chodzi o to, że w genialnym zamyśle wszechświata coś jest nie tak. I tym czymś jest manat.

Wstałam i poczułam woń swojego przepoconego ubrania. Fuj!

– Jak to? – spytałam i podeszłam do szafy. Na metkach moich ubrań namalowane były farbą do materiałów kropki, które opisywały kolor. (Jedna kropka – czarny, dwie – niebieskie, trzy – czerwony i tak dalej). Hilda opracowała ten sposób, żeby oszczędzić mi przy porannym ubieraniu

szamotaniny. Nie udało się.

Trafiłam na niebieski podkoszulek i włożyłam go przez głowę, a kiedy z powrotem przysunęłam telefon do ucha, Ben mówił właśnie:

– No bo pomyśl, Thera. Świński ryjek, rozkładane płetwy, zwały tłuszczu, ogonek i kozia bródka. Nie sądzę, żeby coś takiego zostało stworzone z premedytacją. Myślę, że manat powstał przypadkiem.

– Może był stwarzany na ostatnią chwilę? – uśmiechnęłam się do telefonu. – Jak już wszystkie porządne części zostały zużyte?

Usłyszałam, że pstryknął palcami.

– Thera? Myślę, że wpadłaś na trop. Pewnie Bóg pomyślał: „Za pięć minut jestem umówiony z chłopakami na pokera, a zostały mi jeszcze odrzuty po akcie stworzenia zwierząt. Pozlepiam je jakoś i nazwę MANAT”. – Po prostu widziałam jego szalony uśmiech. – Już mi lepiej. – Potem usłyszałam u niego jakiś ruch i Ben burknął: – Dlaczego tak wcześnie? – Brzmiał jakby z końca długiego tunelu, więc uznałam, że zasłonił mikrofon ręką. – Dobrze. Dobrze! Słyszałem! – Gdy się odezwał, usłyszałam go już bez przeszkód: – Mason się upiera, że mamy jechać na basen za dziesięć minut – poinformował. A następnie podniósł głos: – W ZWIĄZKU Z CZYM BĘDZIEMY NA MIEJSCU O DWADZIEŚCIA MINUT ZA WCZEŚNIE, JAK GŁUPKI! – Niechący ścisnęło mnie w żołądku, bo przypomniałam sobie scenę w pokoju Masona. Minęły dwadzieścia cztery godziny, a ja nadal nie miałam pojęcia, co mu powiem, jak się następnym razem zobaczymy. – No dobra – kontynuował Ben. – A co tam na planecie Thera?

Odchrząknęłam, bardzo zadowolona, że mam się na czym skupić.

– Niech się zastanowię. Zjadłam pół paczki doritosów, które są faktycznie świetne, ale jednak nie są moim Cosiem. Potem przejrzałam parę internetowych encyklopedii i miałam sesję z Hildą.

– Pierdzielisz! Encyklopedie??? – prawie wrzasnął, zupełnie nie zwracając uwagi na resztę moich wyczynów.

– Ben, nie przeklinaj – upomniałam go, co w moich ustach brzmiało bardzo wątpliwie, ale nieważne. On miał dziesięć lat, a ja niedługo będę legalnie dorosła. – Tak, encyklopedie – powtórzyłam. – Najpierw sprawdziłam

Phantom Keys, bo usłyszałam w radiu jedną z ich wczesnych piosenek. Tę o oceanie, kojarzysz? *Stealing the wave* czy coś w tym stylu. Naprawdę, to jest dopiero piosenka! Totalna. Potem przeszłam do Q, żeby poczytać o Peterze Quigleyu, który gra u nich na klawiszach. Wiedziałaś, że gra tylko lewą ręką, bo prawą uszkodził w wypadku, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych? Tylko jedną ręką! A jest świetny!

Bałam się, że Ben mnie ochrzani za przeskakiwanie z litery na literę i sprawdzanie tylko nazwisk muzyków, ale się pomyliłam.

– GENIALNIE! – znów wrzasnęła, cała w emocjach. Przez jakiś czas rozwodził się nad literą P, że „penitencjarny” nie ma nic wspólnego z męską anatomią, a ludzie o nazwisku Pedro zajmują tysiąc stron. Oraz że dopiero po jakimś czasie potwierdzono przynależność misia pandy do niedźwiedziowatych.

– No, nie wiem – zastanowiłam się. – Ja jestem nakręcona na Q. Ten wpis o Peterze Quigleyu był genialny.

Zapanowała cisza.

– Ben?

– Tak? – spytał cicho.

– Co się stało?

Kolejna porcja ciszy. Później odchrząknął. Głosem nienaturalnie piskliwym usiłował zbagatelizować sprawę:

– Nic. Po prostu ja nie mam tomu z literą Q.

– Aha, no fakt. A co się z nim stało?

Cisza.

– Ben? – Miałam niepokojące wrażenie, że jakoś go zraniłam, choć nie miałam pojęcia, jak. – Jesteś tam?

– Tak. – Odkaslnął. – Po prostu... Jakieś dupki w szkole pomyślały, że będzie zabawnie wyjąć mi tom Q z plecaka, wyrwać strony i podrzeć na miliony strzępów.

Zrobiło mi się tak smutno, że aż mnie ścisnęło w piersi.

– Tak mi przykro – szepnęłam.

– Nie szkodzi! – zapewnił za głośno. – Nie ma sprawy. Niektórzy są po

prostu... – westchnął. Potem podjął drugą próbę. – Niektórzy są debilami, no wiesz.

– Tak, wiem coś o tym – przyznałam.

Czułam, że moje serce tonie.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówiło, a potem Ben głęboko westchnął, kaszlnął i zmienił temat.

– Gdy jeszcze byłaś całkiem niewidoma, to znaczy zanim się uderzyłaś w głowę i zobaczyłaś mnie, za czym tęskniłaś najbardziej?

– Za niebem – odparłam. – Wciąż za nim tęsknię.

– Ale za czym konkretnie?

Zamyśliłam się głęboko.

– Za tymi chwilami tuż przed zmierzchem, kiedy jeszcze nie ma wieczoru, ale już nie jest dzień. Ta pora wydaje mi się czarodziejska, jakby można było wtedy dokonać cudu zupełnie bez wysiłku. Tęsknię za szkarłatnym odcieniem wschodu słońca. Za chmurami. I gwiazdami, Boże, jak tęsknię za gwiazdami. – Wyczerpana, westchnęłam tak głęboko, że aż zapadłam się w sobie. Nie zamierzałam odpowiadać aż tak szczerze. – A ty myślisz czasem, co byś zrobił, gdybyś mógł chodzić bez kul?

Zareagował błyskawicznie.

– Nie. Jak stwierdzam, że chcę coś zrobić, to robię.

Gdy skończyliśmy gadać, weszłam na stronę Loose Cannons. Od czasu tamtego postu, który przeanalizowałam na wszystkie strony, nie opublikowali nic nowego, więc przeniosłam się do komentarzy po nagraniu z koncertu. Chociaż parę dni temu już tam byłam, liczyłam, że może któryś z superfanów rzuci jakąś wskazówkę.

Ale nic takiego się nie stało.

Pojawiło się jeszcze kilka napszonych komentarzy dotyczących koncertu i wpisy jakiegoś głąba o nicku Cannon Dude, który plotkował jak stara kucharka. A to, że Masonowi przydałoby się strzyżenie, że Carlos wyszedł po koncercie i nie odezwał się ani słowem do reszty zespołu i prawdopodobnie

Gavin strzeże klucza do Wielkiej Tajemnicy.

Wywróciłam oczami. Błagam! Gavin? Ten nieśmiały dzieciak, który grał na basie i śpiewał drugi głos, zupełnie nie wyglądał na zdolnego do opracowania jakiegoś systemu. Z trudem na mnie w ogóle patrzył, gdy się poznaliśmy.

Mama weszła do mojego pokoju akurat, gdy leżałam rozwalona w poprzek łóżka, machałam nogami w powietrzu, jęczałam, marudziłam i użalałam się nad sobą. Przekrzykując muzykę, zaczęła:

– Dzwonił do mnie dzisiaj pan Fenstermacher. Podobno Clarissa... – Westchnęła ciężko, minęła mnie i ściszyła odtwarzacz. – Próbuje się z tobą od jakiegoś czasu skontaktować w sprawie pracy z angielskiego, a ty ją ignorujesz. – Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęłam. Rozmowa z mamą przypominała próbę złożenia prześcieradła z gumką. Człowiek bardzo się stara, a i tak wychodzi z tego bezkształtny, poplątany flak, więc po co sobie w ogóle zawracać głowę? Usiadła na łóżku, ale była tak lekka, że materac prawie się nie ugiął. Przypomniało mi się nagle, jakie jesteśmy do siebie podobne: drobne, szczupłe, z burzą loków w kolorze orzecha. – Pamiętaj, Maggie – zaczęła zmęczonym tonem – że nie było łatwo przekonać dyrektora, żeby cię nie wyrzucił. Obiecaliśmy mu z tatą, że poprawisz oceny i nie będziesz się pakować w kłopoty. – Nagle poczułam, że zaraz się rozpłaczę. Musiała to zauważyć, bo dalej mówiła niepewnie i cicho: – Nie chcemy cię z tatą karać.

– Niby jak można mnie ukarać? – spytałam. Nie wiem, czemu to powiedziałam. Może dlatego, że siedziała tak blisko. Albo kipiała we mnie wciąż frustracja z powodu kolejnego przegapionego koncertu. W każdym razie pytanie zabrzmiało i zaskoczyło mnie chyba w takim samym stopniu, jak ją. Teraz, kiedy już je zadałam, dotarło do mnie, że bardzo chciałabym usłyszeć jej odpowiedź. Rodzice nic nie zrobili, kiedy wyszedł na jaw incydent z posągiem. Po drodze z komisariatu tylko cicho ze mną rozmawiali, głosami pełnymi rozżalenia, a potem odesłali mnie do pokoju. Ale prawda jest taka, że teraz nie mogli mi już nic odebrać. Straciłam wszystko, co miało dla mnie znaczenie.

– Maggie... – ostrzegła ze znużeniem, zbywając tym samym pytanie.

A ja tym samym dostałam odpowiedź.

Nie płakałam. Nie do końca. Ale jednak nie mogłam przełknąć śliny. Objęłam się ramionami, a ona zaproponowała:

– Po prostu obiecaj, że zadzwonisz dzisiaj do Clarissy i zaczniesz pracę nad projektem. Nie możesz sobie pozwolić na złe oceny.

Zamknęłam oczy i kiwnęłam głową. Z telefonem zaczekałam, aż wyjdzie.

Clarissa odebrała po pierwszym sygnale.

– Cześć – powiedziała.

– Maggie! Ja cię kręcę! Tak się cieszę, że dzwonisz! – zaćwierkała, a ja poczułam, że mój telefon zmienia się w wielki balon wypełniony jej głośnym, jasnym głosem. Poprawiłam słuchawkę przy uchu, a ona nawijała dalej: – Miło cię słyszeć! Jak się masz? Obraziłaś się na mnie?

– Ja? Nie – odparłam. Trudno to było uznać za zdanie. Dla większości użytkowników języka zasługiwało co najwyżej na miano burknięcia, ale znalezienie miejsca na wypowiedź w potoku paplaniny Clarissy przypominało wpasowanie się ze skokiem między dwie skakanki, którymi koś kręci. Nie robiła zbyt długich przerw.

– No, jak to? Zostawiłam ci chyba miliard nagrań na skrzynce głosowej i ani razu się nie odezwałaś! – wykrzyknęła. – Nieważne. Tęskniłam za tobą! Byłaś zajęta? Ja byłam strasznie, mówię ci, stara! Klub czytelniczy, zajęcia z dekoracji ciast i harcerstwo. – Zamilkła na ułamek sekundy, żeby złapać oddech przed wlaniem mi do ucha kolejnego potoku słów: – Chodzę teraz do kawiarni Bean and Gone – poinformowała. – Mają nowego baristę, który jest totalnie zjawiskowy! Tak, tak, wiem, co sobie myślisz – stwierdziła sarkastycznie i zmieniła nawet głos, żeby zabrzmieć tak, jak ja. – Skąd możesz wiedzieć, Clarisso, czy jest zjawiskowy, skoro jesteś niewidoma? Już ci mówię: poznałam to po tym, jak pyta, czy chcę dodatkowy cukier do kawy mrożonej. – Westchnęła spektakularnie. – To brzmi jak wiersz. Jak poezja, Maggie, odjazd. Żywioł!

Zorientowałam się, że zamilkła, prawdopodobnie w oczekiwaniu na moją reakcję.

– Serio? – spytałam. Na nic więcej nie było mnie stać. Nie licząc ślepoty,

nic mnie nie łączyło z uczniami z Merchanta. A już najmniej z Clarissą, która była... szczęśliwa z natury, jak biskoptowy labrador, który właśnie wychłęptał całą beczkę red bulla. Nie miała żadnego problemu z akceptacją ślepoty. Przecież nawet nie miała pojęcia, co traci. Zastanawiałam się, jakbym się czuła w jej sytuacji, jakby to było nie tęsknić za widokiem najulubieńszych rzeczy: nieba, kolorów, życia...

– Tak! – zaśpiewała mi w ucho. – Pracuje w środy po południu. Musisz ze mną iść w przyszłą środę. Zdecydowanie tak! – Usłyszałam w uchu jej oddech, a potem odgłos bębnienia palcami. – Tylko... wiesz co? Nasz projekt. Środa po południu to jedyny termin w tym tygodniu, kiedy mogę do ciebie wpaść, żebyśmy nad nim popracowały.

– Chcesz przyjść w środę po południu? – spytałam grając na czas. Boże, obiecuję, że będę lepszym człowiekiem, poprawię oceny, przestanę przeklinać i będę wstawać przed południem, jeśli tylko ześlesz mi innego partnera do tego projektu, proszę, proszę, błagam, ona jest zbyt nadpobudliwa, rozkoszna, gadatliwa i w ogóle zbyt. Jestem pewna, że mózg mi się roztopi i wypłynie uszami, jeśli będę musiała siedzieć z nią przez godzinę w jednym pomieszczeniu.

Ale zdaje się, że jedyną osobą, która zwracała na mnie uwagę, była moja mama. Otworzyła drzwi i głośno stwierdziła:

– Powiedz Clarissie, że środa ci bardzo pasuje.

18

Przez kilka dni nie widziałam Masona, chociaż biorąc pod uwagę intensywność, z jaką o nim myślałam, mógł równie dobrze non stop zaglądać mi przez ramię. Niezliczone minuty poświęcałam żałowaniu, że tamtego dnia w jego pokoju nie wrzasnęłam, nie tupnęłam nogą, nie trzasnęłam drzwiami albo nie zrobiłam czegokolwiek, byle tylko nie wyslizgiwać się na korytarz, jakbym zrobiła coś złego.

Bo przecież nie zrobiłam.

Prawie.

Kiedy w końcu na siebie wpadliśmy, miałam przygotowanych z pięć dobrych, wyszczekanych odzywek. Szykowałam się na bitwę. Oczekiwałam iskier i całej reszty. Konfrontacji. Ale gdy nasze ścieżki wreszcie się przecięły w salonie Miltonów, nie wydarzyło się nic. Przeszedł przez pokój, w ogóle mnie nie zauważając. Gdy mnie już minął, odwróciłam się i gapiłam się na jego plecy, a niewypowiedziane słowa utknęły mi w gardle. Nie mogłam się teraz odzywać, wyszłabym na desperatkę i to z poczuciem winy. Więc nic nie powiedziałam. Następnego dnia? Też nic. Nic, nic, nic.

Tak mijał dzień za dniem. Ignorowaliśmy się.

No dobrze, tak naprawdę on mnie ignorował, a ja udawałam, że też. W każdym razie efekt był taki sam. Na swoją obronę mogę powiedzieć, że trudno mi szło rozgryzienie go, więc ignorowanie również. Nie chodziło tylko o aspekt związany z Loose Cannons. Tylko o niego w całości. Zawsze miał na sobie czarny T-shirt i dzinsy. Zawsze. Nawet w czasie upału. Poza tym zauważyłam coś ciekawego w jego sposobie chodzenia. Z jednej strony szedł

tak, jakby komunikował, że ma coś ważnego do zrobienia, a jednocześnie mówił: wcale się nie śpieszę. Miał też dziwny, ale uroczy zwyczaj zasysania dolnej wargi, kiedy zatapiał się w myślach. Ze wstydem muszę przyznać, że gdy mi to wpadało w oko, całkiem traciłam kontrolę nad swoim mózgiem.

Co jednak nie zmieniało faktu, że jak przebywałam w pobliżu, zaciskał z wyższością szczęki, odwracał się tyłem, a mijając mnie, szurał buciorami w rozmiarze godnym Wielkiej Stopy i sprawiał wrażenie zwycięzcy. I to mnie doprowadzało do furii.

Kilka dni później siedzieliśmy obok siebie z Benem i graliśmy w gry, a ja powiedziałam:

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś przemówił Masonowi do rozumu.
- Zachowuje się jak debil, bo uważa, że tylko udajesz niewidomą.
- Pamiętaj, żebyś mu nie mówił, jak jest!
- Nie mówię, dwadzieścia tysięcy razy powtórzyłem, że jesteś, ale mi nie wierzy.

Czyli o to chodziło. Mason miał mnie za żalostną psychofankę, wykorzystującą jego młodszego brata, by znaleźć się bliżej niego, a ja nie mogłam nic na to poradzić.

Ben go oczywiście bronił:

– W końcu się do ciebie przekona. Jemu po prostu dłużej zajmuje poznawanie ludzi. Trochę się wycofał po śmierci taty. – Po raz pierwszy wspominał o ojcu. Szanowałam jego milczenie i nie dopytywałam. W końcu sama dobrze wiedziałam, jak to jest mieć szafę pełną potworów, o których nie chce się mówić na głos. Ja miałam ich wręcz całą garderobę. Siedziałam bez słowa i pozwoliłam Benowi mówić. – Jak umarł, było strasznie. Przez wiele dni płakałam jak wulkan.

– Jak wulkan?

Wyprostował się i zobaczyłam w nim czterdziestoletniego mężczyznę włożonego w ciało chuderławego dziesięciolatka.

– No tak. Tak, wiesz, wybuchowo. Jak się coś takiego dzieje, trzeba to z siebie wyrzucić. Żeby móc żyć dalej. Trochę to trwało, ale teraz wszystko jest w porządku. Tęsknię za tatą, ale daję radę. – Westchnął i zapatrzył się w okno.

– Ale Mason? On nigdy nie płacze. Tłumi wszystko. Tylko raz zachował się jak wulkan. Kiedy jakiś dzieciak w szkole naśmiewał się, że nie zaliczył trzech z rzędu klasówek z chemii. Wtedy nie wytrzymał i mu przywalił. Prosto w szczękę. Znokautował go. – Znów westchnął. – Zawiesili go na tydzień.

Zagryzłam wargę; czułam się mniej zła na Masona, ale nadal poirytowana jego zachowaniem. Zdawałam sobie sprawę, że trochę nim gardziłam, a jednocześnie kompletnie mi zawrócił w głowie. Denerwowało mnie to, nie powiem. A najbardziej wkurzająca była świadomość, że on umie się zachować jak dobry, uprzejmy człowiek. Na własne oczy widziałam. Dlaczego więc nie mógł mi odpuścić?

Dobra, może nie byłam wzorową obywatelką. Nie zawsze podejmowałam prawidłowe decyzje. Nie grzeszyłam uprzejmością. Ale mimo wszystko. Czy gdybym była jego grupie, to nie omdlewałabym za każdym razem, gdy wchodził do pokoju? Oczywiście, że tak! A czy tak robiłam? Nie!

W każdym razie nie na zewnątrz.

Uznałam w końcu, że musimy z Masonem trochę oczyścić atmosferę. Pogadać. Wiedziałam, że nie mogę mu powiedzieć wszystkiego, ale chciałam przynajmniej przekazać to, co najważniejsze: że nie wykorzystuję Bena, żeby się znaleźć blisko niego. Tyle byłam mu winna. Zatem kilka godzin później, gdy Ben ruszył do toalety, wyposażony w wyjątkowo gruby tom encyklopedii, ja ruszyłam na poszukiwanie Masona.

Okazało się to bardzo łatwe, wystarczyło iść za dźwiękami gitary. Zatrzymałam się w progu jego pokoju. Miałam nadzieję, że go nie zobaczę, że światło roztaczane przez Bena, chociaż wciąż zwiększające zakres, nie sięgnie pokoju Masona, czyli miejsca zbrodni.

Ale sięgnęło.

I chociaż stałe polepszanie się mojego wzroku napawało mnie ostrożnym optymizmem, to pokój Masona, skąpany w tajemniczym mroku, typowym dla granic mojego pola widzenia, z jakiegoś powodu bardzo mnie stresował. On siedział na łóżku z gitarą na kolanach. Nie opierał się o zagłówek, tylko siedział na środku, po turecku. Zwyczajnie, jak dziecko, co mnie zszokowało. W tej pozycji wydawał mi się bezbronny, szczery, otwarty. Młody. Wrażliwy.

Zwyczajny.

Przypominał mi Bena.

Nie wiedział, że na niego patrzę i cicho nucił hipnotyzującym głosem, od którego za każdym razem skręcał mi się żołądek, którego nienawidziłam i kochałam równie zapalczywie. Panowała cisza, tylko z łazienki dobiegał czasem szelest stronic encyklopedii. Dom słuchał razem ze mną. Zagryzłam dolną wargę. Jedną rękę trzymałam na gałce drzwi i patrzyłam. Nigdy nie widziałam, jak gra. Wiem, parę dni temu siedział przy kuchennym stole i coś brzdąkał, kiedy z Benem bawiliśmy się w „co byś wolał?”, ale to nie to samo. Widziałam po jego minie, że teraz zaginał między dźwiękami. Był po prostu Masonem. W końcu wytarłam ręce w spodenki i się odezwałam:

– Mason? Chciałabym chwilę z tobą porozmawiać.

Przestał nucić i palce potknęły mu się na strunach, ale zaraz się opanował i nawet nie spojrzał w moją stronę, tylko dalej grał.

Spodziewałam się tego. Tak naprawdę to w jakiś sposób wszystko ułatwiło. Wprostowałam się i kontynuowałam:

– Słuchaj... – Wcześniej myślałam, że reszta wypowiedzi sama spłynie mi z ust, ale tak się nie stało. Odchrząknęłam i zmusiłam się do wysiłku: – Chcę ci powiedzieć, że Ben jest dla mnie ważny i nigdy go nie skrzywdzę. Już dość się nacierpiał.

Od tych słów ścisnęło mnie w piersi. Nawet nie wiedziałam, że tak się będę męczyć wypowiadając to. Z jakiegoś powodu moje uczucia wylały na wierzch i siedziały na powierzchni, żywe i bezbronne. Czułam się obnażona. Krucha. Kilka sekund zajęło mi zebranie myśli. Mason się nie odezwał. Nie wiem dlaczego, ale jak już mówiłam, okazało się, że nic o nim nie wiem. Poza tym, że był jak ja połamany. Tylko lepiej się przystosował. Może dlatego, że dla dobra rodziny musiał. Stanowił podporę, dzięki niemu wszystko funkcjonowało.

A czym ja byłam dla mojej rodziny?

Spojrzałam w sufit i zamrugałam. Wgapiłam się w biały tynk i z trudem formułowałam słowa:

– Chodzi o to, że jeśli cię w jakiś sposób uraziłam, to przepraszam. Ostatnie

miesiące były dla mnie trudne... – Ścisnęło mnie w gardle i wzrok rozmazał się od łez.

Kurczę.

Czułam w sobie te pęknięcia i rysy, naznaczające osobę, której już chyba nie znałam. W ostatnich tygodniach podzieliłam się na pół i nie miałam siły stanąć przed Masonem.

Muszę stąd iść.

– Twój brat uratował mi życie – wypaliłam szybko. Słowa same zaczęły wypadać mi z ust, gdy się wycofywałam z pokoju. Głos mi się trząsał i mówiłam jak ktoś, kto zaraz zacznie płakać. – On jest... No wiesz, Ben to Ben. Dobry, kochany i zabawny. Myślę sobie, że jeśli spędzę z nim dostatecznie dużo czasu, może trochę z jego osobowości przejdzie na mnie. – Zaśmiałam się, choć w tym śmiechu nie było śladu wesołości. Złapałam za kłamkę i ścisnęłam, jakby od niej zależało moje życie. W oczach miałam tyle łez, że Mason w nich pływał. – Chyba chciałam ci po prostu powiedzieć, że nie porzucę Bena tylko dlatego, że ty mnie nie lubisz. – Otarłam mokry policzek ręką. Potem obróciłam się na pięcie i wyszłam. Gdy już biegłam do pokoju Bena, zdałam sobie sprawę, że Mason wreszcie przestał grać.

Później tego samego dnia stałam na ganku całkiem zatopiona w myślach. Wygrzebałam z kieszeni iPoda. Wciąż analizowałam swoje załamanie na oczach Masona, a w przerwach zastanawiałam się, czy warto drobiazgowo zaplanowanym, przypadkowym skruceniem nogi wymiksować się z następnej sesji z Hildą. Nagle rozsunęły się szklane drzwi i damski głos za mną zawołał:

– Maggie?

Dosłownie podskoczyłam i obróciłam się tak gwałtownie, że iPod wyleciał mi z ręki w nieznanym kierunku. Pewnie nigdy go już nie odzyskam.

– Kto to?

– Clarissa!

Clarissa...

To już środa? Boże, no tak, środa. Potarłam kark.

– Cześć, Clarissa – odparłam, starając się zabrzmieć przyjaźnie.

Ruszyła w moją stronę i stuknęła laską, aż natrafiła na moje stopy. Na powitanie złapała moją prawą rękę. Nie wiem, jakim cudem na nią trafiła. Opierałam ją na biodrze, całkiem niedaleko lewej, którą, zupełnym przypadkiem, opierałam na drugim biodrze. Cała rozemocjonowana, ścisnęła moje palce i zaczęła:

– No cześć! Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że tata przywiózł mnie trochę wcześniej? Miał chwilę przed wieczornym dyżurem w szpitalu i mógł mnie podrzucić. Jeju, plecak mam nieziemsko ciężki! Wzięłam milion książek. Możemy wejść do środka i zacząć?

Wyjęłam dłoń z jej uścisku i wytarłam o spodenki. To głupie, wiem, ale to zrobiłam.

– Jasne.

Rozsiadła się na łóżku w moim pokoju i rozpoczęła jeden ze swoich szaleńczych, pełnych emocji monologów, tym razem na temat naszej pracy z literatury. Przez cały czas nie zwracałam na nią uwagi, zajęta myślami o tym, co powiedziałam Masonowi. O tym, jak wyglądał. I jak brzmiał. Z westchnieniem wróciłam na częstotliwość Clarissy. Nieustannie mówiła. Przeszła już do kwestii Chłopaka od Kawy Mrożonej. Liczyłam, że zamilknie i uzna, że jest zbyt wylewna, ale nie. Dalej nastąpił nieznośnie długi i szczegółowy opis kremu, który przygotowała na ostatnich zajęciach z dekorowania ciast. W końcu postanowiłam się odezwać.

– Naprawdę chodzisz na takie zajęcia?

– Tak! – zanuciła przyjacielsko i aż obudziła we mnie poczucie winy. – A niby czemu nie?

– Wydaje mi się, że to trudne – odparłam. Wsadziłam ręce do kieszeni, ale zaraz wyjęłam i skrzyżowałam na piersi. Odchrząknęłam. – Przecież nie widzisz, co robisz, więc jaki w tym sens?

– Sens leży w lukrze – zaczęła z zachwytem Clarissa. – Lukier. Ganache i krem cytrynowy. Bitka śmietana. Masa cukrowa. Ach, i beza! Poza tym to strasznie przyjemne. I bardzo proste. Po prostu nie wolno się śpieszyć i trzeba być uważnym: ustawienie woreczka do dekorowania, siła nacisku i tak

dalej. Chcesz przyjść na następne spotkanie? Przyjdź! Jesteś taka zabawna, dziewczyny będą zachwycone! I tak naprawdę nieważne, jeśli nawet ciasto wyjdzie nieładne, bo tak czy siak jest pyszne!

– Hmm – mruknęłam wymijająco, po czym ruszyłam w stronę biurka. Postanowiłam włączyć komputer i wziąć się za tę nieszczęsną pracę. Pośrodku pokoju potknęłam się o wielki plecak Clarissy, który najwyraźniej tam zostawiła. Stęknęłam, przesunęłam go na bok i spytałam: – Co tam masz?!

Usłyszałam klekot kostek lodu w kubeczku – jak obstawiałam, kubeczku z kawą mrożoną – następnie odgłos głośnego przełykania, a później Clarissa zaczęła wyjaśniać:

– Żeby móc tu dojechać, musiałam pojechać z tatą na parę godzin do pracy. Przyjmował pacjentów. Komuś trzeba było zszyć pęcherz czy coś tam. Wzięłam książki, bo nie znoszę siedzieć i słuchać, jak rozmawia z innymi lekarzami o penisach, prostatkach i wypuklinach.

– Przepuklinach – poprawiłam, a potem zachichotałam jak dziecko. No bo padło słowo „penis”.

– Nieważne, mogą być i przepukliny – nie przejęła się. – Więc wzięłam książki. Czytam dwie naraz, bo przyszły pocztą jednocześnie i na żadną nie mogłam się zdecydować. Z opisów wynika, że obie są super. Chcesz poczytać? Pożyczę ci, jak skończę. Zwariujesz, po prostu oszalejesz! To romanse.

– Nie, dzięki – powiedziałam tylko, bo nie miałam ochoty się wdawać w wyjaśnienia, dlaczego akurat teraz nie mam ochoty na romans. Poza tym udało mi się opanować dopiero pierwszy stopień angielskiego alfabetu Braille’a, czyli najprostszy. Większość książek wydawano w skomplikowanym stopniu drugim, którego się dopiero uczyłam.

– Na pewno? – nie mogła uwierzyć. – Zakochałabyś się w tych chłopakach! W *Zaklętym pocałunku* jest taka kapela, która przypomina mi Loose Cannons! Perkusista jest niesamowicie utalentowany, a wokalista przypomina mi Masona Milтона, można umrzeć z zachwyty!

Kaszlnęłam, jakbym połknęła swój język.

– Wszystko dobrze? – upewniła się.

Zbyt entuzjastycznie jak na siebie klasnęłam w dłonie.

– Tak jest! Zupełnie dobrze! Po prostu... – znów odchrząknęłam. Dwa razy.
– Lubisz Loose Cannons?

Parsknęła.

– Lubię to mało powiedziane! Uwielbiam ich tak bardzo, że nie starcza mi lubienia już na nic z wyjątkiem ciast!

Z impetem usiadłam na fotelu.

– Mhm.

– Właśnie! A ich teksty? Rozwalają mnie! Na przykład *Eternal Implosion*, sięga do jakichś totalnie głębokich przestrzeni. Cudowność!

– Mhm – mruknęłam znów. Taka już byłam rozgadana. Ale tak naprawdę nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam w szoku. Nie spodziewałam się, że akurat Clarissa będzie lubiła tę samą muzykę, co ja. Ponieważ jednak zaraz zaczęła znowu mówić, moje burczenie nie miało znaczenia.

– Mój kumpel, Jase Crenshaw, zna Masona Milтона. Totalnie, nie? Masona Milтона! Chodzą razem do Brighton.

Mój fotel zazgrzytał, gdy gwałtownie się do niej rzuciłam.

– Mason zdradził mu Wielką Tajemnicę? – prawie krzyknęłam.

Usłyszałam, że padła na łóżko. Potem zabębniła palcami w ścianę.

– Nie. Nic nie powiedział. – Odetchnęła głośno. – Jak myślisz, jaki on jest? Moim zdaniem superprzystojny. Albo superpociągający.

– Jedno i drugie. Moim zdaniem na pewno tak – odparłam z westchnieniem.
I to jakim.

Boże. Sama z trudem się trzymałam w pozycji pionowej.

– W każdym razie – zanuciła Clarissa – moim zdaniem Wielka Tajemnica wcale nie jest taka trudna do rozgryzienia. Na pewno gdzieś na stronie jest jakaś gigantyczna podpowiedź, tak oczywista, że łatwo ją przegapić. Powinnyśmy się częściej spotykać i robić burze mózgów.

– Jasne – zgodziłam się natychmiast. Bo umówmy się, w imię pójscia na koncert Loose Cannons byłam gotowa na pewne wyrzeczenia. Należało do nich spędzanie czasu z Clarissą Fenstermacher.

19

Choć miałam mnóstwo całkiem fajnych butów, odkąd straciłam wzrok, nosiłam wyłącznie japonki. Nawet w zimie. Sama nie wiem, dlaczego. Możliwe, że cienka podeszwa zapewniała mi lepsze wyczucie podłoża i dzięki niej mogłam się szybciej zorientować, gdzie jestem i co się dzieje. Bardzo prawdopodobne jest także to, że po prostu nie chciało mi się zawiązywać sznurowadeł.

Tak czy siak podobał mi się przekaz, jaki dawały japonki. Mówiły: „Mam ładne palce u nóg”. Oraz: „W najbliższym czasie nie zamierzam się stroić”. I jeszcze: „Dzisiaj nie planuję ucieczki przed organami ścigania”.

Ponieważ zawsze miałam gołe stopy, były strasznie zmarznięte, a co za tym idzie, śmiertelnie blade. Gdy siedzieliśmy z Benem obok siebie na podłodze przed telewizorem, wyglądały obok jego stóp jak przezroczyste. On miał nogi niezdrowo opalone i potwornie brudne.

– Co ty robisz z nogami, że są takie usyfione? – spytałam i oparłam się o kanapę.

Wzruszył ramionami.

– Nie noszę butów. Odkąd się dowiedziałem, że powstają w wyniku wycisku nieletniej siły roboczej. Potrzebuję nowych, których nie zrobili niewolnicy, ale mama nie ma czasu kupić. W efekcie chodzę boso.

– Wycisk nieletniej siły roboczej?

– Noo! Robią je pięcioletnie dzieci w krajach trzeciego świata. Widziałem w wiadomościach. Okazuje się, że moje ulubione buty zrobił niewolnik. Nie wiem, może w ogóle zrezygnuję z butów. – Wywróciłam oczami, a on ruchem

głowy wskazał na parę białych adidasów stojących przy drzwiach. – Jak je przyłożysz do ucha, usłyszysz głosy tysięcy dzieci zmuszanych do pracy za centa dziennie.

Już miałam coś powiedzieć, ale od strony pokoju Masona rozległ się ryk śmiechu. Odkąd przyszedłam, Mason siedział tam z Davidem. Od czasu mojego załamania nerwowego w jego pokoju nie rozmawialiśmy z sobą, zauważyłam jednak, że jest mniej spięty w mojej obecności i częściej przebywa w tym samym pomieszczeniu, co Ben i ja. Uznałam więc, że moje nędzne przemówienie odniosło jakiś skutek. I chociaż to tylko jedna cienka deszczulka, która i tak nie utrzymałaby ciężaru żadnego z nas, została przerzucona przez dzielącą nas przepaść, wiedziałam przynajmniej, że jesteśmy bliżej siebie.

Wściekałam się na siebie, że znów dałam się rozproszyć Masonowi, więc tylko lekko kopnęłam Bena w nogę.

– Do twarzy ci z tym brudem – zażartowałam.

– Cieszę się, że wreszcie to zauważyłaś, Thero. Może teraz rozważysz buziaka?

Walnęłam go łokciem w żebra.

– Uwaga, oto powody, dla których nie dam buziaka Benowi Miltonowi. Po pierwsze: jest ode mnie siedem lat młodszy. Po drugie: chociaż nie jest moim bratem, traktuję go jak brata. Po trzecie: ma między przednimi zębami kawałek grzanki z serem.

– Kurna. Serio? – zdenerwował się Ben i zaczął pocierać zęby palcem wskazującym.

– Po czwarte: jest za młody, żeby przeklinać, a jednak przeklina. I po piąte – tu zniżyłam głos – znalazłam pod jego łóżkiem płytę Loose Cannons.

– Kurna...! – powtórzył, tym razem głośniejszym głosem, aż tłusty labrador, leżący obok niego z wyciągniętymi do tyłu łapami, jak żaba, i z nosem dotykającym jego kolana, uniósł brwi.

Spojrzałam na psa z pogardą. Naprawdę, był niezdrowo uzależniony od uwagi Bena.

– Błagam cię, nie mów Masonowi o płycie – szepnął Ben, jakbyśmy grali w

filmie o Bondzie i ja właśnie odkryłam prawdę o jakiś supertajnym dokumencie.

Chętnie bym go trochę podręczyła z tego powodu, ale do salonu zajrzała właśnie pani Milton.

– O co cię wczoraj prosiłam, Benjaminie?

Ben z jękiem spojrział w sufit.

– Żebym spłukiwał pastę do zębów z umywalki?

– I?

Westchnął głęboko.

– Żebym odkurzył z dywanu okruchy doritosów, zanim – zrobił palcami znaki cudzysłowów – „mój pokój zamieni się w mrowisko”?

– Czy mógłbyś to zrobić już? Jutro idę na wczesną zmianę, więc muszę się wcześniej położyć. Nie chcę, żeby tak jak ostatnio o północy obudził mnie odkurzacz, gdy się wzięłeś za sprzątanie.

Ben zerknął na mnie przepaszająco, wzruszył ramionami i wyszedł, zostawiając mnie w półmroku. Mimo to zauważyłam Masona, który kilka minut później, bez choćby rzutu oka w moją stronę, przeszedł przez korytarz. Wyszedł na dwór, a parę kroków za nim szedł David. On za to zwrócił na mnie uwagę i ostro zahamował.

Zatkało mnie na chwilę. Co Mason powiedział kolegom tamtego wieczoru, kiedy wyszłam z jego pokoju? Że jestem wariatką? Psychofanką? Nagle poczułam się jak jeden z tych głupkowatych mieszkańców przyczepy campingowej, który postanowił nie uciekać przed huraganem. I dopiero gdy wichur walał do jego drzwi, zorientował się, że po nim.

David położył rękę na piersi, a ja wstrzymałam oddech i czekałam na cios.

– Uspokój się, serce! – oznajmił dramatycznie. – Maggie Sanders, tajemnicza dziewczyna. Piękna jak zawsze. – Wszedł do pokoju, usiadł obok mnie i trącił mnie łokciem. – Bądź tak miła i wytłumacz mi, o co chodziło wtedy, w pokoju Masona? On nie chce nic wyjaśnić.

Zamrugałam. Nie zdradził im swoich podejrzeń? Machnęłam ręką i zagapiłam się na tatuaż na jego przedramieniu.

– Nic takiego. Małe nieporozumienie.

– Czyli nie kręcicie z sobą?

Ścisnęło mnie w gardle, więc szybko przełknęłam ślinę.

– Nie.

Wyciągnął patykowate nogi, splótł ręce za głową i oparł się o kanapę.

– A z jakiego konkretnie powodu siedzisz o godzinie ósmej tego pięknego, letniego wieczoru przed telewizorem i słuchasz powtórek... – Zerknął na ekran telewizora i aż się wzdrygnął. – Jezu, jest jeszcze gorzej, niż myślałem. *Taniec z gwiazdami???*

Wzruszyłam ramionami.

– Wiesz, że jest sobota wieczór, tak? – upewnił się.

– No i co?

– Jedziemy do Strandu. Dead Eddies zaczynają dzisiaj pierwszą trasę po latach. Jedź z nami.

– Dead Eddies? Nie gadaj!

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– No!

– Matko! – Dead Eddies... To byli Dead Eddies, po prostu. Uwielbiałam ich od zawsze. Ale perspektywa przebywania w towarzystwie Masona bez wzroku sprawiała, że ścisnęło mnie w żołądku. Dobra, prawda jest taka, że w ogóle myśl o przebywaniu w towarzystwie Masona wywoływała taki efekt.

– Carlos i Gavin też idą?

David szarpał się z luźną nitką w dzinsach.

– Gavin jest udupiony na jakiejś kolacji z rodzicami, a Carlosa nie widzieliśmy, odkąd parę dni temu wyszedł z próby.

– Pokłóciliście się?

David wzruszył ramionami tak energicznie, że podskoczyła cała górna połowa jego ciała.

– Czasem się z nami nie zgadza. Upierał się przy zmianie jednego aranżu, myśmy nie chcieli, więc wyszedł. Taki jego foch, nic takiego. – Machnął lekceważąco ręką. – To co, Strand?

– Ale... – grałam na czas – Strand jest w Bridgeport, tak? Tam chyba wpuszczają od dwudziestego pierwszego roku życia?

- Wpuszczają.
- Macie lipne dowody?
- Pewnie.
- Ale ja nie mam, więc odpadam.
- Niby tak, ale: znam gościa, który zna gościa, który mu wisi przysługę.

Mogę cię wprowadzić.

Teraz już desperacko wypaliłam:

- Zapomniałam z domu laski.

Wzruszył ramionami:

- Użyczę ci na dzisiejszy wieczór swojego ramienia. Albo Mason to zrobi.

Przełknęłam ślinę tak głośno, że musiał słyszeć.

- Ale co z Benem?

David westchnął tak głośno, jakby miał do czynienia z przykładem wyjątkowej tępoty.

– Ben ma dziesięć lat, a ty siedemnaście. Na pewno zrozumie. – Zanim zdołałam wymyślić nowy argument albo choćby się z Benem pożegnać, podciągnął mnie do pozycji stojącej, a potem wyprowadził na zewnątrz. Pokierował mnie prosto na tylne siedzenie samochodu, a przy okazji rzucił do Masona:

- Słuchaj, zaprosiłem Maggie.

– Aha – odparł Mason. W ten sposób skomentował moją obecność oraz fakt, że z nimi jadę. Ale ponieważ nie brzmiało to ani wściekle, ani niechętnie, poczytałam to za swój mały sukces.

20

Może gdybym szła w dziesięciocentymetrowych koturnach z doczepionymi sprężynami, to dosięgałabym do łokcia Davida bez zadzierania rąk, ale kiedy wchodziliśmy po schodach do tylnego wejścia Strandu, potykałam się co chwila i niemal zwisałam z jego ramienia. Gdy za którymś razem usiłowałam się pozbierać, Mason, który szedł za mną, złapał mnie w pasie.

– Wszystko w porządku? – Zaraz zabrał ręce, ale ja czułam, jakby wypaliły mi piętno. W odpowiedzi wygenerowałam coś w stylu „eghm”, na co usłyszałam mruknięcie mające pewnie znaczyć „to dobrze”. Uznałam, że widocznie jest przyzwyczajony do głupiejących w jego obecności dziewczyn, które nie są w stanie formułować zdań po angielsku.

Przywarłam do rozgrzanej ceglanej ściany, a w tym czasie David dobijał się do metalowych – sądząc po dźwięku – drzwi. Z wnętrza klubu dobiegało dudnienie basów. Odczuwałam je pod stopami. To jeszcze nie byli Dead Eddies, na razie jakiś DJ miksował dwie średnio popularne piosenki.

Drzwi się otworzyły i muzyka buchnęła mi w twarz.

– Paulie! – David przekrzykiwał muzykę. – Marcus mówił, że mogę wchodzić, kiedy będę chciała. – Nastąpiła cisza. Wyobrażałam sobie, że to czas na nieprzekonaną minę Paulie’ego, bramkarza. – Jak nie wierzysz, spytaj go.

– Dziś jest duży koncert – mruknął Paulie. – Początek trasy Dead Eddies. Wszystkie bilety wykupione.

– Nas jest tylko troje i nie zajmiemy dużo miejsca.

Paulie znów zamilkł. Stał i wydzielał dziwną mieszankę zapachów dezodorantu, miętowej gumy i sterydów.

– Dziewczyna pełnoletnia? – warknął w końcu.

– Za kogo ty mnie masz? – spytał z oburzeniem David.

Poczułam na twarzy chmurę miętowego powietrza, kiedy Paulie ciężko wzdychał.

– Żeby nie żałował! – I już byliśmy w środku.

Klub pękał w szwach. Zrobiliśmy może z pięć kroków i zatrzymała nas ściana ludzi.

– Nie przeszkadza ci, jeśli tu zostaniemy? – krzyknął do mnie David.

Co za pytanie!

– No co ty!

Zostawił mnie z Masonem, a sam poszedł podziękować Marcusowi. Upchnięci staliśmy ramię w ramię. Nigdy dotąd nie rozmawiałam z Masonem normalnie, więc nie wiedziałam, jak się zachować. Zazartować? Gadać o niczym? W końcu zdecydowałam się na szczerść.

– Dziki tłum! – wrzasnęłam.

– Nieźle – odparł.

– Jak zacznę od *The beginning of it all*, uprzedzam, że dostanę wylewu.

Tylko się roześmiał. Tak brzmiał najdłuższy dialog, jaki przeprowadziliśmy. Ale zdecydowanie najzwyklejszy.

Nagle wyrosła przed nami ściana zmieszanych z sobą co najmniej pięciu zapachów. Usłyszałam chór pisków, a potem jedna z dziewczyn, pewnie reprezentantka grupy, oznajmiła z zachwytem:

– Nie wierzę, że to ty!

– Tak, tak! – odwrzasnął Mason. – Wcale nim nie jestem...! Wiem, ciągle mi się to zdarza. Ale ja tylko wyglądam jak on.

Wydała pełen rozczarowania jęk.

– Dokładnie jak on! Naprawdę nie? Bo ten, który odszedł, był podobny do...

– Nie, nie! – krzyczał Mason. Poczułam, jak jego ramię unosi się i opada w przeproszającym geście. – Jestem normalnym gościem, który przyszedł na koncert. Ale dzięki za komplement!

Dziewczyny zniknęły.

Zaczekałam do końca piosenki, a potem nachyliłam się do niego:

– Nieźle wybrnęłaś.

– Bo tak w ogóle, przyszedłem po prostu na koncert.

Uśmiechnęłam się mniej więcej w jego stronę. Przebywanie w towarzystwie Masona bez konieczności patrzenia na niego bardzo mi pasowało. Wydawał się bardziej ludzki i prawdziwszy. Nie rozpraszały mnie jego włosy, oczy i... cała reszta. Nie musiałam się też pilnować.

David się pojawił, jak tylko Dead Eddies weszli na scenę. Tłum oszalał. Wszyscy krzyczeli, pchali się na siebie, tańczyli. Zawsze uwielbiałam tańczyć, ale zwykle za bardzo się przejmowałam swoim wyglądem. Dzisiaj miałam gdzieś, co inni o mnie pomyślą. Nie czułam się niezręcznie. Nie wątpiłam w siebie. Nie próbowałam niczego Masonowi udowodnić. Byłam tylko muzyką. Moje stopy pełniły rolę perkusji, biodra były śpiewem, a ramiona klawiszowymi riffami.

Gdy zaczęli grać *The beginning of it all*, jak szaleni skakaliśmy w rytm muzyki. Włosy wymknęły mi się spod opaski i pewnie wyglądały, jakby wybuchł w nich granat, ale nie zwracałam na to uwagi. Stałam blisko Masona i choćbym się starała, nie mogłam go nie dotykać. W pewnej chwili zaczęliśmy razem tańczyć, bez tego stresującego momentu, kiedy trzeba wykonać pierwszy krok. Nasze ciała świetnie się uzupełniały. Szukał mnie w każdym ruchu, a ja odruchowo się do niego dopasowywałam. Piosenka się skończyła i przez jedną króciutką chwilę żadne z nas się nie poruszało, po prostu staliśmy przyciśnięci. Potem się odsunęliśmy.

David wrzasnął mi do ucha:

– Nawet jaja mi się spociły! – Przyznam, że takich szczegółów nie chciałam znać. – Idę po coś do picia, też chcesz?

– Jeśli mogę, to poproszę wodę! – odkrzyknęłam, on o coś dopytał, ale nie usłyszałam, więc po prostu kiwnęłam głową, bo i tak trudno się było dogadać. Chwilę później wrócił i wcisnął mi do ręki strasznie słodką i ogólnie dziwną lemoniadę, ale wypłam ją duszkiem. Wolałabym wodę, ale tak strasznie chciało mi się pić, że przełknęłabym wszystko.

Gdy zespół zaczął się zwiajać, miałam za sobą półtorej godziny przetańczone

z Masonem. Pochłonełam jeszcze kilka takich lemoniad. Co ciekawe, każda smakowała mi bardziej niż poprzednia, ale wszystkie znalazły się w moim pęcherzu dokładnie w tej samej chwili.

– Muszę siusiu – oznajmiłam głośno. – Co stanowi pewien problem.

Jezu, dziwnie się czułam. Jakbym miała poluzowane wszystkie stawy.

– Dlaczego problem? – spytał Mason rozbawionym tonem, trochę jakby mówił do małego dziecka albo zwierzaka.

Strasznie mnie tym rozczulił.

Kiedy już doszłam do siebie, wyjaśniłam:

– Bo zostałam porwana z domu Miltonów bez laski. W związku z tym będę się musiała w toalecie poruszać bez niej, co jest prawie niemożliwe, bo ogólnie rzecz biorąc jestem kiepska nawigacji.

– Zwłaszcza po pijaku – odpowiedział David.

– Nie jestem pijana – zaprotestowałam z oburzeniem. – Ja nie piję. – To szczerza prawda. Nawet jak jeszcze miałam przyjaciół i chodziłam na imprezy, i tak nie piłam. Tak się składało, że zawsze miałam następnego dnia ważny mecz, decydujące kwalifikacje albo trening. Poza tym na szkolnych imprezach źródłem alkoholu była zawsze beczka z piwem, a ja nie go lubiłam, przede wszystkim dlatego, że smakowało głównie aluminiową rurą.

– No cóż... – David brzmiał niepewnie. – Dzisiaj piłaś. Pytałem i powiedziałaś, że nie masz nic przeciwko podkręcanej lemoniadzie.

– To dlatego, że nie dosłyszałam. – Miało to zabrzmieć poważnie, ale na koniec zaczęłam się śmiać. Potem chciałam coś dodać, ale się roześmiałam, a później jeszcze bardziej i jeszcze, aż w końcu straciłam równowagę i wpadłam na ścianę.

Która tak naprawdę nie była ścianą, tylko potężnym człowiekiem pachnącym miętową gumą i wkurzeniem.

– Paulie! – zawołałam radośnie, co najmniej jakbyśmy razem służyli w Wietnamie. – Powinieneś spróbować lemoniadki! Odmieni twoje życie!

Paulie mnie złapał, żebym się nie przewróciła, a potem zwrócił się ponad moją głową do Davida:

– Ile wypila?

– Cztery drinki. – Po krótkim milczeniu David dodał: – Mniej więcej.

– Mniej czy więcej?

– Może pięć.

Odwróciłam się w stronę Paulie’ego i poinformowałam go:

– Niestety, wypiliśmy troszkę za dużo i teraz muszę siusiu. Bardzo, ale to bardzo.

– Tak, tak działa ten system – przyznał Paulie. – Ale będziesz musiała to załatwić gdzie indziej.

Pewnie powinnam była odpowiedzieć: „Tak, proszę pana”, ale niestety wyszło z tego sarkastyczne „Tak jest!”, z salutem. I to się nie skończyło dobrze.

– Muszę siusiu.

– Już wspominałaś – przypomniał Mason.

Szliśmy przez cudownie cichy parking do samochodu. Mówiąc „szliśmy”, mam na myśli to, że David trzymał mnie za nogi, a Mason za ramiona, więc z technicznego punktu widzenia oni szli, a ja zdawałam się na nich.

– O której musisz być w domu? – spytał David.

– Dzisiaj nie mam godziny policyjnej – wyjaśniłam głośno. – Rodzice nocują poza domem.

Ułożyli mnie na tylnym siedzeniu, gdzie z ulgą przywarłam do chłodnej tapicerki. Nagle poczułam się bardzo zmęczona. Zamknęłam oczy i ułożyłam się na boku, chłodząc czoło o oparcie. Nie spałam, ale nie byłam też całkiem przytomna. Balansowałam w szarej strefie między jednym a drugim stanem.

Po paru minutach usłyszałam pomruk Masona:

– Urwał jej się film?

– Tak – odszepnął David. Przez chwilę jedynym dźwiękiem był szum silnika. Potem David znów się odezwał: – Możesz mi teraz podziękować.

Kierunkowskaz zacykał i skręciliśmy w lewo.

– Niby za co?

– Ja tam nie jestem ślepy – odparł David z rozbawieniem. – Widziałem, jak

tańczyliście. – Zamilkł, czekając na reakcję, ale się nie doczekał. – Nie wiem tylko, czemu trzeba było wam koncertu, żeby zacząć się zachowywać jak ludzie

– To długa historia – westchnął David.

– I długa jazda.

Mason przez jakiś czas milczał, a potem odezwał się zawstydzonym tonem:

– Uważałem ją za fankę, udającą ślepa, żeby Ben jej żałował. Podejrzywałem, że się przyczepiła, by zdobyć informacje o koncertach.

David cicho zagwizdał.

– Ktoś tu ma nieźle porobione w głowie! – Mason milczał, więc David kontynuował: – Tak trudno zauważyć, że Ben i Maggie mają ze sobą coś wspólnego? Życie nieźle im dało po tyłkach. Może Maggie po prostu potrzebuje przyjaciela. Przechodzi trudne chwile.

Mason głośno westchnął.

– Wiem. Najbardziej się bałem o Bena. On jest taki ufny, nie chciałem, żeby ktoś go skrzywdził. Bardzo ją lubi. – Zamilkł, a kiedy znów przemówił, dobierał odpowiednie słowa: – Czasem... mógłbym przysiąc, że ona widzi. Momentami patrzyła prosto na mnie.

– Tak, dupku, to się nazywa przystosowanie do sytuacji.

– Muszę siusiu – oznajmiłam na widok Bena. Potem zaczęłam chichotać.

Ben westchnął dramatycznie, rzucając Masonowi mordercze spojrzenie. Wskazał na salon w domu Miltonów, w którym w tej chwili staliśmy – no, ja się akurat ślaniałam – a do Masona rzucił:

– Uprowadziłeś ją stąd i upiłeś? Martwiłem się o nią! Wystarczyło zadzwonić i dać znać, że nic jej nie jest!

Brzmiał jak na swój wiek tak rozkosznie poważnie, że znów zaczęłam się śmiać.

– Ben... To była spontaniczna decyzja. – Pokręciłam głową. – Akcja spontan. – Westchnęłam, odchyliłam głowę i zamknęłam oczy. – Poryw serca. A ja nie wiedziałam, że piję alkohol, aż znalazł się w moim pęcherzu. Mogę

do łazienki? Bo się zsikam. – Zamaszystym krokiem weszłam do toalety, skąd słyszałam kłótnię Bena i Masona. Chodziło o to, co ze mną zrobić albo czego nie zrobić. Kiedy wróciłam do pokoju, Ben był sam i wyglądał jak mój ojciec. Strasznie urocze!

– Gdzie Mason?

– Poszedł szukać aspiryny. Mówi, że ci się przyda.

– Aha. – Ruszyłam przez pokój, wpadając na pianino i strząsając przy okazji ramki ze zdjęciami.

– Nie obudź mamy! – syknął groźnie Ben. Nigdy wcześniej nie był na mnie zły i wydawało mi się to absolutnie rozkoszne. Wyciągnęłam rękę i uszczypnęłam go w policzek. Zacisnął wargi, a potem przypomniał: – Wujka trafi szlag, jak się dowie, że piłaś.

– Dlatego nic mu nie powiesz. Mój kurator na pewno nie zrozumie, co się dzisiaj wydarzyło.

– Możliwe. Bo ja też nie rozumiem. Wyszłaś z moim bratem, nie mówiąc mi ani słowa!

Padłam na kanapę i westchnęłam.

– Ben, skarbie. Masz tylko dziesięć lat, a ja niedługo zdaję maturę. Muszę się spotykać z ludźmi w moim wieku.

Zmarszczył lekko brwi.

– Nie wiedziałem, że mój wiek aż tak ci przeszkadza – wyznał cicho.

– Oj, proszę cię, nie przeszkadza mi, przecież wiesz. Ale twój brat jest... – Usłyszałam kolejne swoje westchnienie. Moje usta wzdychały bez mojej zgody. – Jest Masonem Miltonem!

Ben wyglądał, jakby nagle coś do niego dotarło. Jakby dostał w twarz. Cofnął się o krok.

– Czyli Mason miał rację. Wykorzystałaś mnie, żeby się do niego zbliżyć!

– Ej, nie to miałam na myśli! – Ale on tylko kręcił głową, a w jego oczach mieściły się najgłębsze, najciemniejsze oceany bólu i smutku. Obrócił się na kulach i wyszedł.

Niech to szlag. Chciałam za nim pójść, ale pokój wirował, a ja nie wiedziałam, co z tym zrobić. Zamknęłam oczy i przesunęłam stopę po

podłodze. Nic to nie dało. Wciąż się wszystko kręciło. Następne, co pamiętam, to że Mason się nade mną pochylił, zatroskany, zjawiskowy i potargany. Włożył mi pasmo włosów za ucho i na chwilę zatrzymał dłoń na moim policzku, jakby miał do czynienia z czymś pięknym i bezbronnym. Od intensywności jego spojrzenia aż mnie szarpnęło w sercu.

– Przyniosłem ci aspirynę – mruknął.

Powietrze między nami iskrzyło i wibrowało. Zamrugałam i uświadomiłam sobie, jak blisko są jego usta. Gdyby nie kręciło mi się w głowie i nie byłabym tak oszołomiona, pocałowałabym go. Teraz tylko wyciągnęłam rękę i rozedrganym, niezdarnym palcem dotknęłam jego dolnej wargi. Niespodziewanie i całkiem idiotycznie powiedziałam:

– Twoje wargi nie wyglądają na aż tak miękkie.

Ostatnie, co widziałam, zanim znów mi się urwał film, to jego napięte ramiona, gdy się ode mnie oddalał.

21

Raju, Maggie, ile ty śpisz! – Skrzywiłam się i naciągnęłam kołdrę na głowę. Clarissa bombardowała słowami moje ucho. – Popołudnie, a ty jeszcze w łóżku? Źle się czujesz?

Dobre pytanie. Pamiętam, że wczoraj poszłam do Bena, David wyciągnął mnie na koncert, tańczyłam z Masonem. Piłam lemoniadę. Wyrzucili nas z klubu. Potem rozmawiałam z Benem i Masonem u nich w domu...

Boże.

Ben.

Mason.

Poderwałam się do pozycji siedzącej, co okazało się bardzo złym posunięciem – Chryste, ratunku! Moja głowa prawie dostała zawału. Kładłam się powoli, centymetr po centymetrze, a i tak się bałam, że przy gwałtowniejszym ruchu mózg mi wybuchnie. Wyciągnęłam drżącą rękę i wymacałam mój nocny stolik. Jestem u siebie. Mason mnie tu wczoraj przywiózł? Tak. Nie ma innego wytłumaczenia. Nie pamiętałam tego.

Mdliło mnie, byłam mokra jak mysz i do tego podduszona. Wiedziałałam przy tym, że jeśli natychmiast nie przestanę myśleć o tym, jaką idiotką okazałam się wczoraj w nocy, zwymiotuję, eksploduję albo w inny sposób wymelduję się z życia. „Coś ty najlepszego narobiła?”, dopytywał szept dochodzący z jakiegoś mrocznego, pełnego żalu miejsca w mojej piersi.

Cicho jęknęłam, a odgłos ten rozniósł się nieznośnym echem po mojej udręczonej głowie.

– Dzwonię – kontynuowała niczym niezrażona Clarissa – bo dzisiaj nie mam

jednak spotkania harcorek i pomyślałam, że mogłybyśmy popracować albo zastanowić się nad rozwikłaniem Wielkiej Tajemnicy. Widziałas najnowszy komentarz pod ostatnim nagraniem z koncertu? Jakiś koleś o nicku Cannon Dude pisze, że „droga do rozwiązania Tajemnicy prowadzi przez wokalistę” i jeśli ktoś do tej pory nie zna Wielkiej Tajemnicy, nie zasługuje na słuchanie Loose Cannons, nie mówiąc już o uczestnictwie w koncercie. Tak, wiem! Jakiś debil. To nie może być takie proste. Nie jestem jakaś genialna, ale ich uwielbiam i wiem totalnie wszystko o tym zespole. Spędziłam godziny na grzebaniu w necie i śledzeniu. Więc już bym chyba coś znalazła, prawda? Tak. – Głośno westchnęła prosto do mojego ucha. – No to jak? Spotkamy się dzisiaj?

Przewróciłam się na bok i zaraz tego pożałowałam. Na poduszce natrafiłam na coś, co podejrzenie śmierdziało wymiocinami. Głośno przełknęłam ślinę i cofnęłam się.

– Wiesz co, ja chyba mam gripę.

– Przynieść ci zupy?

Musiałam zakryć ręką usta.

– Nie, dzięki...

– Taka odpowiedź się nie liczy! – zaświergotała. – Zupa Fenstermacherów jest znana ze swoich leczniczych właściwości. – Potem zbombardowała mój ból głowy opowieścią o wszystkich przypadkach, w których zupa ją uleczyła: w zeszłym roku, gdy zaważyła egzamin z matematyki, gdy umarł jej pies i tak dalej.

W końcu zgodziłam się na tę zupę, sama nie wiem dlaczego, bo jak się w końcu podniosłam i powlokłam do łazienki, na samą myśl o jedzeniu musiałam podbiec do sedesu, bo zaczęło mnie mdlić. Zostałam tam na chwilę i oparłam się czołem o chłodną deskę, a potem wczółgałam się pod prysznic. Puściłam sobie strumień wody na kark i zaczęłam się zastanawiać, jak mam przeprosić Bena i co powiedzieć Masonowi. Jak się zabrać do naprawienia tego wszystkiego, co wczoraj napsułam.

Wybrałam numer Miltonów jeszcze w ręczniku. Ktoś odebrał dopiero po piątym dzwonku, ale nawet wtedy się nie odezwał. Czułam, jak strużka zimnej

wody ścieka mi z włosów i płynie między łopatkami.

– Halo? Ben? – spytałam. A po kilku sekundach: – Mason?

Ten ktoś odłożył słuchawkę.

Poczułam w gardle wielką, lepłą kluchę.

Zaraz po tym, jak się ubrałam, zadzwoniła do drzwi Clarissa, energiczna jak klaun wyskakujący z pudełka na sprężynie. Nadużywający kofeiny. Podała mi pudełko z zupą i radośnie poradziła:

– Tylko zjedz od razu. I zadzwoń jutro, jak będziesz potrzebowała więcej. – A na koniec dodała: – Przykro mi, że źle się czujesz.

Kiwałam głową, mruczałam potakująco, a potem się pożegnałam. Schowałam zupę do lodówki i starałam się nie myśleć o tym, że Clarissa postąpiła jak prawdziwa przyjaciółka, chociaż ja się wobec niej zachowywałam tak okropnie. Pewnie prędzej by sobie strzeliła w stopę, niż zrobiła komuś przykrość. Rzuciła wszystko, żeby przyjechać i mi pomóc. Ja czegoś takiego nie zrobiłam nigdy w życiu, nawet dla prawdziwego przyjaciela.

Jak miałam dwanaście albo trzynaście lat, w każdym razie w siódmej klasie, dość spontanicznie i bez głębszego zastanowienia postanowiłam zostać pszczelarką. Strasznie się wtedy bałam pszczół. Ich bzyczenie, cienkie, ostre żądła i złowrogo trzepoczące skrzydełka... Aż zapierało mi dech z przerażenia. Dlatego uznałam, że muszę stawić im czoło.

Im, a więc mojemu lękowi.

Maggie Sanders, poskramiaczka pszczół.

W poszukiwaniu prostej instrukcji, jak się do tego zabrać, zawędrowałam do księgarni, gdzie wyprostowana jak kij kobieta w okularach i z zaciśniętymi ustami zaprowadziła mnie do działu Oszołomy i Debile. Następnie odwróciła się na pięcie i odeszła, zostawiając mi decyzję, do której książki sięgnąć. Po namyśle zdecydowałam się na *Podstawy pszczelarstwa dla kretynów*, bo uznałam, że tak należy mnie zakwalifikować. Czułam się bardziej kretynką – co według mnie zakładało element ignorancji – niż debilką, czyli kimś po

prostu głupim.

Tak czy siak, z lektury dowiedziałam się, że jest kilka sposobów na założenie ula. Musiałam albo zainwestować sporą sumę pieniędzy w zakup pszczół na początek, albo zdobyć rój na własną rękę. Ponieważ byłam kretynką, zdecydowałam się na tańszą opcję: wdrapię się na dąb w naszym ogrodzie i strącę do torby na śmieci gniazdo pszczół. Miało wielkość grejpfruta i zwisało z grubej gałęzi mniej więcej w połowie drzewa.

Wspięłam się już całkiem wysoko i balansowałam na dość niestabilnej, ale grubej gałęzi, uzbrojona w wielki worek na śmieci oraz miotłę, kiedy przypomniało mi się, dlaczego nigdy mi nie szło w softballu: nie umiałam trafić kijem w piłkę. Zamachnęłam się na gniazdo szczotką, z zamiarem strącenia go do worka, ale oczywiście źle wymierzyłam i rozwalłam je mniej więcej w połowie. Wyleciała z niego chmara pszczół, które najpierw wypruły w górę, nad moją głowę, a następnie pomknęły w dół, trafiając prosto pod gumkę moich spodenek. Użądliły mnie ze trzydzieści razy. Tak, w tyłek.

Choć w zasadzie cel został osiągnięty: przestałam się bać pszczół. Spojrzałam strachowi prosto w twarz i wyszłam z tego bez szwanku (nie licząc zmasakrowanych pośladek). Wyciągnęłam z tej przygody także inny wniosek: najlepszy sposób na pokonanie strachu, to nie analizować go w nieskończoność, tylko się z nim zmierzyć. Zatem tego samego popołudnia poprosiłam dziadka, żeby mnie podrzucił do Miltonów.

Już z ganku widziałam, że dom jest niezdrowo rozświetlony. Krystaliczne promienie wylewały się aż pod moje stopy. Czekałam, aż ktoś mi otworzy i zastanawiałam się, czy Ben stał się jeszcze jaśniejszy, czy z powodu kaca moje oczy uwrażliwiły się na światło. Tak czy inaczej, dom wydawał się zbyt intensywny i wręcz natarczywy. Z jakiegoś powodu wwiercał mi się w mózg.

Nikt nie podszedł do drzwi, więc poszłam do tylnego wejścia, skąd przez otwarte okno w łazience dobiegał głos Bena. Kąpał Wally'ego i rozmawiał z nim jak z człowiekiem:

– W przyszłym tygodniu pójdziemy do domu starców. Tego, wiesz, na drugim końcu miasta. Do Meadows. Koleżanka babci z pokoju ma depresję, ale myślę, że uda nam się poprawić jej nastrój. Ja będę pierdział pachą, a ty

będziesz przekrzywił głowę, wiesz jak. Ludzie to uwielbiają. – Nie wiem, dlaczego odczuwałam dumę z tego dziecka, którego przecież w żaden sposób nie ukształtowałam, ale nic nie mogłam poradzić, byłam z niego dumna.

Jak mogłam zranić uczucia takiego chłopca? Jakim trzeba być dupkiem, żeby coś takiego zrobić?

Tylne drzwi okazały się otwarte, więc weszłam i pewnym krokiem skierowałam się do łazienki. Zastukałam w drzwi:

– Ben, otwórz!

Na chwilę zapadła cisza. Czułam, że się zastanawia, co powiedzieć, a gdy się w końcu odezwał, dystans między nami zwiększył się z kilku metrów do paru kilometrów. Przemówił niemal szeptem:

– Idź sobie, Maggie.

Maggie.

Powiedział do mnie Maggie. Nie Thera.

Serce mi się ścisnęło. Nie mogłam znieść świadomości, że złamałam mu serce i zepsułam naszą przyjaźń. Nie tylko dlatego, że dzięki niemu mogłam trochę widzieć. Chodziło o coś więcej.

– Ben...

– Nie – odparł bardziej zdecydowanie. – Chcę, żebyś mi dała spokój. Jestem teraz smutny i nie odsmutnieję przez bardzo długo. Musisz wyjść z mojego domu.

Poczucie winy złapało mnie w żelazny uścisk i zmiażdżyło mi wnętrzności. Oparłam się o drzwi i ześlizgnęłam się w dół, aż z nieprzyjemnym hukiem wylądowałam tyłkiem na podłodze. Otworzyłam usta, ale zaraz je zamknęłam. Bałam się, że jak zacznę mówić, palnę coś jeszcze głupszego niż ostatnio.

– Przepraszam – wydukałam w końcu.

– Możesz sobie wziąć te przeprosiny i oddać je Masonowi. Wczoraj, jak cię odwoził, zarzygałaś mu cały samochód. Ale nie przejmuj się. Sprzątał tylko kilka godzin. I pewnie za jakiś miesiąc przestanie śmierdzieć.

Mason sprzątał moje wymiociny. Cudownie! Muszę to dopisać do listy moich osiągnięć.

– Jest w domu?

– Nie. – Ben wyraźnie dawał mi do zrozumienia, jak bardzo nie ma ochoty ze mną rozmawiać.

Walnęłam w drzwi tyłem głowy i zagrałam na podłodze smutny, samotny fragment z jednego z walców Chopina.

– Posłuchaj – odezwał się zmęczonym tonem. – Nie zamierzam cię żałować. Wykorzystywałeś mnie, żeby widzieć i żeby się zbliżyć do Masona. – Objęłam się rękami. W jego słowach rozbrzmiewała prawda, nie mogłam udawać, że nie. Po chwili dodał: – Prawda jest taka, że czasem robisz złe rzeczy. Czasem nie jesteś dobrą przyjaciółką. Nie będę cię z tego powodu pocieszał.

Myślałam o tych słowach przez całą drogę do domu, a potem po drodze na ganek i do mojego pokoju. Padłam na łóżko, schowałam twarz w poduszce i przypominałam sobie wszystkie te chwile, kiedy mogłam zadzwonić do Sophie, żeby jej wyjaśnić, jak się czuję i przeprosić za to, że jej unikałam, ale tego nie zrobiłam. Pozwoliłam naszej przyjaźni uschnąć i umrzeć, bo za bardzo się wstydziłam przyznać, jak jestem przerażona i bezradna. Wolałam schować się w domu i liczyć, że moja ślepotą po prostu któregoś dnia zniknie. Decyzja podjęta kilka miesięcy temu polegała na tym, żeby odpychać Sophie.

Udało się.

W tej chwili moje życie było spartaczone i popękane. Musiałam zacząć je sklejać, zanim rozpadnę się na milion kawałków. Wyjęłam telefon z kieszeni i wybrałam numer.

22

Sophie? Tu Maggie.

Dziwnie się czułam, wypowiadając jej imię. Jakby to było słowo w obcym języku. Przytrzymałam telefon ramieniem i skrzyżowałam ręce na brzuchu. Potem je rozplotłam. A potem znów skrzyżowałam. Co ja kiedyś robiłam z rękami, kiedy rozmawiałam przez telefon?

Zanim się odezwała, przez moment panowała dziwna cisza, a jak już przemówiła, jej głos brzmiał dziwnie, trochę przez nos. Jakby miała katar.

– Cześć, Maggie.

Odchrząknęłam. Dlaczego tak się denerwowałam? Przecież to Sophie! Znałyśmy się prawie całe życie, a w każdym razie odkąd wypadały nam mleczne zęby! Razem przeżywałyśmy traumę pierwszego okresu!

– Cześć. Słuchaj, może miałabyś ochotę do mnie przyjść? Znaczący wiesz, do mnie do domu. W Bedford Estates. – Naprawdę to dodałam?! Tak! Znów odchrząknęłam. – Byłoby super, jakbyś przyszła z Lauren.

– Dobrze... – Brzmiała niepewnie, jakby miała wątpliwości. Nie dziwię się, ja też bym miała.

Jakąś godzinę później zadzwonił dzwonek do drzwi. Weszłam do sieni, ale zatrzymałam się na chwilę i czekałam, aż uspokoi się serce trzepoczące mi gdzieś w okolicach gardła. Potem niepewnie podeszłam, łapiąc klamkę. Odetchnęłam głęboko i otworzyłam. Przez moment milczałam, ale przypomniałam sobie zasady gościnności i przywitałam się z nią. Ona też. Spytałam, czy Lauren też przyszła, ale Sophie wytłumaczyła, że dziś nie mogła. Później stałyśmy tak po dwóch stronach progu, a cisza wisiała między nami

jak kamień.

W końcu machnęłam ręką, żeby weszła i zaprosiłam ją do salonu, co samo w sobie było już dziwne. Kiedyś zawsze szłyśmy do mnie, ale nie miałam specjalnej ochoty zabierać jej do mojej nowej sypialni. Nie chciałam, żeby zadawała pytania, na które nie umiałam odpowiedzieć.

No więc usiadłyśmy w salonie. Ja – jakbym miała kij zamiast kręgosłupa. Czekałam, aż Sophie zacznie mówić. Ale nie zaczęła. Chociaż dzięki klimatyzacji panowała temperatura jak w igloo, spociałam się, brakowało mi tchu i czułam się, jakbym miała gorączkę. Wytarłam dłonie o kanapę i zaczęłam błyskotliwe:

– Lauren była dzisiaj zajęta?

Sophie wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. Zawsze tak robiła, jak się denerwowała. W czwartej klasie doprowadzało to naszą nauczycielkę, panią Jones, do szału.

– Miała chyba jakieś plany czy coś – wyjaśniła w końcu.

Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że przyjdzie. To ją, ze wszystkich dziewczyn w drużynie, najbardziej stresowała moja ślepotą. Znów czekałam, aż Sophie coś powie, ale milczała, więc odkaszlnęłam i sama spytałam:

– A ty jak się masz?

Westchnęła. Zdziwiło mnie to. Przygnębiło.

– W porządku – odpowiedziała cicho. Odniosłam wrażenie, że bardziej chce o tym przekonać siebie niż mnie. – A ty?

– Bombowo – odparłam. Jak na wykwalifikowaną kłamczuchę przystało, głos mi nawet nie zadrżał.

Znów zapadła między nami cisza.

Rozmowa o niczym, jak to się robi?

– Umawiasz się jeszcze z tym chłopakiem? – spytałam chyba za głośno. – Z tym od włosów? – Tuż zanim straciłam wzrok, zaczęła chodzić z chłopakiem z Central, barczystym sportowcem, który miał fryzurę, jakby nakładał żel na włosy, stając pod wiatr.

– Z Jasonem Salamonem? Nie. – To „nie” zabrzmiało, jakby miało spełniać dwie funkcje: po pierwsze zaprzeczało, a po drugie zastępowało całą resztę

historii.

Zaczęłam obgryzać paznokiec. Boże, co za męka.

– Co się stało?

– Wyprowadził się do Dakoty Północnej.

Miałam wrażenie, że coś zataja. Coś ważnego. Rzucił ją albo źle traktował.

Ale spytałam tylko:

– Do Dakoty Północnej? A co tam jest do roboty?

– Jest baza wojskowa. Przenieśli do niej jego ojca – wyjaśniła.

– Aha.

I cisza.

Zmieniłam pozycję. Jedną nogę włożyłam pod tyłek. Skrzyżowałam ręce. A przy każdym ruchu wmawiałam sobie, że powinnam ją przeprosić, wyjaśnić, jakie trudne były ostatnie miesiące, ale za bardzo się bałam. Więc zamiast przeproszać, wypaliłam:

– Jesteś chora? – Nie wiem dlaczego, ale to pytanie wytrąciło ją z równowagi, bo nie odpowiedziała od razu, jak zwykle. – Chodzi mi o to, że masz jakby zatkaany nos. Przeziębłaś się?

– Ja... Tak. No tak, nie czuję się najlepiej.

Znowu cisza.

Chyba w życiu nie uczestniczyłam w tak koszmarnej rozmowie. Nawet tamta z Targetu, z działu z tamponami, była lepsza. W życiu bym nie pomyślała, że się tak od siebie oddalimy. Będziemy obok siebie siedziały i desperacko szukały słów, których nam obydwu brakowało. Dobra! Miałam ochotę ryknąć w niebiosa. Mam nauczkę! Cud się nie wydarzy, załapałam! Nie zamierzałam o to winić Sophie. Dostałam dokładnie to, na co zasłużyłam.

Następnego dnia co chwila podnosiłam telefon, żeby zadzwonić do Bena, wymyślając jakiś głupi, przypadkowy powód. Na przykład czekoladowe pop-tartsy być może zakwalifikują się do bycia moim Cosiem. Albo żeby spytać, czy wie, kiedy powstało słowo „rocznica”, bo może trzeba by zarządzić jakieś obchody. Raz do roku. A potem przypominałam sobie, że on ze mną nie

rozmawia, więc padałam na łóżko i użalałam nad sobą. Któregoś wieczoru tak mnie to zmęczyło, że postanowiłam przeczytać wpisy, o których wspominała Clarissa.

Cały czas wisiały pod filmikiem z koncertu, nadęte i przemądrzałe przechwałki Cannon Dude'a. Szlag mnie trafiał, gdy słuchałam, jak je odczytuje mój komputerowy lektor. I nie tylko ja się wściekałam. Wpisało się kilka osób i każda informowała go, że jest totalnym i beznadziejnym dupkiem.

Zdzwoniłam do Clarissy.

– Cześć – zaczęłam, gdy tylko odebrała. – Cannon Dude to jakiś kompletny kretyn.

Parsknęła.

– A nie mówiłam? Wczoraj, jak skończyłyśmy gadać, sprawdziłam jego profil. Wiek: 35 lat. Płeć: mężczyzna. Zawód: informatyk w Apple'u. Pracuje w Apple, halo! Pewnie to jakiś superinteligentny koleś, który włamał się do komputera Masona i dlatego mówi, że kluczem do tajemnicy jest wokalista. – Gdy zamilkła, żeby zaczerpnąć tchu, zdałam sobie sprawę, że od kilku sekund przebieram palcami w rytm jej wypowiedzi. Mówiła w bardzo dziwny, trochę maniackalny sposób. Milkła, znów zaczynała i zatrzymywała się ponownie. Chaotyczny rytm, niemal melodia. – A z innej beczki – usłyszałam grzechot kostek lodu w mrożonej kawie i odgłos przełykania. – Jak twoja grypa? Jak się czujesz? Już lepiej?

Otworzyłam usta, a potem zamknęłam. Prawda była taka, że nie czułam się dobrze. Ani trochę. Przez chwilę chciałam jej wszystko opowiedzieć: jak moje życie się rozpadło, gdy straciłam wzrok, moja mama zniknęła, leżałam w szpitalu, odsunęłam się od dawnych przyjaciół i skrzywdziłam nowych. I że czasem wraca mi wzrok. Ale nie ufałam już ani swojej ocenie sytuacji, ani językowi, więc poprzestałam na:

– Nie mogłoby być lepiej!

– To moja zupa, prawda? Pomogła? Smakowała ci?

Prawdę mówiąc zupełnie zapomniałam o jej zupie, więc po zakończeniu rozmowy wzięłam miseczkę i zaniiosłam do salonu. Tata i dziadek zajęli miejsca przed telewizorem i włączyli mecz baseballowy, marudząc cały czas,

że drużyna Red Soksów ciągle przegrywa. Trwało to przez kilka minut, a potem tata westchnął i już wiedziałam, że zbliża się rozmowa.

– Wiesz co, Maggie? Rano rozmawialiśmy z mamą i wspomniała, że w Merchant jest drużyna piłki nożnej.

– Tak, wiem. – Podejrzliwie nabrałam zupy na łyżkę. Nigdy nie pałam miłością do rosółów. Głównie dlatego, że nie lubiłam, jak w herbacie pływały mi przywiedle warzywa.

– Planujesz dołączyć do nich jesienią?

– Nie – odparłam i wzięłam łyżkę do ust, żeby nie musieć więcej mówić na ten temat. Szkolny pedagog napomknął mi o tej drużynie już kilka miesięcy temu. Five-a-side, piłka zaadaptowana do potrzeb niewidomych.

Nie zamierzałam mieć z tym nic wspólnego.

– Powinnaś to rozważyć – upierał się tata. – Zaangażowanie w piłkę bardzo pomogło mamie, gdy musiała przestać grać.

Miałam ochotę go poinformować, że to nie piłka pomogła mamie, tylko ja. Dałam jej nadzieję. Byłam nowym marzeniem, do spełnienia którego dążyła.

I wszystko to zepsułam.

Jeszcze mi tego nie wybaczyła. Ja sobie też nie.

Uratował mnie dziadek i zmienił temat.

– Co ty, do diabła, jesz?

Wzruszyłam ramionami.

– Zupę.

– Te pomyje, które kupiła twoja mama? Z samego błonnika?

– Nie. To zupa domowej roboty. Po co mama kupuje zupę z samego błonnika?

– Mam powiększoną prostatę. Błonnik ma ją obkurczyć.

Jak się jest w wieku dziadka, nie ma tematów, których nie można by poruszyć nad miską rosółu. Zamachałam ręką, żeby mu przypomnieć, że halo, ja tu jem!, ale przy okazji potrafiłam miskę łokciem i wylałam sobie wszystko na kolana. Odskokczyłam na bok i walnęłam się ręką w stolik do kawy.

Tata doskoczył do mnie w ciągu sekundy.

Wyprostowałam się, zła, że traktuje mnie jak inwalidkę. Najgorsze, że nie

potrafiłam się na niego wściec. Nie na serio. Wiem, po prostu zareagował. Był zbyt delikatny i niepewny, ale zawsze bardzo poważnie traktował obowiązek dbania, żeby nie działa mi się krzywda. Z trudem mu przyszło zaakceptowanie faktu, że nie uchronił mnie przed utratą wzroku. Tak jakby leżało to w ludzkiej mocy. Nie można kogoś uchronić przed życiem. Czasem coś się po prostu zdarza, nieważne, jak bardzo się jest ostrożnym.

– Nic mi nie jest – wymamrotałam i poderwałam się na równe nogi.

– Czekaaj, przyniosę szmatkę...

– Dam sobie radę – zapewniłam trochę za głośno, obróciłam się na pięcie i zanim zdążył zaprotestować, ruszyłam do piwnicy. Po drodze wpadłam na jakiś przedmiot pozostawiony u podnóża schodów. To coś sięgało mi mniej więcej do pasa i głośno huknęło o dywan.

Świetnie.

– Maggie...?

– Żyję! – wrzasnęłam, teraz już porządnie rozsierdzona. Wyciągnęłam ręce, żeby się dowiedzieć, w co znowu wlałam, i natrafiłam palcami na znajomy, gładki plastik. Poczułam, jak mnie dławią złożone, niemożliwe do nazwania emocje.

Mój stary keyboard.

Usiadłam na podłodze i położyłam dłoń na plastiku, zimnym od piwnicznego chłodu, w miejscu, gdzie przyklepałam jedna na drugiej naklejki z nazwami moich ulubionych zespołów. Chociaż instrument na to nie wyglądał, był to sprzęt najwyższej klasy, a ja ćwiczyłam na nim z zapalem, korzystając z wszystkich jego możliwości. Zanurzałam ręce po łokcie w utworach podrzucanych mi przez pana Hawthorne'a, badałam je, a potem wyciągałam to, co mi pasowało i przerabiałam przy użyciu najróżniejszych efektów oferowanych przez instrument.

Przesunęłam palcem po naklejkach i całkiem wyraźnie zobaczyłam je oczami wyobraźni. Phantom Keys. Dead Eddies. Drift District. Operation Scarce. I parę ulubionych zespołów taty, w tym Led Zeppelin i Eagles. Pełna niezidentyfikowanego poczucia winy, przycisnęłam klawisz, który najpierw zaprotestował, a potem odpuścił z głośnym dudnieniem.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Melodii, która wypełni dom? Powinnam pamiętać, że instrument nie jest podłączony do prądu. Dotykałam palcem klawiszy, aż znalazłam środkowe C. Moja dłoń znieruchomiała tylko na chwilę, a potem zagrałam melodię, którą wcześniej dopisałam do przemowy Clarissy. Bez trudu odtworzyłam krótką, zawiłą i pokręconą muzyczkę, którą słyszałam w głowie w czasie rozmowy.

– Maggie? – dotarł do mnie zaniepokojony głos taty.

Po raz ostatni dotknęłam naklejek, podniosłam się i weszłam do pralni. Klawisze zostawiłam tam, gdzie upadły.

23

Ben zniknął z mojego życia, a pojawiła się samotność. Przypomniały mi się pierwsze miesiące po utracie wzroku. Bo tak naprawdę straciłam wzrok drugi raz, w każdym razie ten fragment, który udało mi się odzyskać. Czułam się odrzucona, jakby życie uznało, że nie jestem warta starań. Zresztą, trudno się było z tym nie zgodzić. Co gorsza, rodziców prawie nigdy nie było w domu. Tata pracował nad dużą sprawą i wracał późno, a mama, oprócz zwykłej pracy, zaczęła jeszcze trenować wieczorami, więc pojawiała się jeszcze rzadziej. Nie spałam i przez uchylone drzwi do mojego pokoju nasłuchiwałam jej powrotu.

Zastanawiałam się, czy w ogóle wróci.

W środę po południu zadzwoniła Clarissa. Zastała mnie w kuchni, z dziadkiem. Szukałam akurat zostawionego na później kawałka pizzy. Dziadek w najmniejszych szczegółach relacjonował mi kondycję swojej prostaty, a ja myślałam o tym, że gdybym miała do wykorzystania trzy życzenia, dwa poświęciłabym na uciszenie go, a w ramach trzeciego poprosiłabym o więcej życzeń. Wtedy zabręczała moja komórka. Wyjęłam ją z tylnej kieszeni i powiedziałam „cześć”, a Clarissa, nawet się nie witając, przeszła do rzeczy.

– Lepiej usiądź, bo właśnie się dowiedziałam czegoś na temat Wielkiej Tajemnicy. Źródło jest pewne i wie o tym jeszcze tylko jedna osoba. Raju, Maggie!

– O raju! – krzyknęłam, chociaż był to chyba pierwszy raz w życiu, kiedy użyłam tego słowa. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że żadne inne nie pasowało.

– Nie bez powodu podejrzewam, że koncert odbędzie się dzisiaj – mówiła z prędkością karabinu. – W tej chwili mam zajęcia z dekorowania ciast, jak zwykle wszystko nie w porę!, więc rozłączam się, dzwonię do taty i poproszę, żeby odebrał mnie wcześniej, a potem przywiózł do ciebie, bo musimy rozwiązać tajemnicę. Słyszysz? Musimy to zrobić teraz, teraz, teraz! – I rozłączyła się.

Nawet nie zapukała, tylko wpadła do domu z moim imieniem na ustach.

– Dwie sprawy. – Od razu przeszła do rzeczy, gdy mknęłyśmy korytarzem do mojego pokoju. – Po pierwsze, powiedz, że ściągnęłaś nagranie z ostatniego koncertu. Błagam cię, powiedz, że tak. Proszę! Nie mamy ani chwili do stracenia. Czas biegnie. I ucieka!

– Tak – odparłam już w progę. – Mam ten filmik na kompie.

– Dzięki Bogu – wysapała. – Druga rzecz: jeśli jakimś cudem rozwiążemy dzisiaj Wielką Tajemnicę, będziemy potrzebowały transportu. Na koncert. Mój tata będzie komuś zszywał organy wewnętrzne, więc jeśli ty nic nie załatwisz, jesteśmy uziemione.

– Mój dziadek nas zawiezie.

– Super. Tak! Idealnie. – A potem wyszeptała: – No więc słuchaj. Pamiętasz o tym chłopaku, o którym ci mówiłam? O Jase'ie? Tym koledze, który zna Masona? No więc Mason musiał chyba niechcący usiąść na telefonie w czasie próby i zadzwonił do niego tyłkiem, a Jase podsłuchał bardzo ciekawe rzeczy.

Przełknęłam głośno ślinę. Mason Milton dzwoniący do kogoś tyłkiem.

Nie będę myśleć o tyłku Masona.

Nie będę.

Nie!

A jednak. Byłam słaba, żałosna i ogólnie nieodpowiedzialna, bo oto w mojej wyobraźni ukazał się tyłek Masona. W następnym ujęciu też. I w następnym. I tak dalej.

Kompletnie nad sobą nie panowałam. Potrzebowałam pokoju wyłożonego gąbką albo kaftana bezpieczeństwa. Albo leków, które zminimalizują liczbę idiotyzmów generowanych przez mój mózg.

Tymczasem Clarissa wciąż mówiła:

– Najpierw grali. Potem, po paru piosenkach, Carlos zaczął narzekać, że „śpiewanie wskazówek jest głupie” i „wszyscy się domyślą” oraz, że „dzisiaj musicie być ostrożniejsi”. – Złapała mnie za ramiona i mną potrząsnęła. – Rozumiesz, co to znaczy, tak? Wplatają informacje o koncertach do swoich piosenek. To genialne!

Trzy godziny później siedziałyśmy przy moim biurku, oparte jedna o drugą, i trzeci raz z rzędu przesłuchiwałyśmy zeszlotygodniowy koncert. Na tym etapie usłyszałybyśmy każdą wskazówkę.

Clarissa, zbyt podekscytowana, żeby się dłużej skupiać, sprawdziła, która godzina i jęknęła, że czas mija.

– Już po nas – zawodziłam, a noga podskakiwała mi w rytm muzyki.

Poderwała się z krzesła.

– Coś nam umyka. Nawet Cannon Dude pisał, że chodzi o wokalistę.

Pomasowałam sobie skronie.

– Słuchaj, znam każdą istniejącą piosenkę Loose Cannons. Słowa Masona to słowa Masona i w czasie tego koncertu żadne z nich nie zostało zmienione. A ten cały Cannon Dude po prostu wszystkich wkręca. To debil.

– Dobrze, może trochę przesadza – przyznała Clarissa – ale to pewnie dlatego, że naprawdę kocha tę kapelę. – Tak mnie wkurzyła, że aż parsknęłam.

– Mówię serio! Zastanawiałam się nad tym i on przypomina mi postać z *Bermudów pełnych gwiazd*. Tam jest taki super znany aktor, który...

– *Bermudy pełne gwiazd?* – powtórzyłam.

– Książka, którą czytałam – wyjaśniła szybko. – No więc jest megaznany, ale zachowuje się jak zarozumiały bufon. Wszyscy inni bohaterowie go nienawidzą. Zwłaszcza Bianca, która z nim gra...

– Zmierzasz do czegoś?

– Czuję się urażona tym pytaniem – odparła Clarissa, ale wcale nie brzmiała jak ktoś dotknięty. – No więc Bianca musi z nim zagrać scenę pocałunku. Stoją nad brzegiem morza, jego usta dotykają jej warg, a ona stara

się pamiętać, jak bardzo go nienawidzi, ale ciało ją zdradza, bo dociera do niej, jak słodkie i delikatne są jego pocałunki

– Czekaj. Czytasz taki szajs?!

– To jest bardzo dobry romans – prychnęła. – W każdym razie chodzi mi o to, że zaraz po tej scenie się okazuje, że tego gościa po prostu nikt nie rozumiał. I tak naprawdę jest pełnym pasji, utalentowanym aktorem, który zaczynał od dublowania...

Uderzyłam rękami w biurko.

– Mam to! – wrzasnęłam. Dublowanie. Facet kryjący się w cieniu, czekający na swoją szansę na scenie. Drugi głos!

W tym zespole śpiewa nie tylko Mason. Wtórzy mu czasem Gavin.

Po kilku minutach już wszystko było jasne: Gavin podmienił słowa w samym środku pierwszej piosenki. Bardzo cicho, a jednocześnie niesamowicie głośno, wyśpiewał: „Dziesiąty, zachód słońca, w parku Alexandra”, podczas gdy Mason śpiewał: „Przysięgam, wszystko pamiętam i dla ciebie zagram”.

Zamarłam. Opierając się obiema rękami o biurko nachyliłam się do głośników, bo nie mogłam w to uwierzyć. Byłam w szoku. W końcu wyszeptałam:

– Mamy pół godziny, żeby się dostać do parku.

Ostatni raz byłam w Alexander Park kilka lat temu. Jesienią. Powietrze było podszyte lodem, a trawniki zakrywał kobierzec z liści, konających w płomieniach czerwieni i żółci. Mama i ja całe rano snułyśmy się po domu i jęczałyśmy, każda z innego powodu. Ja przegrałam mecz, a najlepszą bramkarzkę mojej mamy wyrzucili ze szkoły. Tata wykopał nas z domu po lunchu i kazał nam skorzystać z dobrodziejstw świeżego powietrza i słońca.

Prawie całe popołudnie chodziłyśmy na bosaka po trawie, a wiatr splatał z sobą nasze długie loki. Potem zasiadłyśmy w otwartym pawilonie i obserwowałyśmy chudą, jasnowłosą dziewczynkę, obchodzącą tam siódme urodziny. Gdy zaczęłyśmy się zbierać do domu, tchu nam brakowało ze śmiechu, docinałyśmy sobie bez przerwy i żadna z nas już nie pamiętała o

porannych kłopotach. Zawsze nazywałam to miejsce parkiem Frito, bo niedaleko znajdowała się fabryka Frito-Lay i cały park, a także pobliskie domy, spowijał niemal nieustający zapach spalenizny. Teraz też go czułam, gdy wysiadałyśmy z Clarissą z samochodu dziadka.

Do parku przyszłam incognito. Podkradłam tacie jego najluźniejszą, najdłuższą, najbardziej szarą i najmniej atrakcyjną bluzę. Włożyłam kaptur i ciasno ściągnęłam troczki, żeby zakryć twarz. Ostatnie, czego mi było teraz trzeba, to żeby Mason mnie rozpoznał i zrobił scenę.

Albo mnie stamtąd wyrzucił.

Weszłam na chodnik i wystawiłam twarz na wiatr. Trafiło się absolutnie cudowne popołudnie: wietrzne, ciepłe i bez śladu wilgoci. Jeden z tych pięknych czerwcowych dni, które w Connecticut przypominały raczej późny wrzesień. Słyszać było tylko pomruk fabryki, przytłumiony szum ulicy oraz wściekłą kłótnię dwóch kobiet. Kłóciły się oczywiście o faceta. Chętnie upierałabym się, że nie jestem typem czerpiącym przyjemność z nieszczęścia innych, ale nie da się ukryć, że dobrze się bawiłam.

Clarissa klasnęła w rękę.

– Dobra. Nie mamy czasu, więc proponuję, żebyśmy ruszyły wzdłuż krawężnika i szły, aż usłyszymy tłum. Obstawiam, że koncert będzie albo w pawilonie, albo przy tej dużej fontannie, za skrzyżowaniem. Tak? Tak. – Później słyszałam już tylko jej oddalające się kroki.

Stałam bez ruchu.

Zatrzymała się.

– Maggie? Mamy napięty grafik. Idziemy zerwać owoce naszej ciężkiej pacy. Rusz się!

Zagryzłam dolną wargę.

– Wiesz co, bo chodzi o to – wydusiłam w końcu – że nie bardzo umiem przechodzić przez ulicę. Ani iść wzdłuż krawężnika.

– Serio?

– No, serio.

– Nie przejmuj się. – Usłyszałam, że do mnie wraca. – Szłam tędy miliony razy. Moja asystentka do spraw integracji ciągle mnie tu zabiera na pikniki. Idź

obok mnie, ale jakieś pół kroku za mną. Laskę trzymaj przed sobą. – I po prostu ruszyliśmy. Wiódł ślepy ślepego.

Uczepiona jej łokcia jak takie zwierzątko na ołówku, ruszyłam niepewnie i chwiejnie. Żeby czymś zająć myśli, odchrząknęłam i spytałam:

– A jak tam z chłopakiem od kawy mrożonej?

Zachnęła się.

– Nic się nie dzieje. Kompletnie nic. Nie wiem nawet, co mogłabym do niego powiedzieć oprócz „poproszę mrożoną kawę karmelową na podwójnym espresso”. – Zaśmiałam się z niedowierzaniem, bo jakoś nie zauważyłam, żeby miała problemy z mówieniem. – Nie śmieję się! – Zatrzymała się na chwilę i nasłuchiwałyśmy, ale nie było słyhać żadnego głosu, więc ruszyliśmy dalej. – Nie wiem, jak się zachować przy chłopakach. Romans nie jest moją mocną stroną. Mam to chyba po ojcu.

– W sensie?

– Mama nas zostawiła, jak miałam dwa lata – wyjaśniła ze sztuczną obojętnością i trochę przyśpieszyła, żeby mnie przeholować przez skrzyżowanie. – Niewidoma córka chyba ją przerosła.

Przełknęłam ślinę. Nigdy bym nie pomyślała, że Clarissa może mieć jakieś poważniejsze problemy i że ślepotą odebrała jej coś cennego.

– Przykro mi – szepnęłam.

– Nie szkodzi – odparła i znów się zatrzymała.

Po prawej usłyszałam szum głosów.

Przeszliśmy przez trawnik i szliśmy pod górkę, aż natrafiliśmy laskami na ludzkie kostki. Panowała tu zupełnie inna atmosfera niż w Strandzie. Cisza pełna oczekiwania i czci mieszkająca się z trudną do opisanego wonią stłoczonych ludzi. Uspokoiliłam się trochę i teraz głównie się niecierpliwiłam. I co z tego, jeśli Mason mnie rozpozna pod kapturem? Kogo to obchodzi? Przecież już i tak nie mógł mieć na mój temat gorszego zdania.

To fizycznie niemożliwe.

Okłamywałam go od tygodni. Zarzygałam mu samochód. Wrzuciłam odpalony granat ręczny w serce jego brata. Co jeszcze zostało? Poza tym, sądząc po szumie głosów przede mną, stałam za całkiem sporą grupką ludzi,

którzy mnie zasłaniali. Pierwszy raz, odkąd się tu znalazłyśmy, poczułam się bezpiecznie. I nie mogłam się doczekać, co będzie. Stałam tu, z tymi kilkoma osobami, czekającymi na koncert najlepszej wschodzącej grupy ostatniej dekady. Chciałam się tylko uśmiechać, nic więcej.

Mikrofon zatrzeszczał i przez tłum przeszła fala ożywienia. Podniosłam głowę.

Zaczyna się.

Przez chwilę nie mogłam złapać tchu. Czułam, jakby coś się zakradło do mojej piersi i rozsiadło w płucach.

Nachyliłam się do Clarissy:

– To jest....

– ...niesamowite! – pisnęła.

David uderzył w talerz, jakby odchrząkiwał na początku rozmowy, a później rozległ się głos Masona, wstrząsający, totalny i niemożliwy do zignorowania. Ugięły mi się kolana i zaparło mi dech w piersi.

Przez ostatnie miesiące słuchałam *Lucidity* chyba z tysiąc razy. Ballada zaczynała się od głosu Masona, wyłaniającego się z ciszy. Melodia jakby oddychała, cierpiała, gięła się i promieniała, intensywna i tak szczerza, że słuchanie jej niemal bolało. Wydawało mi się, że dla przeżywania takich emocji został stworzony ten park. A może nawet sam Mason urodził się, by właśnie tu śpiewać. Modulacje jego głosu unosiły się do nieba, wnikały w trawę, a później wracały, żeby wić się wśród gałęzi drzew. Chwilę później wkroczyli pozostali i zaczęli grać pod przetaczającymi się przez niebo chmurami i wśród podmuchów babiego lata.

Ten moment będę zawsze wspominać jako doskonały. Pewnie kiedyś zapomnę o szczegółach: że przebierałam palcami po udzie, jakbym grała na klawiszach, że w trzecim wersie Mason niespodziewanie obniżył głos, ale nigdy, przenigdy nie zapomnę, jak się czułam.

Clarissa złapała mnie za rękę. Uścisnęłam ją mocno i uśmiechnęłam się tak szczerze, jak się nie uśmiechałam od lat. Zapomniałam, jak to jest być nieszczęśliwą, niespełnioną albo niekochaną. W tej jednej chwili zawierał się cały mój świat i po raz pierwszy, odkąd straciłam wzrok, czułam się na swoim

miejscu.

24

Wyciągnij jeszcze trochę ręce – poradziła spotkana w toalecie dziewczyna. Złała się tak słodkimi perfumami, aż bałam się, że rozboli mnie głowa.

Usiłowałam nie wdychać ich zapachu, więc w podziękowaniu kiwnęłam głową w jej stronę i przesunęłam ręce jeszcze w stronę ściany. Nic.

Jezu.

Nie miałam dzisiaj ochoty na Dzień Kuchni Chińskiej, a już na pewno nie byłam w nastroju na okiełznywanie tej toalety. Komu przeszkadzały krany? Co z nimi było nie tak? Macało się w powietrzu, znajdowało i przekreślało. Prosta sprawa. Dzisiaj trzeba chyba skończyć Hogwart, żeby umieć prawidłowo obsługiwać te wszystkie automatyczne funkcje.

Jeszcze raz zamachałam rękami. Znowu nic.

– Poczekaj, pomogę ci! – zawołała dziewczyna. Niespodziewanie złapała mnie za ręce, żeby ustawić je w odpowiednim miejscu, ale ponieważ nie spodziewałam się jej dotyku, wierzgnęłam w tył i chyba przypadkiem znalazłam się we właściwym punkcie, bo kran na fotokomórkę nagle ożył, a woda rozprysnęła się wszędzie, zraszając nie tylko moje ręce, ale i twarz.

Dziewczyna wcisnęła mi kłęb papierowych ręczników i ze współczuciem oznajmiła:

– Na pewno nie jest łatwo być niewidomym.

Siłą się powstrzymałam, żeby nie westchnąć. Mówiła Głosem. Tym specyficznym, nasączonym litością.

– Daję radę, dzięki – odparłam, a potem się odwróciłam i ruszyłam do drzwi, po drodze potykając się wdzięcznie o coś, co brzmiało jak pusta puszka

po napoju.

Dzień Kuchni Chińskiej to idiotyczne święto, które sfabrykowała wiele lat temu babcia, żeby namówić dziadka na chińskie jedzenie. Dziadek był bardzo wybredny i zawsze twierdził, że „w chińszczyźnie jest za dużo kolorów”. Przez całą drogę do knajpy zrzedził i marudził, ale kiedy wychodziliśmy, jego talerze były wylizane do czysta.

Mała knajpeczka, w której siedzieliśmy, znajdowała się za miastem, ponad trzydzieści kilometrów od domu. Dziwne, jak się nad tym zastanowić. Opuszczaliśmy całkiem spore miasto, żeby jechać na obiad do jakiejś Pipidówki? A jednak wiele, wiele lat temu babcia orzekła, że tu jest najlepsze jedzenie, więc przyjeżdżaliśmy. Nawet teraz, tyle czasu po jej śmierci.

Znałam to miejsce od dziecka, więc dobrze się tu czułam. Należało do starej Chinki, która dobrotliwie groziła mi palcem, gdy używałam widelca zamiast pałeczek. Wiedziałam, że w środku jest za dużo czerwonych, żółtych i pomarańczowych ozdób, jakby wybuchł worek z cukierkami sturburst, które pospadały nawet na chodniki. Ciasteczka z wróżbą cudownie smakują po zanurzeniu w sosie śliwkowym. A boczne okno wychodzi na wielkie boisko do piłki nożnej, należące do pobliskiego college’u. Mama zawsze prosiła o stolik właśnie przy nim, co zwykle oznaczało czekanie. Dzisiaj też stolik dostaliśmy dopiero po półgodzinie. Zbliżała się już dwudziesta i chociaż przed nami ustawiono mnóstwo przekąsek, dziadek z każdą sekundą robił się coraz bardziej poirytowany.

– Gdzie są te chlebowe pałki? – spytał burkliwie.

– Tu nie ma grissini – wyjaśnił tata. – To chińska restauracja.

Dziadek był obzartuchem. Wiedziałam o tym, bo masę czasu spędzał w naszej kuchni, pustosząc lodówkę. Mieszkał z nami, ale nie pod względem technicznym. Po śmierci babci przerobiliśmy garaż na jednopokojowe mieszkanie dla niego. Narzekał na brak prywatności, a jednocześnie więcej czasu siedział u nas niż u siebie, podjadając zapasy z lodówki i oglądając telewizję na naszym dużym ekranie. Wiedziałam, dlaczego tak jest, choć sam nigdy się do tego nie przyznał. Czuł się samotny. Tęsknił za babcią.

Mama prawie całe dni spędzała na boisku, tata w kancelarii, więc dziadek

przywracał normalność naszemu dziwaczemu domowi. Podwoził mnie, gdy musiałam się gdzieś dostać, siedział ze mną przy kuchennym blacie i pożerał mrożone dania z mikrofalówki i to on zawiózł mnie do szpitala, kiedy dostałam zapalenia opon mózgowych.

Tamtego ranka fatalnie się czułam. Wstałam i z trudem dowlokłam się do kuchni. Choć była dopiero piąta, mama już włożyła swój codzienny strój: wyprasowane spodnie w kolorze khaki i koszulę z długimi rękawami. Parzyła właśnie kawę.

– Mamo, mam gorączkę – wystękałam powoli i z trudem.

Zmarszczyła brwi i grzbietem dłoni dotknęła mojego czoła.

– Ojej, kochanie. – Zmarszczyła czoło. Nienawidziła, kiedy chorowałam. – Pewnie złapałaś tę grypę, którą teraz wszyscy mają.

– Może. – Słowa wydawały mi się tak ciężkie, że z trudem wypychałam je z ust. – Głowa mnie strasznie boli. I kark mam sztywny.

Wzięła moją twarz w dłonie i pocałowała mnie w czoło.

– Idź do łóżka. Ja zadzwonię do szefa i powiem, że dzisiaj mnie nie będzie.

– Ale przecież masz mecz!

Machnęła ręką i popchnęła mnie w stronę mojego pokoju.

– Od tego mam asystentkę.

Nagle poczułam się strasznie winna.

– Nic mi nie będzie. Muszę się tylko wyspać. Idź do pracy!

No i poszła.

Cztery godziny później zadzwoniłam, żeby jej powiedzieć, że jest coraz gorzej, ale pewnie wyszła już na boisko, bo natrafiłam na pocztę głosową. Sześć godzin później dziadek zawiózł mnie na izbę przyjęć. Po dwóch godzinach prawie umarłam, dwa razy. Z powodu gorączki. Po następnej godzinie byłam ślepa.

Dzisiejszego wieczoru w chińskiej knajpie mama nie miała żadnego problemu z odbieraniem telefonu. W czasie kolacji dzwonili dwa razy. Z pracy.

– Ej, dzieciaku – zagaił dziadek, gdy mama rozmawiała. – Właśnie weszła ta twoja przyjaciółka.

Ręka z widelcem zawisała mi nad talerzem.

– Która?

– Blondynka, z dużymi ustami.

Lauren.

Przełknęłam, co miałam w ustach.

– Gdzie jest?

– Czeka na stolik.

Pewnie powinnam była się nie ruszać, skulić się na krześle i rznąć głupa, zwłaszcza że miałam przecież doskonałą wymówkę do unikania jej wzrokiem. Z jakiegoś jednak powodu wstałam i do niej podeszłam. Może chciałam się dowiedzieć, dlaczego nie przyszła wtedy z Sophie. Albo potrzebowałam sprawdzić, w jakim stanie jest nasza przyjaźń. Byłam masochistką?

Podeszłam i rzuciłam ogólne „cześć”. Zapadła po nim bolesna, pełna napięcia cisza i już się miałam odwracać i iść z powrotem, gdy Lauren się na mnie rzuciła, owiewając mnie chmurą perfum swojej matki, szybko mnie przytuliła, a potem się odsunęła.

– Maggie! – zawołała zbyt głośno jak na to małe wnętrze. – Rany, sto lat cię nie widziałam!

– Tak – przyznałam. – Trochę czasu minęło. Myślałam, że może przyjdiesz z Sophie. Wtedy, w zeszłym tygodniu.

Milczenie.

Skrzyżowałam ramiona na piersi i przestąpiłam z nogi na nogę. Próbowałam się uspokoić. Wygrałam palcami kawałek Chopina. Potem melodyjkę Clarissy. I jeszcze raz jedno i drugie razem.

Nie pomogło.

W końcu Lauren przerwała milczenie:

– No tak, ale już się wtedy umówiłam z Kirsten Richards. Pamiętasz ją? Dośrodkowująca. Ta, co bez problemu strzelała w okienko bramki. Gra teraz u nas. Przeniosła się po tym, jak...

Kolejna pauza.

– ...jak straciłam wzrok – uzupełniłam.

– No właśnie. Poszcęściło nam się, bo Kirsten jest... No wiesz. Świetna.

Już ma miejscówkę na uniwerku w Connecticut!

– Miejscówka na uniwerku – powtórzyłam i cała jakbym się ugięła pod ciężarem niesprawiedliwości, aż wymiatającej mi powietrze z płuc. – Świetnie!

Po drodze do stolika olśniło mnie, że Lauren nawet nie spytała, co u mnie. Pewnie nie powinnam się dziwić. Zawsze bardziej ją interesowała Maggie Bogini Futbolu niż Zwykła Maggie. Nie zabołało mnie to tak, jak być może powinno. Zastanawiałam się tylko, dlaczego tak nisko ustawiłam poprzeczkę dla przyjacieli.

– Co tam u Lauren? – spytał tata, gdy usiadłam.

– Wszystko super – odparłam z wymuszoną lekkością.

– Wspominała, który wybrała college?

Oparłam się łokciami na stole i masowałam miejsce między brwiami.

– Nie mówiła.

Tata zaczerpnął tchu, co zapowiadało wejście w tryb przesłuchania.

– A co tam u ciebie? Co myślisz o tych płytach?

– Nie miałam okazji przesłuchać.

– Czas płynie! – przypomniał tonem niby beztróskim. – A tak w ogóle, moim zdaniem polibuda kalifornijska wygląda świetnie. Mają rewelacyjne programy dla osób z problemami ze wzrokiem. Za to twoja mama jest zdecydowana na Missouri State.

Usłyszałam, jak zamyka etui telefonu.

– Nie jestem na nic zdecydowana, Steve – wtrąciła. – Wybór należy do Maggie.

Mówiła o mnie, jakby mnie tam w ogóle nie było.

Bo może i nie było.

Odezwałam się dość głośno:

– Dlaczego mam o tym myśleć w tej chwili?

Mama westchnęła zmęczona, jakbym specjalnie utrudniała jej życie.

– Co to ma znaczyć?

– Bo jestem ślepa od siedmiu miesięcy i nie radzę sobie. Może nigdy się nie nauczę poruszać samodzielnie. Nie ogarnę chodzenia po kampusie tak, żeby

nie wybić zębów. A może w ogóle nie chcę iść do college'u.

– Rozumiemy, że to dla ciebie wielkie wyzwanie – zaczęła mama, a jej słowa brzmiały tak sztywno i wymuszenie, jakby wcześniej ćwiczyła przed lustrem: – Ale powinnaś spróbować, sama będziesz zaskoczona, ile potrafisz. – To już brzmiało śmiesznie, a takie gadanie nie było w jej stylu. Wydawało mi się, że czyta na głos rozdziały z książki typu *Jak pomóc swojemu dziecku przyzwyczać się do utraty wzroku*. – Umów się z Hildą na kilka dodatkowym spotkań.

– Nie.

– Dlaczego?

– Już i tak dużo czasu spędzam z Hildą.

– Twój pedagog szkolny mówi, że dodatkowe sesje z asystentem dobrze by ci zrobiły – stwierdziła beznamiętnie.

Zgniotłam serwetkę.

– Mój pedagog spotkał się ze mną dokładnie dwa razy, w tym jeden poświęcił w całości na besztanie mnie za akcję z posągami. Nie ma pojęcia, co by mi dobrze zrobiło.

Mama odchrząknęła.

– Może daj mu szansę i porozmawiaj z nim? Na pewno mógłby ci pomóc w twoich... no wiesz, sprawach.

Zrobiłam się czerwona. Sprytnie udało jej się przemilczeć, że sama jest jednym z moich największych problemów, wręcz przepaścią rozpościerającą się przed każdym, choćby najmniejszym krokiem, które niepewnie stawiałam w ostatnich miesiącach.

– Nic nie potrzebuję – zdecydowanie zakończyłam rozmowę.

Za piętnaście dziewiąta marzyłam już tylko, żeby się znaleźć w łóżku. Zwinąć się w kłębek pod kołdrą i zapomnieć o tym wieczorze. W ciemnym, zakurzonej kącie mojej klatki piersiowej, gdzieś wśród żeber, chowały się emocje związane kiedyś z aplikowaniem na uniwersytet w Connecticut. Teraz miażdżyły mi płuca, jakby dźwigały ciężar całego świata. Odchyliłam się i zaczęłam głęboko oddychać, a przy okazji kątem oka zauważyłam plamę czegoś zielonego, zaraz za oknem przy którym siedzieliśmy. Przez chwilę

myślałam, że to sobie wyobraziłam, że to halucynacje albo zmęczenie. A jednak wstrząs musiał być widoczny na mojej twarzy, bo tata spytał:

– Mags? Coś się stało?

Zanim zdołałam odpowiedzieć, do restauracji wszedł starszy, zgarbiony mężczyzna w koszulce polo koloru jadeitu. Wokół niego rozpościerała się niewielka, przybrudzona poświata.

Jakiś czas temu niecierpliwie wyczekiwałam tej chwili. Niecierpliwie wyglądałam zza rogow i z zapartym tchem wchodziłam do sklepów, z nadzieją, że coś zobaczę. Cokolwiek oprócz Bena. Ale teraz, kiedy to się wreszcie stało, przeraziłam się.

Mężczyzna wyglądał zwyczajnie. Był stary i poruszał się niepewnie. Mógłby być jakimś pradziadkiem, który słucha lokalnych stacji radiowych, nie używa mikrofalówki i któremu nigdy się nie rozprostowują zmarszczki od uśmiechu.

Opadłam na oparcie i zasłoniłam usta. Miałam paskudny zwyczaj chichotania z nerwów. Bardzo źle się składało, bo w większości stresujących sytuacji śmiech się nie sprawdzał. Na przykład w piątej klasie, kiedy grałam w szkolnym przedstawieniu i zapomniałam kwestii. Albo tuż przed wejściem na salę sądową, na rozprawie po aferze z posągiem.

Teraz też zaczęłam chichotać, patrząc na mężczyznę i spowijającą go ponurą poświatę. Wskrzesił niepewność, którą z przerwami czułam w ostatnich tygodniach, i to mnie przeraziło.

25

Parę miesięcy temu rodzice zaprowadzili mnie do psychiatry. Pewnie dlatego, że dopiero co straciłam wzrok i łatwo się denerwowałam, pyskowałam nauczycielom i zrobiłam się fantastycznie wręcz sarkastyczna. Aha, i do tego jeszcze wyrywałam ich ze snu o najróżniejszych porach nocy, bo uprawiałam wtedy swoje najnowsze, wspaniałe hobby: lunatykowanie.

Psychiatra nazywała się doktor Samuels albo doktor Smithton, nie jestem pewna, bo minęło już trochę czasu. Pamiętam, jak się kuliłam w jej twardym skórzanym fotelu, gdy radośnie wypytywała mnie o szkołę, przyjaciół i utracony wzrok, aż przestałam czuć tyłek. Na koniec oświadczyła, że jestem zupełnie normalną nastolatką, która usiłuje się przystosować do nowych, trudnych okoliczności. A lunatykowanie? To tylko tymczasowy efekt uboczny.

W wyniku tego tymczasowego efektu ubocznego przez następny miesiąc budziłam się w wannie, na schodach albo w szafie w sieni. Kłóciłam się z lampami i zmiatałam nieistniejące liście z nieistniejącego dywanu w dużym pokoju. A kilka miesięcy temu w środku nocy wyszłam z domu. Obudziłam się, siedząc w niemożliwym do zidentyfikowania miejscu na niezidentyfikowanym kawałku betonu, ubrana w to, w czym spałam, czyli T-shirt i stare majtki. Nie miałam komórki, laski, butów ani pojęcia, co zrobić.

Czy wzywałam pomocy? Nie. Czekałam, aż ktoś mnie znajdzie? Nie do końca. Posłuchałam swojego wewnętrznego kretyna, który kazał mi wstać i iść. Więc wstałam i wyszłam na ulicę, prosto pod samochód, który we mnie uderzył. W efekcie: a) miałam skręcony nadgarstek, b) przysięgłam sobie nigdy więcej nie wychodzić na Świat Zewnętrzny, c) przestałam lunatykować,

d) uświadomiłam sobie, że jestem beznadziejna w podejmowaniu decyzji, bo rzadko kiedy analizuję fakty.

Następnego dnia rano leżałam w łóżku i zastanawiałam się, co robić. Rozpamiętywałam wypadek samochodowy, nieudany żarcik z posągiem, to, co narobiłam Sophie i Benowi, a także jak się zaprezentowałam przed Masonem. Na koniec doszłam do wniosku, że jeszcze jedno głupie zachowanie i Narodowe Stowarzyszenie Podejmujących Złe Decyzje zbuduje pomnik ku mojej czci.

Przecież wcześniej czekałam, wyczekiwałam chwili, kiedy coś się ruszy w sprawie mojego wzroku i zacznę widzieć nie tylko Bena Milтона i teren wokół niego, a teraz co? Doczekałam się i nie miałam pojęcia, co z tym zrobić. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to powiedzieć Benowi.

Ben jednak nie odebrał telefonu. I nikt z Miltonów. Ani razu. Zostawiłam tyle wiadomości, że ich poczta głosowa zaczęła pękać w szwach i wykrzykiwać mi jakieś bezceństwa prosto do ucha.

Może są po prostu zajęci, przekonywałam się, żeby nie wpaść w panikę. Przecież nie mogą mnie wszyscy nienawidzić. Na pewno nie pani Milton.

Ale trzy dni zmieniły się w cztery, sześć, a potem okazało się, że minął tydzień i musiałam wziąć pod uwagę, że jednak nienawidzą mnie wszyscy.

– I dobrze – mruknęłam na głos i rzuciłam telefon na łóżko. – Niech wam będzie!

Zabunkrowałam się w swoim pokoju, usiadłam przed komputerem i zaczęłam sprawdzać. Poszukiwałam niewytłumaczalnych faktów naukowych. Umysłów zdolnych do niezwykłych rzeczy. Ludzi, którym zdarzyły się cuda. Mózgów, które wykroczyły poza możliwości szarych komórek. Ale godziny poszukiwań zakończyły się fiaskiem. Znalazłam mężczyznę, który umiał podnieść samochód. Kobieta, która trawiła metal. Gościa przesuwającego przedmioty siłą woli.

Okazałam się anomalią nawet w świecie anomalii.

To niesprawiedliwe, pomyślałam, asystentka Clarissy zabiera ją w czasie

sesji na pikniki do Alexander Park, a Hilda zaraz następnego dnia porzuciła mnie w środku miasta i kazała samodzielnie przejść przez skrzyżowanie przy Siódmej ulicy.

– Po pierwsze – poinformowałam ją – żeby w ogóle dotrzeć do Siódmej ulicy, musiałabym znaleźć Bush street, co jest fizycznie niemożliwe. – Opierałam się o parkometr i ze skrzyżowanymi na piersi ramionami wykladałam wszystkie powody, dla których nie może mnie zostawić samej.

– Pff! – parsknęła Hilda. – Szybko się uczysz, tylko nie chcesz się do tego przyznać. – Zaczekała chwilę, aż zareaguję na tę oczywistą bzdurę. Ale nic nie zrobiłam.

– Spróbuj.

– Zgubię się. – Wiatr akurat zmienił kierunek i poczułam zapach pieczonych pyszności z Big Dough.

– Nie zgubisz. To pięciominutowy spacer. W najgorszym razie trochę pozwiedzasz.

Ciekawe, że ilekroć ktoś nam podsuwa rzekomo negatywny scenariusz, to wcale nie jest ten najgorszy. Dobrze pamiętam, jak to było wpaść pod samochód i nie miałam najmniejszej ochoty powtórzyć tego doświadczenia.

– Zwiedzę tunel ze świecą na końcu.

– Histeryzujesz! Jest piękny dzień, mnóstwo osób spaceruje, cieszą się pogodą. Nie będziesz sama.

– Co za ulga – mruknęłam. – Nic tak nie łagodzi strachu przed zrobieniem z siebie idiotki jak widownia.

Cisza.

– Hilda?

Cisza.

Już poszła.

Serio?

Zamierzałam wybuchnąć śmiechem, ale tylko po to, żeby nie krzyknąć czegoś nieprzyzwoitego. Naprawdę, co ona sobie myślała?! Zabębniłam palcami w parkometr. Byłam podminowana, zła i zestresowana; gotowa porzucić swoją skórę i uciec.

Z wściekłością podniosłam ręce. Dobra. Dobra!

Obróciłam się na pięcie i odeszłam. Tylko że nie w stronę Siódmej Ulicy, a w kierunku Big Dough. Sądząc po oszałamiającym, dobrze znanym zapachu, byłam niedaleko.

Ponieważ przez ostatnie tygodnie docierało do mnie najwyżej ćwierć nauk udzielanych mi przez Hildę, nie miałam planu, jak się poruszać chodnikiem. Po prostu szłam. Stukałam laską, stawiałam niepewne kroki i węszyłam.

Nie wyglądało to ładnie.

Ruszałam gwałtownie naprzód i niespodziewanie, niezręcznie hamowałam. Wolną ręką przesuwalam po ceglanych frontach mijanych sklepów, usiłując namacać wejście do piekarni. Kiedyś spędzałam tu pół życia, powinnam więc pewnie jednym dotykem rozpoznać właściwe drzwi. Ale to nie działało. Otworzyłam trzy pary innych, prowadzących do jakichś innych przybytków, nie wiem nawet jakich, aż za czwartym razem nad drzwiami zadzwonił znajomy dzwoneczek. Big Dough, jaśniejąca przede mną świątynia węglowodanów złożonych.

Stałam w progu kompletnie zszokowana. Udało mi się tu dotrzeć, nie zabijając się przy okazji!

Krew dudniła mi w uszach, za plecami słyszałam szum samochodów, muzykę, a gdybym się porządnie wsłuchała, wyodrębniłabym także entuzjastyczny aplauz wiwatującej na stojąco widowni, która istniała tylko w mojej głowie.

Ta chwila była najżałośniejszą albo najdonioślejszą w moim dotychczasowym treningu samodzielności.

Zrobiłam krok naprzód i głęboko westchnęłam. Kiedyś spędzałam w tej kiczowatej, stylizowanej na lata sześćdziesiąte piekarni całe godziny, ale odkąd straciłam wzrok, moja noga tu nie powstała.

Pachniało tak jak zawsze, tylko że inaczej.

Wciąż wyczuwałam najmocniejsze zapachy: miętę i karmel, gorzką czekoladę, kawę i cynamon. Ale teraz wychwytywałam także subtelniejsze nuty masła, brązowego cukru i śmietanki. A także drożdży, mąki i – Boże! – rozpuszczonej, aksamitnej, białej czekolady.

Pewnie wyglądałam jak uciekiniarka z domu wariatów, stojąc w przejściu z nosem skierowanym do góry i kretyńskim uśmiechem, ale miałam to gdzieś. Nieśpiesznie rozkoszowałam się chwilą, a potem każdym zwycięskim krokiem prowadzącym do kasy.

Właściciel kawiarni, Sal, był śmiesznym, zatrzymanym w czasie człowiekiem z nosem jak ptasi dziób i siwym warkoczem upiętym pod siatką na włosy. Miał ciekawy zwyczaj gwizdania przy każdej głosce „s”.

– Słodkie ciasteczka cyrkonowe prosto z pieca – rzucił zza lady, wzywając pewnie przy okazji taksówkę, kelnerkę i kilka psów.

– Świetnie! – Z trudem powstrzymałam śmiech. Zamówiłam je, a do tego biszkopeciki z podwójną czekoladą i ciastko owsiane z rodzynkami.

– I jeszcze niespodzianka! – dodał Sal.

Uśmiechnęłam się.

– Poproszę. – Do każdego zamówienia dorzucił dodatek gratis. Próbkę najnowszego ciastka, nad którym właśnie pracował.

Znalazłam miejsce i zaczęłam grzebać w torebce. Wyłosowane ciastko przysunęłam do nosa. Matko jedyna, biszkopecik z podwójną czekoladą! Ugryzłam, żułam nieśpiesznie i kiwałam głową w rytm piosenki Drift District. Cichnąca partia basów dobiegała z umieszczonych pod sufitem głośników. Ku mojemu zaskoczeniu nagle rozległo się głośne puff i ktoś usiadł tuż obok mnie. Następnie poczułam na twarzy nieprzyjemny rumuński oddech.

Przełknęłam ciasteczko, ale zatrzymało mi się gdzieś w gardle.

Owiewając moją twarz oddechem, Hilda oznajmiła:

– W Rumunii mawiamy: *Cum îți așterni, așa te vei culca*. – Litości, za jakie grzechy? – Co oznacza, że trzeba wypić piwo, jakiego się nawarzyło.

– Ale ja...

– Jednak decyzja, którą obserwowałam od samego początku do samego końca – kontynuowała, jednocześnie wyjmując mi z ręki ciasteczko – nie była wcale głupia. – Wydała długi, cichy gwizd i zarechotała. Zarechotała! Czułam, jak całe jej ciało się trzęsie. – To wielka rzecz. Rozumiesz? – Zamilkła i pożarła moje ciastko. – Gratuluję!

Hmm.

- Nie jesteś zła? – Te trzy słowa udało mi się wygenerować.
 - Zła? Pff! Uważasz mnie za wredną babę. Wybrałaś cel, wyruszyłaś samodzielnie i dotarłaś bezpiecznie. Jestem zachwycona. Dzisiaj świętujemy!
 - Pogrzebała w torebce z ciastkami i wcisnęła mi do ręki kolejne.
 - Serio?
 - Serio! – odparła, a w jej ustach te słowa brzmiały tak dziwnie, że zaczęłam się śmiać. Odłamałam kawałek ciasteczka i wrzuciłam sobie do ust.
- Bonusowe ciasteczko Sala.
- Słone, karmelowe, czekoladowe, zupełnie inne niż jego dotychczasowe pomysły. Ale absolutnie doskonałe.

26

Kiedy jeszcze widziałam, miałam wyraziste sny w technicolorze: jasne, kolorowe, pełne struktur i dźwięku. Tworzyły prawdziwe filmy odgrywane w mojej głowie. Ale kiedy świat zniknął, z nocy na noc zaczęła się też pogarszać jakość snów. Pustka otaczająca mnie na jawie wkradała się i do snów, a niegdyś jaskrawe obrazy blakły i rozmazywały się, aż w końcu zniknęły, zostawiając po sobie najwyżej przypadkowe głosy, myśli i pomysły.

Ale tej nocy znów śniłam.

I jakoś tam byłam świadoma, że śnię. Rozpoznałam zamknięte drewniane drzwi, przed którymi stałam, zapach kulek na mole wydostający się z szafy na korytarzu i rodzinny portret wiszący obok na ścianie. Stałam w korytarzu na górze, naprzeciwko drzwi do mojego starego pokoju. Słyszałam dochodzące zza nich rozszalałe szepty.

Położyłam dłoń na gałce, ale nie przekręciłam jej.

– Kto tam? – zawołałam drżącym głosem.

Szepty ucichły. Zapadła martwa cisza. Zbyt straszna.

– Halo? – zawołałam znowu.

Cisza.

Obok mnie pojawił się Ben. Nigdy jeszcze nie odczułam takiej ulgi.

– Ben? – wykrzyknęłam. – W moim pokoju ktoś jest!

Wzruszył ramionami. Od tego ruchu zaskrzypiały jego kule. Głośno. Nieprzyjemnie.

– Zobacz, kto.

Zagryzłam wargę tak mocno, że chociaż śniłam, przysięgłabym, że czuję

smak krwi. Odetchnęłam głęboko i powoli zaczęłam otwierać. Szepty znów się zaczęły. Jeszcze głośniejsze.

Zabrałam rękę.

– To chyba nie jest dobry pomysł – stwierdziłam i odwróciłam się do Bena. Jego twarz się zmieniła. Miał zapadnięte policzki, ciemne sińce pod oczami. Popękane usta krwawiły.

Westchnął. Jego oddech śmierdział zgnilizną, rozkładem.

– Ja otworzę – oznajmił. Wyjął z kuli jedno ramię i balansując z podpartą tylko połową ciała, sięgnął do klamki.

– Czeka! – wrzasnęłam z przerażeniem.

Otworzył już drzwi i zrobił krok naprzód. Zatrzymał się chwiejnie w progu mojego pokoju.

Zaparło mi dech w piersi. Bo żadnego pokoju nie było. Ani ścian, ani podłogi. Nic, tylko ogłuszająca, pełna szeptów nicość. Ben runął naprzód, prosto w przepaść.

Krzyknęłam i rzuciłam się, żeby go złapać, ale o milimetr minęłam jego rękę. Na ułamek sekundy spotkały się nasze oczy, a on patrzył błagalnie, chciał, żebym mu pomogła.

Później runął w otchłań.

Obudziłam się gwałtownie, serce waliło mi jak wściekłe. Panika ścisnęła mnie za gardło, dzika i niepohamowana. Walczyłam o uspokojenie oddechu i zaczęłam nasłuchiwać jakiegoś dźwięku, który by mnie przekonał, że nie jestem sama: rozmowy rodziców, kroków kota idącego korytarzem, szelestu, ruchu, czegokolwiek, ale dom pogrążony był w potwornej, desperackiej ciszy. Byłam cała mokra od potu. Wyślizgnęłam się z łóżka i ruszyłam do sypialni rodziców. Od progu słyszałam cichy szum telewizora. Dźwięk był niemal całkiem wyłączony, ale rozpoznałam znajomą scenę z *Romea i Julii*.

Mama się do tego nie przyznawała, ale była beznadziejnie sentymentalna i uwielbiała romantyczne, smutne filmy. Nie wiem sama, ile nocy spędziłam zwinięta obok niej na kanapie, podczas gdy ona łkała nad jakąś rozdzierającą duszę sceną. Czułam się wtedy wyjątkowa, jakby się ze mną dzieliła częścią siebie, do której nikt inny nie miał dostępu.

Teraz dzieliła się ze mną najwyżej cichym pochrapywaniem. Leżała pogrążona w wywołanym proszkami nasennymi stuporze. Podeszłam do niej na palcach, jak duch, i uklęknęłam przy łóżku. Dotykałam palcami ciała pod kołdrą, aż namacałam wgłębienie nad jej biodrem. Położyłam tam głowę, choć wolałabym móc mamę obudzić i zwinąć się w kłębek na jej kolanach, tak jak kiedyś, gdy byłam mała. Teraz mogłam tylko klęczeć, słuchać miarowego bicia jej serca i spokojnych oddechów. Ukoiły mnie na tyle, że po jakimś czasie mogłam wrócić do siebie.

Następnego dnia obudzili mnie rodzice, którzy wychodzili do pracy: szuranie nóg w kuchni, stukanie łyżeczki w filiżankę z kawą, cicha rozmowa, dzwonięcie kluczy... Gdy wyszli, wyskoczyłam z łóżka.

Byłam pobudzona, jakby ktoś mnie podłączył do prądu. Zaczęłam krążyć po domu: korytarzem do schodów, na górę, potem z powrotem na dół i znów korytarzem. I tak raz za razem. Na górze zatrzymałam się na moment przy drzwiach do mojego starego pokoju i chwilę stałam. Położyłam dłoń na ich drewnianej powierzchni.

W tym pokoju mieszkały tysiące duchów.

Z dworu dobiegł mnie odgłos zamykanych drzwiczek do samochodu, a ciszę poranka przeciął jęk, niespodziewany jak wystrzał. Teraz już nieźle spanikowałam. Ostrożnie zeszałam i zatrzymałam się w sieni. Ktoś się zaczął dobijać do drzwi. Tak się przestraszyłam, że aż pisnęłam.

– Kto tam? – krzyknęłam.

– Maggie? To ja, Lauren.

Lauren?!

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Maggie? – powtórzyła.

Pomasowałam czoło kostkami palców.

– Coś się stało? – Zamierzałam zabrzmieć obojętnie, ale głos mnie zdradził. Z moich ust wypłynęły rozedrgane słowa.

– Możesz otworzyć? Mam... problem z Sophie i potrzebuję twojej pomocy.

Błyskawicznie pokonałam trzy kroki do drzwi i otworzyłam je.

– Co się dzieje? – prawie krzyknęłam.

Zapadła cisza i nawet się zastanawiałam, czy ona nadal tu jest. Potem się odezwała:

– Chyba najlepiej będzie, jak sama ci powie. – Zaprowadziła mnie do swojego samochodu, w którym Sophie przeżywała załamanie nerwowe. Gdy podeszliśmy do drzwiczek kierowcy, Lauren wyjaśniła: – Pomyślałam, że ponieważ sama masz za sobą trudne chwile, może będziesz umiała jej pomóc.

Miałam ochotę ją spytać, skąd o tym wie. I dlaczego zakłada, że mam trudne chwile za sobą. A gdyby nie Sophie, w ogóle bym jej nie otworzyła. Nie miałam jednak czasu na monologowanie, bo Lauren pokierowała mną i wepchnęła na przednie siedzenie.

Padłam na nie z głośnym „ump”, a potem przez chwilę siedziałam w milczeniu, przygryzając dolną wargę. W takich sytuacjach zawsze się czułam niepewnie. Z trudem odnajdywałam drogę na wzburzonych wodach Oceanu Estrogenowego. Poza tym nasza ostatnia rozmowa z Sophie była okropnie niezręczna. W końcu postanowiłam się odezwać i żeby Sophie usłyszała mnie przez swoje szloch, prawie zawołałam:

– Jak tam? Masz gorszy dzień?

– Zamknij się. – Te słowa dziwnie zabrzmiały w jej ustach. Równie dobrze Matka Teresa mogłaby nazwać Gandhiego ćwokiem. Nie umiałam jej potraktować poważnie.

– Nie zamknę się – poinformowałam. – Lepiej mi powiedz, co się stało.

Ale zaczęła płakać jeszcze bardziej.

– Soph, błagam, nie może być aż tak źle.

Słyszałam jej oddech, płytki i histeryczny, jak w filmach. Chciałam namacać jej rękę, żeby ją poklepać, czy co tam robią dziewczyny w takich sytuacjach, ale gdy w końcu znalazłam jej palce, wyrwała mi je i krzyknęła:

– Pamiętasz, jak wtedy przyszedłam do ciebie do domu?

Jakże bym mogła zapomnieć?

– Tak.

– Spytałaś, czy mam katar – przypomniała piskliwym głosem. – Bo mówiłam przez nos.

– No i?

– Płakałam wtedy całe rano. Okres mi się spóźniał o dwa i pół miesiąca i dopiero co zrobiłam test ciążowy.

Biorąc pod uwagę wszystko, co się ostatnio działo w moim życiu, myślałam, że już nic mnie nie zdziwi. Ale kiedy dotarło do mnie, co właśnie powiedziała, owszem, byłam w szoku.

– Czy ty... – zaczęłam, ale potem przerwałam. Chciałam spytać, czy „wpadła”, ale uznałam, że to nie na miejscu. Z drugiej strony nic innego mi nie pasowało. „Oczekiwać dziecka” może czterdziestolatka albo trzydziestopięciolatka. Ale dziewczyna z liceum? No cóż. To „wpadka”, taka jest prawda. Tylko że spodziewałabym się tego raczej po Lauren niż po Sophie.

– CO JA TERAZ ZROBIĘ? – lamentowała.

Wysiadłam z samochodu i od razu zderzyłam się z Lauren.

– Zaszła! – orzekłam błyskotliwie.

– No właśnie – szepnęła Lauren. – A ja... Za piętnaście minut mam trening i nie wiem, co zrobić. Może mogłabyś...?

– Co mogłabym? – syknęłam.

– Nie wiem. Wziąć ją na trochę do siebie? Porozmawiać z nią? Ja naprawdę nie wiem, co mówić.

Stałam i zastanawiałam się nad jej słowami. Nie mogłam uwierzyć, że przywiozła tu Sophie, żeby się jej pozbyć. Potem zacisnęłam usta i machnęłam ręką w geście wyrażającym „dobra, jedź”.

Poszłyśmy z Sophie do ogrodu i usiadłyśmy na popękanej plastikowej huśtawce. Wysuszona trawa kłuła nas w stopy. Jak byłyśmy małe, spędzałyśmy tu całe godziny. Marzyłyśmy, gadałyśmy i zwisałyśmy głowami w dół. Wtedy nawet przez myśl mi nie przyszło, że zasiądziemy tu w takiej sytuacji.

Na początku żadna z nas się nie odzywała. Nie dlatego, że nie miałyśmy nic do powiedzenia. Przeciwnie, za dużo się tego nazbierało. Siedziałyśmy więc i przedzierałyśmy się przez swoje myśli. Łzy Sophie wyschły, ja otrząsnęłam się z szoku. Oplotłam małym palcem metalowy łańcuch i słuchałam modrosójek błękitnych, krzyczących na siebie w rogu ogrodu, dziadka

tłukącego się w swoim mieszkaniu i sąsiedzkiego zraszacza do trawy. W końcu Sophie wzięła drżący wdech.

– Nie mówiłam ci o tym wcześniej, bo nie wiedziałam, jak zacząć. Poza tym nie chciałam, żebyś patrzyła na mnie inaczej, ale... – zamilkła, chrząknęła i zaczęła od nowa: – Jestem adoptowana. Moja biologiczna matka urodziła mnie w wieku szesnastu lat. Szesnastu! Nie byłoby mnie, gdyby... No wiesz.

Pokiwałam głową na znak, że rozumiem.

– Co Jason na to, że nie usuniesz ciąży?

– Jeszcze mu nie powiedziałam – przyznała. – Rodzicom też nie. Chyba miałam nadzieję, że jak nie będę o tym myśleć, to samo zniknie. Jestem przerażona. Nie wiem, jak tata to przyjmie. – Pokiwałam głową. Tata Sophie był ostry. Zawsze musiała najwcześniej z nas wracać do domu, nie wolno jej było nosić krótkich spódniczek i tak dalej. – Już i tak jest napięta sytuacja.

– Jak to?

Przez chwilę milczała. Nadal nie rozmawialiśmy naturalnie. Wciąż dzielił nas ostry odłamek szkła, którego żadna nie chciała dotknąć, żeby się nie pokaleczyć. W końcu wyjaśniła:

– Rodzice się strasznie kłócą.

– Tak mi przykro – odparłam cicho. – Czemu nic nie mówiłaś?

– Zrobiło się źle mniej więcej wtedy, kiedy straciłaś wzrok. Nie chciałam ci dokładać swoich problemów.

– Spoko, zniosłabym to – mruknęłam. – Moja rodzina też nie jest idealna. Myślisz, że jakoś to rozwiążą?

Sophie odetchnęła głęboko.

– Mama się stara, ale tata bardzo się oddalił. Boję się, że ciąża ich dobije.

– Nie możesz się tym przejmować. Czy ci się to podoba, czy nie, stało się. Musisz im powiedzieć.

– Wiem – wymamrotała. – Ale nie umiem.

– Oczywiście, że umiesz – zapewniłam ją. – Jak wrócisz do domu, po prostu to z siebie wyrzuc. No wiesz, tak jak się zrywa plaster, raz a dobrze.

Parsknęła.

– Ty tak robisz, ja nie. Chciałabym, żebyś... załatwiła to za mnie.

Odezwałam się cicho i niechętnie, ale jednak zaproponowałam:

– To może pójde z tobą?

Gdy dziadek podrzucił nas do domu Sophie, zrobił się już cichy i spokojny wieczór,. Wręcz zbyt spokojny, żeby z pełną świadomością pakować się w burzę. Powoli, bezgłośnie wchodziłam po schodkach na ganek, a po wejściu do domu stanęłam. Przez pół życia wchodziłam do tego domu jak do siebie. Uwielbiałam zajadać się z Sophie arbuzem w święto czwartego lipca i całymi godzinami budować domki z koców w pokoju, w którym jej mama szyła. Znałam każdą skrzypiącą deskę w podłodze i lekko czosnkowy zapach kuchni. Teraz dom wydał mi się inny. Pachniał jedzeniem na wynos i kurzem. Weszłam do salonu, usiadłam na kanapie, a potem odwróciłam się do Sophie i spytałam:

– Gdzie są wszyscy?

Ona westchnęła.

– Mama pewnie czyta na górze. A tata jak zwykle został w pracy do późna.

– Aha. – Kilkakrotnie zagrałam na nodze wariacje Chopin-Clarissa. Zdałam sobie sprawę, że robię to zawsze, gdy przez dłuższy czas nikt się nie odzywa.

– Zajmij mnie czymś – wypaliła nagle Sophie. – Powiedz coś, co się nie wiąże z rodzicami ani z dziećmi, błagam.

Nie wahałam się ani chwili.

– Parę dni temu poszłam na koncert Loose Cannons.

Miałam wrażenie, że wpatruje się we mnie z otwartymi ustami.

– Żartujesz?! – spytała zdławionym szeptem. – Trafiłaś przypadkiem?

– Coś w tym stylu – mruknęłam, żeby się nie wdawać w szczegóły. – Było niesamowicie!

– Nie wątpię! Głos Masona Milтона jest...

Przełknęłam głośno ślinę.

– Tak. Jest idealny. – Bo taka jest prawda. On też jest idealny. A teraz mnie znienawidził.

Sophie kontynuowała:

– Podobno parę miesięcy temu zaczął się spotykać z Hannah Jorgensen.

– Kto to jest? – spytałam głosem nieco wyższym niż zwykle.

– Mags! Gdzieś ty się uchowała? To modelka! Z Nowego Jorku!

Moje usta ułożyły się, jakbym miała zamiar powiedzieć „och”, ale się nie odezwałam. Stwierdziłam, że ten dźwięk nie pasuje i głos utkwiał mi w gardle.

Objęłam się rękami i zapadłam głębiej w poduszki. Czyli tylko wyobraziłam sobie tę chemię między mną a Masonem tamtego wieczoru na koncercie Dead Eddies? Tak. Na to wygląda. Przecież byłam pijana. A on chodzi z modelką. Koniec rozmowy.

Na zewnątrz trzasnęły drzwiczki samochodu. Na ganku rozległy się ciężkie kroki.

– No to zaczynamy... – oznajmiła Sophie, a potem się zaśmiała tak niepewnie, że zabrzmiało to raczej jak szloch. Czułam, jak o moja rękę ocierają się włoski jej przedramienia. Siedziałyśmy obok siebie i czekałyśmy, aż jej tata otworzy drzwi. Próbowałam wymyślić, co mogłabym powiedzieć, chciałam wskrzesić jedną z tych dodających otuchy gadek, które serwowałam dziewczynom na boisku, gdy stałyśmy w kręgu, obejmując jedna drugą. Ale moja przeszłość nie miała już znaczenia, więc zrobiłam jedyną rzecz, jaką umiałam: zostałam przy Sophie i złapałam ją za rękę.

Ojciec Sophie był pijany.

Nie od początku. Wpadł do domu świeży i pachnący wodą po goleniu, rzucił w naszą stronę krótkie powitanie i natychmiast zniknął w swojej norze. Czułam, że Sophie nachodzą wątpliwości, więc trąciłam ją łokciem.

– Dasz radę! – zapewniłam, a ona głęboko i zdecydowanie odetchnęła, a potem wstała. Teraz stałyśmy w kuchni. W głosie jej mamy słyszałam ból i rozczarowanie. Wiedziałam, że to zabija Sophie. Jej tata wrzeszczał. Boże, naprawdę ryczał. A ja zaczęłam się zastanawiać, czy udzieliłam dobrej rady.

Sophie płakała.

Mama płakała.

Ojciec wykrzykiwał straszne rzeczy. Że Sophie jest pomyłką. Latawicą.

Powodem do wstydu. Porażką.

Kiedy nie mogłam już tego znieść, ruszyłam na niego. Sama nie wiedziałam, po co. Zamierzałam go zaatakować? Zresztą okazało się, że to nie ma znaczenia, bo Sophie mnie złapała i przyciągnęła z powrotem, przypominając bez słów, że jestem tylko moralnym wsparciem.

Ojciec kroczył przed nami tam i z powrotem, a jego buty uderzały o podłogę jak wystrzały z pistoletu. Nagle się zatrzymał. Zapadła martwa cisza. Odezwał się zaskakująco spokojnie i cicho. Oznajmił, że Sophie nie jest już jego córką. Kazał jej spakować swoje rzeczy i wynosić się.

Ona nic nie powiedziała.

Nie rozumiałam, czemu się nie broni?!

Nie musiała, bo wtedy wkroczyła matka. Głośno, wyraźnie, żarliwie wyrzeszczała, że jeśli wygania z domu ich córkę, będzie musiał wyrzucić i ją.

Nikt się nie odezwał. Nikt nawet nie oddychał. Wydawało mi się, że nawet ściany się nachyliły, żeby usłyszeć odpowiedź.

– Bardzo dobrze. Idź z nią.

I stało się. To, czego Sophie tak się bała, bo czuła, że nadchodzi. Jej tata wypadł z pokoju i trzasnął drzwiami. Mama zadzwoniła do krewnej w Ohio i spytała, czy mogą do niej z Sophie przyjechać. A ja stałam, obejmowałam się ramionami i słuchałam dzwoniącego mi w uszach milczenia Sophie. Teraz miałam już stuprocentową pewność, że straciłam Sophie na zawsze.

28

Trudno powiedzieć, co poczułam, gdy usłyszałam, jak pod dom Sophie podjeżdża samochód mamy, a nie ciężarówka dziadka. W każdym razie oddech zamienił się w rozedrgane westchnienie. Zeszłam z ganku, przeszłam podjazdem, a potem chwilę mi zajęło znalezienie klamki. Gdy wreszcie opadłam na fotel, spytałam:

– Gdzie dziadek?

– Utknął na jakimś pokerowym turnieju – odparła trochę ironicznie, ale z czułością. Zawsze tak mówiła o dziadku, znałam ten ton jak własną kieszeń. – Zdziwiłam się, że tu jesteś. Nie wiedziałam, że znowu spotykasz się z Sophie.

Zaczęłam skubać poszarpany brzeg krótkich spodenek. Nie chciałam jej mówić o ciąży, konfrontacji z rodzicami Sophie ani o tym, jak jej mama wkroczyła i wstawiła się za córką. I nie zamierzałam się zwierzać, że ta scena obudziła we mnie pragnienie, żeby moja mama się ogarnęła i uratowała mnie, kiedy jej najbardziej potrzebowałam.

– Nie spotykamy się – powiedziałam tylko i przełknęłam gulę w gardle.

– Przykro mi, że nie.

– Naprawdę? – odparowałam tak szybko, że nawet się nie zdążyłam zastanowić. – Nie wiedziałam, że interesują cię moje przyjaźnie. – Czułam jak po policzku płynie mi łza, samotna, duża. Odwróciłam się.

– Oczywiście, że mnie interesują – zapewniła cicho mama. Potem zamilkła.

– Wszystko w porządku, Maggie?

Nie odwróciłam twarzy od okna i otarłam łzę ręką.

– Chciałabym po prostu – zaczęłam, myśląc o łańcuszku zniszczonych

przyjaźni – pewne rzeczy zrobić inaczej. – Te słowa nie niosły wiele treści, ale błagały ją, wyciągały do niej niewidzialne dłonie, chciały sięgnąć poza dzielącą nas przepaść.

– Wszyscy byśmy chcieli – odparła.

Chociaż obie czułyśmy się niezręcznie, to jednak odkąd straciłam wzrok, nie byłyśmy tak blisko siebie. Przywarłyśmy do tej chwili jak do jednego kapoka, który nie mógł nam obu uratować życia, ale wystarczył, żeby przez jakiś czas utrzymać nasze głowy nad powierzchnią wody.

Przez kilka minut dobiegały mnie tylko znajome dźwięki. Zgrzyt przed hamowaniem, tykanie kierunkowskazu.. Potem mama spytała:

– Nie masz nic przeciwko, żebym wpadła do pralni i odebrała garnitur taty?

– Nie – odpowiedziałam trochę za głośno. Potem wytarłam dłonie w spodenki i dodałam spokojniej: – Jasne, idź.

Zaparkowała przed pralnią i wyszła, a ja zamknęłam oczy i oparłam się o zagłówek. Dziwnie się czułam, wyciągając do niej rękę. Całe życie szłam za jej przykładem. Ona była twarda i ja byłam twarda. Ona grała w piłkę i ja grałam w piłkę.

Ona mnie porzuciła i ja ją porzuciłam.

Ktoś głośno zatrąbił. Poderwałam się i otworzyłam oczy. A potem zakryłam usta.

Bo znów widziałam.

Tym razem kobietę, która z trudem szła przed naszym samochodem. Otaczała ją poświata białego, krystalicznego światła, skrzącego się tak gęsto, że wyglądała jak skąpana w deszczu milionów mikroskopijnych brylancików. Była drobna i strasznie chuda. Sterczące łopatki aż się odznaczały pod bluzką. Na głowie miała luźno zawiązany kwiecisty szalik, który nie zdołał jednak zasłonić łysej czaszki. Usłyszałam jakiś szelest po prawej i zobaczyłam, że pochodzi do niej mama. Uśmiecha się i mówi coś, czego nie słyszałam. Aż mnie zatkało, gdy ją zobaczyłam pierwszy raz od siedmiu miesięcy.

Loki mamy, zwykle wyglądające jak u cherubina, były zaniedbane, niemal postrzępione. Twarz miała pomarszczoną, głębokie linie rozchodziły się wokół jej oczu i kącików ust, wszystkie skierowane w złą stronę. Wyglądała

na całkiem przegraną, od spuszczonej ramion po skrzywienie ust. W pewnym momencie zerknęła na mnie, a ja ze wstydem odwróciłam wzrok. Gdy znów spojrzałam, kobieta odeszła, unosząc ze sobą to niesamowicie jasne światło, a mama ruszyła do auta. Zanim doszła do drzwi, zniknęła już w moim martwym polu.

– Rozmawiałaś z kimś? – spytałam, gdy zapalała silnik.

Westchnęła jakoś tak, że w płucach zabrakło mi powietrza.

– Tak. Z Kelly Downs. To mama jednej z dziewczyn z mojej drużyny. Ma raka piersi. Pogorszyło jej się. Bardzo. I...

– I co? – Tylko dwa króciutkie dźwięki, a z trudem je wykrztusiłam.

– Umiera. Lekarze nic nie mogą już zrobić.

Przez moment świat się dla mnie zatrzymał i słyszałam wszystko, co się dzieje wokół: głośnie stukanie obcasów na chodniku, senny jazz dobiegający z przejeżdżającego obok samochodu, klekot niedokręconego kółka w sklepowym wózku prowadzonym przez parking. Ale najlepiej słyszałam jedno słowo z wypowiedzi mamy, przesuwające się w moim mózgu jak ostatni element układanki.

Umiera

umiera

umiera

Uświadomiłam coś sobie, a krew zmieniła mi się w lód. Cała się trzęsłam. To musi być prawda. Drżałam tak, że kolana mi się o siebie obijały. Oczywiście cały czas to wypierałam. Przy każdym spotkaniu z Benem. W knajpie chińskiej, gdy widziałam tego starca. Gdy miałam tamten sen. Wszystko na to wskazywało, ale ja tak się bałam, że odwracałam wzrok. Teraz już się nie dało. Nie mogłam uciec ani się schować. Z przerażającą pewnością wiedziałam, dlaczego widzę Bena Milтона.

Bo on umiera.

29

Wieczorem położyłam się do łóżka w ubraniu i modliłam się o sen, który nie nadchodził. Gdy się już pojawił, śniłam jakieś przypadkowe obrazy w jaskrawych barwach. Przelatywały mi przez umysł jak odłamki w kalejdoskopie, zbyt mocno pokruszone i dziwaczne, żeby je ułożyć w całość: wschód słońca w kolorze burgunda, jasnożółta róża, zmęczone brązowe oczy, gołąb ulatujący w błękitne niebo, jadeitowy piasek przesypujący się w klepsydrze.

Obudziłam się wcześniej, jeszcze przed wyjściem rodziców do pracy. Usiadłam na łóżku i zaczęłam się zastanawiać, jak pomóc Benowi. I jak w ogóle do niego dotrzeć.

Zadrżałam. Czyżby już było za późno? Może Miltonowie wyjechali, bo Ben um...

Zakryłam usta trzęsącą się ręką. Nie mogłam tak nawet pomyśleć. Nie Ben. Nie.

Zostałam w swoim pokoju jeszcze długo, a potem poszłam do kuchni i zabrałam się za jedyną rzecz, jaka miała dzisiaj sens: za lazanie. Nauczyłam się od mamy. Była lazaniową fanatyczką i nie zgadzała się na kupowanie mrożonej ani nawet gotowych półproduktów. Wszystko przyrządzała sama, od podstaw. Był to długi, wyczerpujący proces, wręcz rytuał. Odprawiając go, niemal cały dzień spędzało się nad garnkiem z sosem pomidorowym, czosnkiem i przyprawami. Z jakiegoś powodu zawsze dobrze mi się przy tym myślało, więc przeszłam przez opustoszały dom i zabrałam się za gotowanie.

Trwało to nawet dłużej niż zakładałam. Jak jeszcze widziałam, miałam

wszystko opanowane do perfekcji: miksowanie pomidorów, siekanie cebuli i czosnku, niespieszne dodawanie przypraw i tak dalej. Teraz zostały mi do dyspozycji palce, nos i słuch. Chociaż nasza kuchnia była do wyrzygania zorganizowana, każdy mój ruch musiał być powolny, wyważony i sprawdzony dwa razy. Czy zmniejszyłam gaz w odpowiednim palniku? Pomidor był zgniły czy tylko przejrzały? I gdzie, do cholery, jest oregano?

Po południu już wiedziałam, co zrobić. Muszę zadzwonić do Masona. Wiem, dotychczas nam się nie układało, ale on kochał swojego brata i był człowiekiem czynu, więc będzie wiedział, jak się zachować.

Wybrałam numer Clarissy i zaczęłam mówić, jak tylko się odezwała:

– Cześć, tu Maggie. Przepraszam, że przeszkadzam, ale to bardzo pilne. Myślisz, że mogłabyś poprosić tego swojego przyjaciela o numer Masona Milтона? Muszę się z nim skontaktować.

Pół godziny później już do niego dzwoniłam. Sygnał za sygnałem. Panika narastała. Bo niby co mu powiem? Już miałam się rozłączyć, kiedy nagle ktoś odebrał. Ale nie był to Mason, tylko pani Milton.

Drżącą ręką trzymałam komórkę przy uchu.

– Dzień dobry! Mówi Maggie! – Darłam się? Boże, wrzeszczałam! Odetchnęłam i powoli wypuściłam powietrze. Zaczęłam mówić dalej jak normalny człowiek. – Chciałam porozmawiać z Masonem. Myślałam, że to jego numer.

– Cześć, skarbie – sapnęła pani Milton. – Tak, to jego numer, ale aktualnie robię za sekretarkę, bo to jego kolej za kierownicą. – Nie udało mi się wymyślić, co mogłabym powiedzieć, więc kontynuowała: – Wracamy od mojej siostry, z Georgii. Jeździmy tam co roku na pierwszy tydzień lipca. Powinniśmy być w domu za godzinę.

Oparłam się o ścianę. Pojechali na wakacje. Nic więcej. Ben dobrze się czuje.

– Mogłaby pani poprosić Masona, żeby do mnie oddzwonił, jak dojedziecie? Pod ten numer.

– Oczywiście! – zaćwierkała.

– Aha, proszę pani?

- Tak?
- To bardzo ważna sprawa.

Godzinę później do kuchni wszedł dziadek, obijając się o wszystko, jak to zwykle on. Stałam z rękami zanurzonymi po łokcie w zlewie pełnym spienionej wody, a lazania dochodziła w piekarniku.

- Co tak pachnie? – spytał.
- Lazania – odparłam i zabrałam się za spłukiwanie ostatnich naczyń.
- Pheh – odparł i usłyszałam, że podchodzi do piekarnika. – Będziesz to jadła sama, dzieciaku?

– Nie. Wszyscy zjemy.

Zabulgotał.

- Ja tam nie lubię zapiekanek.
- Dziadku. To nie jest zapiekanka. To jest lazania.
- Mnie tam wygląda na zapiekankę.

Zdmuchnęłam z czoła kosmyk włosów, wyjęłam ze zlewu garnek i zaczęłam macać wokoło w poszukiwaniu ścierki.

- Mama i tata na pewno zjedzą.
- Nie zjedzą – zaprotestował dziadek. – Dzisiaj idą na bankiet, pamiętasz?
- No tak – odparłam, chociaż nie pamiętałam. A wręcz nie miałam o tym pojęcia. Siadaliśmy z dziadkiem do obiadu, a Mason nadal nie oddzwonił. Im dłużej czekałam, tym bardziej się denerwowałam i wątpiałam, czy w ogóle dobrze zrobiłam, odzywając się. Z nerwów wyschło mi w ustach, więc nalałam sobie mleka. Wsadziłam do kubka palec, żeby nie przelać. Niezbyt higieniczny patent, ale skuteczny.

Słyszałam, jak widelec dziadka dzwoni o talerz, gdy podejrzliwie dźgał swoją porcję.

- Nie widzę mięsa – orzekł.
- Mama zawsze robi wegetariańską lazanię.
- Mogłam sobie dokroić mortadeli – mruknął.

Już miałam odpowiedzieć, ale przeszkodził mi dzwonek mojego telefonu.

Przełknęłam, ale kawałek utknął mi w połowie przełyku. Dwa dzwonki. Trzy dzwonki.

Ani drgnęłam.

Dziadek odsunął krzesło i wstał. Kilka sekund później usłyszałam:

– Halo?

Nie wierzę, odebrał mój telefon!

– Taa – mruknął po chili. – Jest. Je obiad. Nie, nie, nie szkodzi. To tylko zapiekanka. – Potem wepchnął mi telefon do rąk.

Rzuciłam w jego kierunku mordercze spojrzenie i przyłożyłam telefon do ucha. Czułam się jak mały ptaszek ze złamanym skrzydełkiem, uwięziony w wielkiej stalowej klatce. Odetchnęłam głęboko i pisnęłam:

– Halo?

– Maggie? – Mason był oschły i zły, ale nic nie poradzę, że przy okazji cholernie seksowny.

Spociły mi się dłonie. Bardzo. Poderwałam się z krzesła i przeszłam do salonu.

– Cześć. Czy mógłbyś do mnie przyjść dziś wieczorem? Chciałabym ci powiedzieć coś ważnego.

Przez chwilę milczał, a kiedy już się odezwał, brzmiał złowrogo:

– Muszę podzucić Bena na trening. Potem mam próbę.

Szło lepiej, niż się spodziewałam. Odzywał się do mnie! Słowami!

– To może jak będziesz wracał z basenu? – Słyszałam w swoim głosie desperację. – Mógłbyś na chwilę zajrzeć?

Westchnął ostentacyjnie.

– Dobra. Niech ci będzie.

30

Zaparkował przed moim domem dokładnie trzydzieści pięć minut później. Otworzył drzwi i powiedział „cześć”. Sama nie wiem, czego się spodziewałam. Troski? Ciekawości? W każdym razie jego opryskliwy ton mnie zaskoczył.

Ciągle był na mnie wściekły, tyle wiedziałam na pewno. Czułam, że irytacja z niego bucha jak z lokomotywy. Poszedł za mną do salonu. Usiadł na kanapie, a ja stałam sztywno tyłem do niego, kilka kroków dalej, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Cisza miażdżyła mi bębunki w uszach. W końcu otworzyłam usta i zaczęłam mówić. Ponieważ nie wiedziałam, od czego zacząć, zaczęłam od początku.

– Nie byłam z tobą do końca szczerą – powiedziałam drżącym głosem. – Ale to już chyba wiesz. Prawda jest taka, że jestem niewidoma od kilku miesięcy. Straciłam wzrok po bakteryjnym zapaleniu opon mózgowych. – Zamilkłam. Weź się w garść! Odetchnęłam głęboko i mówiłam dalej: – Poznałam Bena, gdy się poślizgnęłam na płytkach i walnęłam się w głowę. Leżałam na podłodze z zamkniętymi oczami i usiłowałam dojść do siebie. Gdy je w końcu otworzyłam, nade mną stał Ben. – Mówiłam, a w głowie przywołałam jego szeroki uśmiech z tamtego dnia. Wciąż słyszałam deklaracje, że jestem jego dziewczyną. Bolało mnie serce. – Widziałam jego i odrobinę przestrzeni wokół, jakby stał w świetle żarówki. To był dla mnie szok, wstrząs, ale i niesamowite szczęście. Pierwszy raz od miesięcy czułam się normalnie. – Na chwilę zamilkłam, dając mu szansę, ale milczał. Siedział i serwował mi ciszę. – Najpierw pomyślałam, że mi odbiło. Walnąć się w

głowę i zacząć widzieć? – Odetchnęłam głośno i pokręciłam głową. – W życiu tak nie ma. Ale okazało się, że nie zwariowałam. – Odwróciłam się do niego. Cała się trzęsłam od słów, które zaraz będę musiała wypowiedzieć. Z kanapy nie dochodził żaden dźwięk. Żaden ruch. Żadne słowo. Nic. Tylko jego zapach. – Od tamtej pory widziałam jeszcze dwie osoby. Pierwszy był staruszek w chińskiej restauracji. Wyglądał... jakby coś z nim było nie tak, ale nie wiedziałam, jak to nazwać. Kiedy teraz o tym myślę, wychodzi na to, że był chory. A wczoraj zobaczyłam drugą osobę. Kobietę. Moja mama ją zna. Ona... – Zamilkłam gwałtownie. Nie umiałam dokończyć, użyć słowa „umiera”. Chciałam, żeby on wypowiedział je za mnie. Potrzebowałam tego. Żeby zdjął mi z ramion ten ciężar. Stałam tak w milczeniu, a zegar odmierzał kolejne sekundy. Trwało to dokładnie przez pięćdziesiąt dwie. Ja naprzeciwko niego, z tym jednym słowem na moich ustach, on siedzący na kanapie, w milczeniu.

Wiedziałam, że gdy dokończę, sytuacja stanie się desperacko, dramatycznie rzeczywista. To już nie będzie teoria istniejąca tylko w mojej głowie, ale realny wniosek. Będzie w tym coś ostatecznego. Nie wiedziałam, czy to zniosę. Łzy napłynęły mi do oczu, więc szybko zamrugałam, żeby zniknęły.

– Ta kobieta umierała – zakończyłam w końcu drżącym głosem. – A mężczyzna w restauracji? Podejrzewam, że on też jest umierający.

Mason nie był głupi. Wiedział, do czego zmierzam. Ale mimo to milczał i nie dawał znaku życia. Czym mnie rozwścieczył.

– Czy Ben był ostatnio u lekarza? – prawie krzyknęłam. – Ma jakieś objawy?

Mason nie odpowiedział, parsknął tylko z pogardą.

Gdzie jest, do cholery, chłopak z tamtego wieczoru w Strandzie? Uroiłam go sobie? Wymyśliłam? Ból i wściekłość wylały się ze mnie.

– Mason, czy ty nie rozumiesz? Ben może... Odezwij się chociaż!

Usłyszałam, że wstaje i idzie do drzwi.

– JAJA SOBIE ROBISZ? – wrzasnęłam i ruszyłam za nim. – Gdzie leziesz?

Cisza.

– Masz taki zwyczaj, że wychodzisz, jak sytuacja się robi niezręczna? –

krzyknęłam wściekle. – Tak sobie radzisz z życiem?

Nic. Żadnej odpowiedzi. Żadnego burknięcia. Słowa. Tylko odgłos gigantycznych butów na dywanie, gdy wychodził z mojego domu.

Poczułam, że tykająca we mnie bomba zegarowa zbliża się do wybuchu. Zaczęłam odpowiadać w jego imieniu, każde słowo nasączając odpowiednią dawką sarkazmu:

– Ależ tak, Maggie. Właśnie tak sobie radzę. Ponieważ jestem egoistycznym, skupionym na sobie ćwokiem, który przejmuję się tylko sobą.

Kroki nagle umilkły. Doszliśmy już prawie do drzwi. Mogłabym się założyć, że odwrócił się i miota w moją stronę pioruny. Czułam wokół siebie jego gniew, powietrze między nami przesycił wyładowaniami elektrycznymi. Olałam dzwonki alarmowe w głowie. Te, które podpowiadały mi, że lepiej się zamknąć. Przecież niedawno Mason złał jakiegoś dzieciaka, nie wiadomo, z jakiego powodu.

Miałam to gdzieś.

Kontynuowałam w tym samym szyderczym tonie:

– Wiesz co, przypominasz mi kogoś. Od tygodni podejrzewa mnie o wszystko, co najgorsze. – Dałam mu pół sekundy na reakcję, ale się nie doczekałam, więc mówiłam dalej. Byłam na fali. W głowie słyszałam melodię z *Rocky'ego*. – Może go znasz? Mieszka w Chester Beach. Śpiewa w Loose Cannons. Jak on się nazywa? – Postukałam się palcem w brodę, ostentacyjnie podkreślając, że się zastanawiam. – Ta moja pamięć do imion... Ale to było coś w stylu... Dupek.

Usłyszałam, że otwiera drzwi, a potem jego kroki dobiegały już z zewnątrz. Wtedy rozpętało się piekło. Wybiegłam na dwór, a całe tygodnie cierpienia i frustracji skumulowały się w tej jednej chwili. Wyciągnęłam rękę i złapałam go za ramię. Napięło się. Był gotowy do walki.

Powietrze między nami aż skwierczało.

Staliśmy za blisko siebie. Moje emocje szalały. Chciałam zalać się łzami, stłuc go na miazgę oraz rzucić mu się w ramiona. Wszystko jednocześnie.

Puściłam go.

– JAKI TY MASZ PROBLEM?! – ryknęłam. – Zabiłoby cię, gdybyś ze mną

porozmawiał? Posłuchał mnie? Zastanowił się nad tym, co mam do powiedzenia? Z jakiego powodu uważasz, że możesz innych ludzi traktować jak gówno? Bo śpiewasz w Loose Cannons? Naprawdę, ale tak na serio, uważasz, że zadałabym sobie trud udawania niewidomej tylko po to, żeby się znaleźć blisko ciebie?! Wydaje ci się, że jesteś jakimś chrzaniowym darem dla świata?!

Stał jakieś pół metra ode mnie. Za blisko. Czułam jego oddech. Gorący, urywany, wściekły. Ale nie cofnęłam się. Nie, zbliżyłam się nawet, żeby go do czegoś sprowokować.

Zaczął dzwonić telefon. Jakiś elektroniczny dźwięk, którego nie poznawałam. Na pewno Masona.

– Może byś tak odebrał? – wycodziłam.

Warknął, ale sekundę później usłyszałam, jak mówi:

– Cześć, mamoo... U Maggie. – Wypowiedział moje imię w taki sposób, jakby mówił o psiej kupie, w którą niechcący wdepnął. Zapadła cisza, bo słuchał. Potem znów ciężko westchnął. Znów się odezwał, teraz łagodniej. A wręcz ze smutkiem. – Gdzie? – spytał. – Dobrze. Oczywiście. Już jadę. – Zatrzasnął etui telefonu i zapadła cisza. – Muszę załatwić coś dla mamy – wydukał w końcu, ale bardziej do siebie niż do mnie. Słyszałam kroki na betonie, gdy się ode mnie oddalał.

Szłam za nim, wściekła i tak zdesperowana, że się nie pilnowałam i wpakowałam się prosto w dekoracyjny głaz, leżący na trawniku już jak się tu wprowadziliśmy. Zaklęłam pod nosem i potarłam piszczel. Usłyszałam, że go zatkało. Mogło to oznaczać, że się nad czymś zastanawia. Ale nie powiedział nic.

– Jadę z tobą – poinformowałam. – Jeszcze nie skończyłam tej rozmowy.

Nie odpowiedział, ale też mnie nie powstrzymał, gdy się wpakowałam do jego auta.

31

Siedziałam bez ruchu na fotelu pasażera. Ramiona ciasno skrzyżowałam na piersi. Cisza napierała na mnie ze wszystkich stron, ciężka i gęsta. Byłam tak strasznie wściekła, że prawie nie mogłam oddychać. Nigdy nie znałam tak trudnego człowieka jak Mason. Miałam na podorędziu zestaw osobowości, które potrafiłam dopasować do każdego, ale na niego nie działała żadna. Ani Wrażliwa Maggie. Ani Sarkastyczna. Ani Skromna. Nawet Zabawna Maggie nie pasowała. Brakowało mi już możliwości.

Miałam coraz mniej czasu. Chociaż nie, poprawka: Ben miał go coraz mniej. Życie z niego uciekało, a ja nie mogłam nic na to poradzić. Wskazującymi palcami uciskałam skronie, a potem oparłam się o zagłówek i głośno westchnęłam. Myśl! Tak bardzo się nie spodziewałam, że Mason się odezwie, że aż podskoczyłam, gdy przemówił:

– Mama dostała wiadomość, że przy Drugiej Alei ktoś potrącił bezpańskiego psa. Chce, żebym go przywiózł do kliniki.

Pokiwałam głową. Potem zaczęłam liczyć. Dziewiętnaście słów. Chyba więcej, niż kiedykolwiek do mnie powiedział. Uświadomiłam sobie, że mam otwarte ze zdziwienia usta, więc czym prędzej je zamknęłam. Później zabrałam się za analizowanie jego tonu. Jak zwykle wypowiedane przez niego słowa były aksamitne i rozkołysane, ale w przeciwieństwie do poprzednich sytuacji, kiedy go słyszałam, kotłowały się w nich emocje, nad którymi usiłował zapanować.

Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. Usiłowałam uporządkować myśli. Mason ewidentnie mi nie wierzył, więc musiałam spróbować inaczej.

Ale jak? Powiedziałam prawdę. On ją odrzucił. Nie mogłam zaoferować już nic więcej.

W końcu zatrzymał się w cichej ulicy, na zwirze. Wsiadł i odszedł, a ja siedziałam z zamkniętymi oczami i głową opartą o zagłówek. Nie wiedziałam, dokąd poszedł. Jego kroki oddalały się, aż całkiem ucichły. Wydawało mi się, że minęły całe godziny, gdy usłyszałam, jak pospiesznie wraca. Zaskoczył mnie całkiem, bo otworzył drzwi po mojej stronie. Otworzyłam oczy, gdy kładł mi na kolanach małego, drżącego psa..

Widziałam go.

To był jeden z tych miniaturowych piesków, które kobiety noszą w torebkach i ozdabiają kokardkami. Ten typ, który jazgotcze zamiast szczekać. Rozświetlił wnętrze samochodu jak żaróweczka. Widziałam go na swoich kolanach, a oprócz niego zwiniętą chusteczkę na tablicy rozdzielczej, niebieskie piórko do gitary z napisem Fender, a gdy Mason zapalał silnik, także jego opalone palce na kluczyku.

Nie wiedziałam, co zrobić z rękami.

– Wyzdrowieje? – wyszeptałam, gdy wyjeżdżał na drogę.

Westchnął.

– To suczka. Mam nadzieję, że tak. – Słyszałam w jego głosie coś dziwnego. Zastanawiałam się, czy zauważył, że kiedy położył mi pieska na kolanach, odzyskałam kawałek wzroku. A może widział coś dziwnego w mojej twarzy i zaczynał mi wierzyć? Nie miałam jak się dowiedzieć.

Suczka zmieniła pozycję. Przytrzymałam ją, żeby nie spadła i natrafiłam palcami na jej miękki pyszczek. Długie, poplątane futerko. Chude nóżki. Otarła się wilgotnym nosem o moją rękę, jakby mówiła: „Pociesz mnie”.

Przełknęłam ślinę i ostrożnie ją pogłaskałam. Bałam się sprawić jej ból. Wydawała się krucha, niczyja, niekochana. Znów przełknęłam ślinę, żeby jakoś przepchnąć w dół gardła wielką kluchę.

– Gdzie pracuje twoja mama? Blisko?

– W Chester Beach.

Droga wlokła się w nieskończoność. Nie widziałam krwi, złamań ani żadnych oczywistych urazów, ale wiedziałam, że są. Poznawałam to po

ciężkim oddechu pieska i zbyt wolnym biciu serca, które czułam na udzie.

W klinice weterynaryjnej pełno było ludzi i wesołych, zdrowych zwierząt, które nie powinny się tam w ogóle znaleźć. Mama Masona wyszła na przerwę, więc nie było jej, gdy stałam nieruchomo przy rejestracji, z pieskiem skulonym w ramionach. Mason cicho rozmawiał z ludźmi za biurkiem. Chyba wszystkich tu znał, a jego imię padało z różnych ust, ale zawsze przyjaźnie i z podziwem.

Pielęgniarka zaprowadziła nas do gabinetu, w którym pachniało środkiem do dezynfekcji. Lekarz badał pieska, a ja trzymałam się krawędzi stołu. Żołądek zwijał mi się w supły.

– Kolejny raz nam pomogłeś – odezwał się lekarz do Masona. Nie widziałam jego twarzy. Znajdowała się poza obłoczkem światła roztaczanego przez pieska. Słyszałam jednak jego miły, niski głos – osoby, która nie obnosi się z tym, że jest lekarzem. Miał duże, piegowate dłonie. Przebiegały po nich grube, wypukłe żyły. Na kciuku miał zadrapanie. Pewnie wypadek przy pracy.

Piesek na mnie spojrzał i patrzyłyśmy tak na siebie przez boleśnie długą chwilę. „Wszystko będzie dobrze”, wyszeptalam. Jej ogonek drgnął, jakby chciała pomerdać, ale nie miała siły.

Ucisk w gardle niemal mnie dusił, więc podeszłam do krzesła, usiadłam, przyciągnęłam nogi do piersi i położyłam policzek na kolanach. Zacisnęłam powieki. Pomyślałam, że jeśli zwinę się w dostatecznie mały kłębek, może przestanie boleć.

Sekundy przeciągały się w minuty. A minuty wlokły się jak godziny. Zastanawiałam się, czemu taki mały piesek chodzi po mieście bez opieki. I czy my jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy kiedykolwiek się nim przejęli. Myślałam, że życie jest okrutne.

Nie mogłam się z tym pogodzić.

Ale przecież musiałam.

Wreszcie lekarz westchnął. Poczułam, jak włoski na przedramionach stają mi dęba.

– Przykro mi – odezwał się tak cicho, że niemal szeptem. – Nie mogę jej pomóc.

Siedziałam w samochodzie Masona i znów skrzyżowałam ramiona na piersi, ale tym razem z innego powodu. Musiałam się trzymać, żeby nie rozpaść się na kawałki. Czułam, jakby ktoś mnie wywrócił na lewą stronę i rozsypał moje emocje po całym Connecticut.

W gabinecie lekarskim stałam jak wmurowana w ziemię, a piesek cicho umarł w moich ramionach. Jej gasnące światełko pogrążyło mnie w ciemności. Gdy oddawałam ją lekarzowi, ręce trzęsły mi się tak strasznie, jakbym ją zawiodła. A przecież to nieprawda. Nie mogłam nic dla niej zrobić. Poza tym nawet nie lubię psów.

– Możesz zawieźć mnie szybko do domu? – spytałam Masona łamiącym się głosem. Zamknęłam oczy i ucisnęłam powieki kciukami. Wściekałam się na siebie, że po raz kolejny się przed nim rozklejam.

– Jasne – odparł cicho.

Pokiwałam głową, żeby wyrazić wdzięczność, ale nic nie powiedziałam. Oddychaj, mówiłam sobie, ale łzy płynęły, na nic nie zważając. Zalewały mi policzki strumieniami. Wiedziałam, że Mason się martwi, zanim się jeszcze odezwał.

– Wszystko dobrze? – spytał i lekko, na ułamek sekundy, dotknął mojej ręki. Zaraz potem się wycofał.

Nic nie było dobrze w tak wielkim stopniu, że słowo „nie” wydawało się zbyt banalne i nieadekwatne, żeby je w ogóle wypowiadać. Zresztą teraz szlochałam na całego, więc to powinno wystarczyć za odpowiedź.

Żadne z nas się nie odezwało, kiedy dojechaliśmy. Siedzieliśmy przez chwilę w niezręcznej ciszy. Nie wiedziałam, co powiedzieć. „Cześć”, czy: „Proszę cię, uwierz mi”? A może: „Pomóż!”. Nic nie pasowało. Chyba pierwszy raz w życiu zabrakło mi słów. Szalały we mnie emocje. Jakbym była wulkanem.

W milczeniu otworzyłam drzwi, wysiadłam i powoli ruszyłam do domu.

Wspinałam się po schodach do mojego dawnego pokoju, a nogi mi ciążyły, jakby każda stopa ważyła tonę. Nie wiem dlaczego, ale to było jedyne miejsce, w którym chciałam się znaleźć tego wieczoru. Mimo że od miesiący nawet tu nie zaglądałam.

Drzwi otworzyły się z trudem, tak jakby ktoś je od środka przykleił do futryny słabą taśmą klejącą. Pokój westchnął. Stałam w milczeniu, z ręką na kłamce, balansując w progu, ale nie wchodząc do środka.

Pachniało jak w od dawna zamkniętym pomieszczeniu. Kurzem. Zwietrzałym dezodorantem, przepoconymi korkami i zapomnianymi marzeniami. A jednak dobrze znałam to miejsce. Stanowiło część mnie jak ręka albo nos.

Znałam ten pokój. Książki poupychane w każdym kącie. Świecące w ciemności gwiazdki na suficie. Kilka piłek upchniętych w szafie. Były tu też wspomnienia – wyraziste i kolorowe – które w tym miejscu mogły oddychać swobodnie. Czułam je. A nawet widziałam.

Przeszłam przez pokój i przycupnęłam w rogu łóżka, a potem przesunęłam dłońią po spranym niebiesko-zielonym kocu, który babcia wiele lat temu zrobiła dla mnie szydełkiem. Podarowała mi go na ósme urodziny, a ja się wtedy zastanawiałam, po co mi, skoro marzyłam o gameboy'u. Po jej śmierci doceniłam prezent.

Nie wiem, dlaczego po utracie wzroku przeniosłam się do kwadratowego, wygodnego pokoju na dole. Nie wiem też, dlaczego od tamtej pory nawet tu nie zajrzałam. Wiedziałam tylko, że dzisiaj nie mogę być gdzie indziej.

Zasnąłam pod kocem od babci i ukośnym sufitem wyklejonym fluorescencyjnymi gwiazdkami.

33

Nazajutrz czułam się spowolniona, zamglona, jakbym obudziła się w cudzym śnie. Jakiejś żalostnej dziewczyny, która straciła więcej, niż miała. I dalej będzie traciła. Nie byłam już niepokonaną Maggie Sanders, na pewno nie. Znajdowałam się w ciele tamtej drugiej laski, żałośnie wygrywającej na kołdrze mieszankę Chopina z Clarissą. A potem na biurku. A później pod prysznicem. I na blacie kuchennym.

Ta melodia nie dawała mi spokoju.

W końcu znalazłam przedłużacz i ruszyłam do piwnicy. Kiedy podłączyłam mój stary keyboard, leżący przy schodach dokładnie w miejscu, w którym go ostatnio zostawiłam, ożył z cichym pomrukiem. Uklękałam przed nim niepewnie, a potem się nachyliłam nad klawiaturą i odnalazłam środkowe C.

Nacisnęłam klawisz. Zabrział dźwięk zardzewiały, stary, od wieków uwięziony w tej klawiaturze.

Ale i tak mnie zszokowało, że udało mi się go wydobyć. Zostałam tak, zgarbiona, z kciukiem na klawiszu, aż pomieszczenie zdołało połknąć i wyciszyć pogłos. Później ułożyłam ręce jak należy.

Piwnica wstrzymała oddech.

Zamierzałam tylko wystukać tę prostą melodyjkę, żeby pozbyć się jej z głowy, ale moje palce miały inny pomysł. Rzuciły się do grania tego kawałka, jakby go znały od zawsze. Poruszały się szybko, płynnie, bezbłędnie.

Oderwałam dłonie od klawiszy i położyłam na kolanach. Dźwięki brzmiały dziwnie. Nie jak moja piosenka. A jednocześnie dokładnie jak ona. Stworzyłam miszmasz wszystkiego, co historycznie tłuło mi się po głowie

przez ostatnie tygodnie. Od czegoś takiego mój dawny nauczyciel dostałby krwotoku z uszu. Znów dotknęłam klawiszy i zagrałam jeszcze raz, a potem drugi, trzeci, dziesiąty, czasem dodając generowane przez instrument efekty, innym razem zostawiając melodię bez żadnych ozdobników. W jakiś niesamowity sposób brzmiało dobrze. Znów się nachyliłam i dodałam te basy, którymi się zachwycałam ostatnio w Big Dough. Wyszło strasznie topornie, więc męczyłam się z tym raz za razem.

– Nie wiedziałem, że umiesz grać.

Podskoczyłam jak oparzona i aż pisnęłam.

Mason.

Odwróciłam się zdecydowanie, tak jakbym mu chciała coś udowodnić. Bóg jeden wie, co. Może tyle, że się nie wycofuję. Że powiedziałam prawdę.

– Od dawna nie grałam. – Wstydziałam się, że mnie usłyszał, ale nie zamierzałam dać mu tej satysfakcji.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówiło. W końcu podniosłam głowę i spytałam:

– Jak tu wszedłeś?

Słyszałam, że kopie w ścianę. Kop kop kop kop. Kop-kop-kop-kop-kop.

– Drzwi były otwarte. Usłyszałem, że grasz. – Odchrząknął i dodał: – Moglibyśmy pogadać o twoim wzroku?

Mason sprawdził kilka rzeczy. Wiedział, że szkoła Merchanta na pewno nie przyjęłaby osoby z nieuszkodzonym wzrokiem, więc zadzwonił do nich i potwierdził, że jestem ich uczennicą. Trawił tę informację przez kilka godzin, dopiero potem przyszedł, w dalszym ciągu skołowany, niepewny, jakby trzymał w dłoni żarówkę, ale nie wiedział, gdzie ją wkręcić.

– Musisz przyznać – oznajmił – że rozumiesz, dlaczego tak trudno mi było to uwierzyć. Walnęłaś się w głowę i nagle zaczęłaś widzieć ludzi, którzy... – Przełknął głośno ślinę i zmienił pozycję, a przy okazji przysunął do mnie nogę; czułam emanujące z niej ciepło. Od godziny siedzieliśmy na schodkach tylnej werandy. Zadał mi przez ten czas pewnie ze sto pytań na temat mojej ślepoty,

tego, co widzę, gdy jestem z Benem oraz innych ludzi, których zobaczyłam.

Nasze stosunki diametralnie się zmieniły. Co sprawiło, że mi uwierzył? Zobaczył moją minę, kiedy położył mi na kolanach pieska? Przekonała go moja rozpacz, potem, w jego aucie? A może po prostu potrzebował trochę czasu, by się z tym wszystkim oswoić? W każdym razie wielka góra wyrastająca między nami odrobinę się przesunęła i wreszcie mogłam się precyzyjnie przycisnąć na jego stronę.

– Przyznaję.

Przysuwał do mnie nogę? Tak mi się wydawało. Z jakiegoś tajnego miejsca w moim ciele wyruszył miniaturowy wóz strażacki i gnał na sygnale pragnąc ugasić pożar szalejący w tym miejscu.

– Może widzisz akurat tych ludzi z innego powodu – podsunął. – Może się na to składać milion rzeczy.

Pokiwałam głową, dając mu znak, że słucham, ale nie zgadzam się z nim. Nie miałam wątpliwości. Czułam, że mam rację. Prawda jawiła mi się jak lodowata dłoń przyciśnięta do karku.

– Mówiłaś o tym komuś oprócz mnie?

– Internetowemu lekarzowi. Ale nie poszło najlepiej. Sugerował, że oszalałam.

Wydał współczujący dźwięk i teraz już oficjalnie oparł o mnie nogę. Moje serce wypadło z rytmu.

Nie ruszał się.

Ja też nie.

W takim delikatnym, przelotnym dotyku jest coś, co sprawia, że człowiek od razu chce więcej.

Musiałam się opanować. Mason ma dziewczynę. I pewnie nawet nie zauważył tego dotyku.

Ale mimo wszystko... Moja noga rozgrzewała się do poziomu nuklearnego. Czułam, że zaraz wybuchnę i zasypię swoimi szczątkami cały ogródek. Usiadłam trochę inaczej, oparłam się o poręcz werandy i odetchnęłam, trochę z ulgą, a trochę z żalem.

Westchnął.

Westchnął!

Co to miało niby znaczyć?

W końcu spytał:

– Nie powiesz nikomu więcej?

– Niby komu? Rodzicom? – zachnęłam się. – Nie uwierzą mi. Ale może twojej mamie?

Usłyszałam, że niepewnie odetchnął.

– Powinniśmy poczekać, aż będziemy wiedzieli na pewno. Po stracie taty było jej bardzo ciężko. Jeśli twoja teoria się nie potwierdzi, narazimy ją na kolejny koszmar zupełnie bez powodu.

Pewnie miał rację. Gdybym miała dowód, coś przekonującego, moja historia nie wydawałaby się taka niewiarygodna.

– A Ben? – spytałam. – Powiesz mu?

– On ma dziesięć lat! – Pokiwałam głową, ulżyło mi. Po krótkim milczeniu dodał: – Nie wierzę w to tak do końca, bo kilka miesięcy temu miał rutynowe badania i wszystko było dobrze. Jest zdrowy, a od tamtej pory nie miał nawet kataru. Ostatnio jest trochę zrzedliwy, ale to tyle.

Uniosłam brew:

– Tak myślisz?

– On ci wybaczy – zapewnił, a w jego głosie słyszałam półuśmiech. – Trzymanie w sobie złości nie leży w jego naturze.

34

Następnego dnia rano powiedziałam rodzicom, że mnie boli brzuch. Tak do końca nie było to kłamstwo. Rozterki i nerwy zbiły się w moim żołądku w twardą kulę, której nijak nie mogłam strawić. Poza tym to był jedyny sposób uniknięcia sesji z Hildą, która miała przyjść w południe.

Oni poszli do pracy, a ja trochę cierpiałam, trochę płakałam, trochę się snułam po domu. Potem zadzwoniłam do Sophie. Cały czas miałam ją w głowie, ale tyle się działo, że odkładałam telefon do niej.

– Cześć. Jak się trzymasz? – spytałam, gdy odebrała.

Milczała przez chwilę. W końcu odparła:

– Wszystkie moje rzeczy lądują właśnie w samochodzie do przeprowadzek, rano wymiotowałam pięć razy i mam straszną ochotę na kalmary.

Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy ją pocieszać.

Znów zapadła ciężka i rozległa cisza. Czułam, jak zgniata połączenie między nami.

– Czyli naprawdę się wyprowadzasz? – szepnęłam.

– No tak.

Ścisnęło mnie w gardle, jakby ktoś mi przywalił pięścią w tchawicę.

– Kiedy?

– Jutro.

Usiadłam na samym skraju łóżka i objęłam się ramionami. Wściekałam się, że jest w ciąży. Że jej rodzice się rozstali. I wyjeżdża do Ohio. A najbardziej, że ją skrzywdziłam.

– Przepraszam cię – wypaliłam nagle. Zrobiłam to w pośpiechu, za głośno i

w ogóle źle, ale i tak kontynuowałam. Musiałam chociaż spróbować wszystko naprawić. Po wielu latach przyjaźni byłam jej winna przynajmniej tyle. – Przepraszam, że cię unikałam, wtedy jak straciłam wzrok. Było mi po prostu... strasznie dziwnie. – Wykręciłam ręce, a palcami u stóp przytrzymałam japonki, jakbym za chwilę miała ruszyć biegiem, chcąc uniknąć tej rozmowy.

Sophie odczekała, aż odezwała się łagodnie:

– To nie tylko twoja wina, moja też. Byłam zajęta swoimi bitwami. Unikałam w zasadzie wszystkich, żeby utrzymać ludzi z dala od mojego domu. Nie chciałam, żeby wiedzieli, co się dzieje. Wstydziałam się tego.

– A może ta rozłąka dobrze wszystkim zrobi i za jakiś czas twoi rodzice do siebie wrócą? – spytałam, chociaż wiedziałam, że tak nie będzie. Ich rodzina była jak bomba zegarowa, która wybuchła, gdy Sophie poinformowała ich o ciąży.

– Jasne – mruknęła. – A tata robi dziecku bucki szydełkiem.

Dziecku.

Rany.

Dopiero w tej chwili to naprawdę do mnie dotarło. Sophie naprawdę będzie miała dziecko. Ja zawsze podchodziłam do dzieci trochę podejrzliwie. Miały wielkie głowy, nie dawało się ich uciszyć i poruszały się jak roboty. A raz widziałam, jak dziecko jednocześnie się śmiało i wymiotowało. Wspominam to jak scenę z horroru. Ale jeśli komuś miało się udać to wszystko ogarnąć, tym kimś była Sophie. Po prostu sama jeszcze o tym nie wiedziała.

Odchrząknęła.

– Maggie?

– Tak?

– Muszę iść.

Chodziło o to, że jest zajęta, musi dokończyć pakowanie i takie tam, ale dla mnie zabrzmiało to jak ostateczne pożegnanie. Dziesięć lat przyjaźni, wspólnego śmiechu i bliskości wyslizgiwało mi się z palców i ulatywało w niebyt.

– To pa, Soph – szepnęłam.

Tego samego popołudnia siedziałam na tylnej werandzie, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Ani drgnęłam, dalej tkwiłam z zamkniętymi oczami na krawędzi fotela. Ścisnęłam głowę w rękach.

Ale gdy dzwonek zaczął dzwonić bez przerwy, wstałam i otworzyłam oczy. I zamarłam. Znajdowałam się w niewielkim i ciemnym, ale jednak, kręgu światła. Powoli przyjrzałam się drewnianej podłodze werandy, a z każdą chwilą wzrok mi się poprawiał. Podeszłam do przesuwanych drzwi i położyłam rękę na szkle.

Widziałam mój dom.

Wyglądał jak zawsze, ale... inaczej. Meble zostały ustawione w liniach prostych. Zniknęły wazony mamy, stojące na półkach tuż przy drzwiach i na ich miejscu pojawiły się książki. *Niezależność mimo utraty wzroku*, *Przystosowanie do braku wzroku* i *Jak się uporać ze stratą*. Na podłodze nie leżały buty, dom wyglądał na niezamieszkały, nie był przytulny. Przypominał raczej zdjęcie z katalogu. Idealny dom.

Dom niewidomej dziewczyny.

Skrzywiłam się, gdy dzwonek znów się rozległ.

Przesunęłam drzwi i weszłam do środka. Z jakiegoś powodu czułam się winna. Wydawało mi się, że jestem jak włamywacz albo niechciany gość. W oszołomieniu przeszłam przez dom, ale zatrzymałam się w korytarzu przed dużym zdjęciem z zeszłorocznych rozgrywek regionalnych. Jedną ręką trzymałam piłkę, a drugą, splecioną z ręką mamy, uniosłam nad głowę. Promieniałam.

Jej mina wyrażała triumf.

Nagle zaczęło mi się wydawać, że ściany przedpokoju napierają na mnie, więc ruszyłam do drzwi. Wszystko wokół było szpitalnie białe, a wnętrzości mi się burzyły i skręcały. Otworzyłam.

Ben.

Na progu stał Ben.

Groźnie się skrzywił, a na głowie miał niebieską czapkę z daszkiem i napisem: „Uwaga! Myśle!” U jego stóp stała bawełniana torba na zakupy. Wynurzyłam się z domu jak zwierzę żyjące w mroku. Spomiędzy zmrużonych

powiek patrzyłam na Bena, na poduszki w czerwone kwiaty leżące na huśtawce, na stary klon w ogródku, na samochód Masona na podjeździe, a potem znów na Bena.

Kulą przysunął torbę w moją stronę. Wylądowała na mojej pizczeli.

– Nowy smak doritosów – oznajmił oziębło. – Pomyślałem, że miałabyś ochotę spróbować.

– Dzięki. – Nie mogłam się otrząsnąć z szoku.

– Czemu chodzisz w pizamie? – spytał. – Jest piętnasta.

Zerknęłam na Masona, którego biały, zjawiskowy uśmiech promieniał z siedzenia kierowcy. Ostatnio widziałam go tyle razy w swojej głowie, że strasznie dziwnie było go zobaczyć tak naprawdę. Nie, nawet nie dziwnie: to mnie przyłoczyło. Odwróciłam wzrok, ale czułam, że on i tak na mnie patrzy. Na moją twarz, ramiona, pizamę, na całą mnie.

Odetchnęłam głęboko. Skup się, Maggie, skup się! Spojrzałam na Bena.

– W sumie nie wiem – odpowiedziałam szczerze.

Przez chwilę tylko na siebie patrzyliśmy, a potem Ben poinformował beznamiętnie:

– Mason mi powiedział, że mu powiedziałaś, że widzisz, kiedy jestem obok. Automatycznie pokiwałam głową.

Odchylił głowę i dramatycznie westchnął.

– No już dobrze, powiem! Mason powiedział, że powinienem do ciebie przyjść i cię wysłuchać. Więc przyszedłem i słucham.

Dał mi drugą szansę i tym razem zrobię to jak należy, myślałam. Całkiem szczerze. Z wzrokiem wbitym w podłogę zaczęłam mówić:

– Miałaś rację. W pewnym sensie wykorzystywałam cię, żeby wiedzieć. Kiedy cię spotkałam, moje życie było... ja byłam... – Mówiłam szybko i głośno, więc nakazałam sobie wziąć głęboki oddech. – Zupełnie nie wiedziałam, co robić. – Podniosłam wzrok na Bena, bo przełknęłam ślinę tak głośno, że aż się zawstydziałam. Usta miał wciąż zaciśnięte, ale oczy mu łagodniały i zachęcały do kontynuacji. – Ale ciebie zawsze uważałam za przyjaciela. To ty pomogłeś mi zrozumieć, że gdzieś tam w środku wciąż jestem sobą. Wiem, okazałam się marną przyjaciółką i bardzo cię za to

przepraszam. Nie powinnam była wychodzić na koncert Dead Eddies bez pożegnania. – Odchrząknęłam. – A jeśli chodzi o Masona... – Nie zdążyłam się powstrzymać i odruchowo na niego spojrzałam. Wciąż się we mnie wpatrywał. Gorąco, które czułam w piersi, przesunęło się na moją twarz.

– Ja nie... – zaczęłam, ale przerwałam. Boże, co za upokorzenie. Moje policzki musiały być już chyba purpurowe. Dosłownie mnie bolały od tego ognia. Odmówiłam krótką modlitwę, ale tak, żeby Mason nie odczytał jej z ruchu warg, i wyszeptałam:

– Przysięgam ci. Nie wiedziałam, że Mason jest twoim bratem. Dopiero ty mi powiedziałaś. I nie spotykałam się z tobą, by być bliżej niego. – Objęłam się ramionami, przestąpiłam z nogi na nogę i mówiłam dalej: – Ale stopniowo zaczęło się okazywać, że... Że coś do niego czuję. – Ben zmarszczył brwi, ale nie wiedziałam, czy analizuje moje wyznanie, czy zamierza mnie udusić za zabijanie się w bracie. Znów wbiłam wzrok w swoje stopy. – Ale nie za jego talent. Raczej... – Zabrakło mi tchu. Czy naprawdę musiałam to robić na oczach Masona? – Walczy o to, w co wierzy. Bez namysłu broni tych, których kocha. Nie zgadza się na robienie czegoś na odwal się, na nieszczerłość. Jakoś to do mnie przemówiło. Ale on o tym nie wie, a jeśli mu powiesz, to umrę. Przysięgam ci, że umrę.

Nie mogłam patrzeć na Bena, nie mogłam patrzeć na Masona. Przez kilka żalonych sekund słyszałam tylko świergot ptaków i samochód sąsiada. Potem rozległ się głos Bena:

– Dobra.

Spojrzałam mu w oczy.

– Co dobra?

– Dobra. Na wszystko. – Mówił takim tonem, jakby miał do czynienia z kompletnym głupkiem, ale kąciaki jego ust zaczęły się już podnosić. – Ale lepiej, żebym tego nie pożałował, Thera.

Thera.

W sercu coś mnie mocno, instynktownie szarpnęło. Nie wiem, co zrobiłam, żeby na niego zasłużyć.

– Nie pożałujesz.

Jakieś pół godziny po wyjściu Bena do domu wpadła mama. Zastała mnie w salonie, gdzie usiłowałam się odprężyć za pomocą doritosów od Bena oraz filmu. Położyła mi rękę na czole i spytała:

– Lepiej się czujesz? – Chciałam się wtulić w jej dłoń i zostać tak na zawsze, ale sekundę później ręki już nie było, a moje czoło pozostało zimne.

– Może trochę. – To prawda. Przebaczenie Bena rozluźniło supeł, które miałam w gardle. Trochę.

Opadła na kanapę obok mnie, a torbę ze sprzętem trenerskim rzuciła, z tego co słyszałam, na podłogę. Potem odchrząknęła.

– *Titanic*, co?

– No.

– Uwielbiam ten film – przyznała cicho.

Wiem.

Później między nami rozprzestrzeniła się cisza.

Kilka miesięcy temu z zachwytem zwinęłabym się w kłębek obok niej i obejrzałybyśmy film. Ale teraz jej obecność wydawała mi się groźna, dusząca. Jakby wysysała z domu cały tlen. Nic do mnie nie mówiła, ale też nie poszła sobie, więc w końcu wzięłam chipsy i wstałam. Zrobiłam krok i ogłosiłam:

– Do obiadu posiedzę nad prezentacją,. Prawie skończyłyśmy z Clarissą, ale... – Urwałam, kiedy zawadziłam stopą o torbę.

W pokoju rozległ się boleśnie znajomy odgłos.

Dźwięk piłki do nogi toczącej się po podłodze, uderzającej w ścianę i wracającej do mnie. Usłyszałam gwałtowny zgrzyt sprężyn w kanapie, kiedy mama się podrywała. Piłka zatrzymała się gdzieś między nami.

Stałam jak wryta.

– Przepraszam. – Chociaż nie wiedziałam, za co. Bo za co mogłam przeproszać?

Pewnie za wszystko. Za wykopanie piłki z jej torby. Zrujnowane marzenia. Rozwalenie naszej relacji. Przypomniałam sobie zdjęcie, które dzisiaj widziałam. Pomyślałam o wszystkim, co miałyśmy i co straciłyśmy.

Sprowadzało się to do tego przedmiotu między nami.

Do piłki.

– Nie szkodzi – powiedziała mama cicho. – Nie powinnam jej zostawiać w takim miejscu. Po prostu od razu zobaczyłam *Titanika* i się rozkojarzyłam. – W jej głosie słyszałam nieznany mi wcześniej ból.

– W porządku – oznajmiłam i zanim zdołała odpowiedzieć, poszłam szybko do siebie.

35

Siedzieliśmy z Masonem na metalowych trybunach przy basenie klubu North Bay Aquatic. Kilka poprzednich wieczorów spędziliśmy także w tym miejscu, obserwując trening Bena. To był nasz czas na analizy, rozmowy i wyluzowanie się. Bardzo szybko te wieczory weszły do mojego stałego grafiku. Rano: poszukiwanie śmiertelnych chorób niedających objawów, po południu spotkania z Benem i udawanie, że nic się nie dzieje, wieczorem wycieczka na trening i spotkanie z Masonem, niebudzące podejrzeń Bena.

Rano Mason zabrał Bena do lekarza, co okazało się stratą czasu. Według doktora był okazem zdrowia.

Tyle tylko, że nie był.

Westchnęłam i rozejrzałam się. Cały basen jarzył się niemal białym światłem. Mój wzrok sięgał aż do okna na odległym krańcu, a nawet dalej, do niewielkiego pagórka wśród krzaków, dopiero potem się rozmywał.

Ale cokolwiek zabijało Bena, pozostawało szare i nieuchwytnie, kryło się w cieniu, tuż poza zasięgiem.

Mason wyglądał na trybunach dziwnie nie na miejscu. Oczywiście ubrany był jak zwykle na czarno, nic ostentacyjnego, ale jego obecność wydawała się przerastać jego ciało. I budynek. Tak jak światło Bena, które wylewało się aż na trawnik.

Oprócz nas było jeszcze kilka osób, głównie matek, przeglądających gazety, obserwujących pływaków albo wciskających przyciski w telefonie. Na samym dole siedziała Samantha, przemądrzała dziewczynka, którą poznałam kilka tygodni temu, gdy przyjechałam tu po raz pierwszy. Co jakiś czas zerkała na

mnie z wściekłością i miotała pod nosem przekleństwa. Okazało się niedawno, że to siostra Teddy'ego, ale nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia, ot, po prostu informacja jak każda inna. Widziałam, że zabujała się w Benie. Patrzyła na niego rozmarzonym wzrokiem.

Nasze kontakty układały się doskonale. Dopiero co wpadłyśmy na siebie w toalecie. Stałam przy umywalce i już miałam myć ręce, kiedy wkroczyła. Na mój widok zmarszczyła groźnie brwi, co zignorowałam. Podeszła więc, dźgnęła mnie palcem w rękę i oznajmiła:

– Nie lubię cię!

Parsknęłam. Nie wiedziała, z kim zadziera! Od siedemnastu lat szkoliłam się w szlachetnej sztuce bezczelności. Byłam już niemal zawodowcem.

– Jesteś takim miłym dzieckiem – rzuciłam przy mydleniu rąk, a potem płukaniu. – Aż dziw, że mama nie porzuciła cię na stacji benzynowej.

Olała mój komentarz i podrapała się bezwstydnie. Uchodzi to tylko dzieciom i starcom. Potem powtórzyła:

– Nie lubię cię.

– Tak, słyszałam już za pierwszym razem. – Otrząsnęłam rękę, przy okazji opryskując ją wodą.

Zmrużyła oczy. Ten mały pyskacz miał tyle piegów, że właściwie zlewały się w jeden wielki pieg. Oparła rękę na biodrze i spytała oskarżycielsko:

– Skoro jesteś ślepa, jak możesz patrzeć mi teraz w oczy?

Wzruszyłam ramionami i postukałam się palcem w skroń.

– To chyba moc podświadomości.

– Kłamiesz! – wymamrotała pod nosem.

– Nieładnie tak mówić do przyjaciółki przyjaciela swojego brata – pouczyłam ją radośnie. A później się uśmiechnęłam. Szeroko. Nie zamierzałam nadstawiać drugiego policzka, wyciągać ręki na zgodę albo udowodniać, że jestem starsza i mądrzejsza. Po prostu chciałam ją wkurzyć. I udało się.

Skrzyżowała ramiona, wtykając pięści pod pachy, i wysyczała:

– Idź się chrzań.

Nieźle! Mała mi zaimponowała.

– Idź się pobawić na skrzyżowaniu – odpowiedziałam.

Na to wszystko usłyszałam z wnętrza kabiny znaczące chrząknięcie jakiejś kobiety. Czas iść. Wyprostowana, z zadartą brodą opuściłam toaletę. Teraz Samantha siedziała na samym dole, z wściekłością kiwała nogą założoną na nogę i łypała na mnie kątem oka; chciała pokazać, że ma mnie na oku, co spływało po mnie jak woda po kacze. Trzy dziewczyny, mniej więcej w moim wieku, tak śliczne, że aż mdliło, stały w rogu i bezwstydnie gapiły się na Masona. Nie wiem, czy rozpoznały w nim wokalistę Loose Cannons, czy po prostu im się podobał. Najwyższa sprawiała wrażenie żywcem wyjętej z jakiejś gazety: szczupła, jasnowłosa i piękna. Pozostałym też niczego nie brakowało. Miały gładkie włosy, gładką skórę i gładko się uśmiechały.

Mason był chyba przyzwyczajony, że śliczne dziewczyny na niego patrzą, bo nawet nie spojrział w ich stronę, gdy wskazywał na trenera Bena, a potem przeczesywał włosy, które zrobiły się jeszcze cudowniej rozczochrane.

– Trener zadzwonił dzisiaj rano do mamy i powiedział, że Ben pływa coraz wolniej. Zastanawiał się, czy nie ma jakichś kłopotów w domu. – Potem przeniósł wzrok na Bena, dokazującego w wodzie z Teddym, a w końcu na mnie. – Myślisz, że to coś znaczy?

– Myślę, że wszystko coś znaczy – jęknęłam i ucisnęłam palcami czoło. – Zabierz Bena do innego lekarza, skonsultuj to. Wolniejszy czas nie jest żadnym objawem, ale jednak o czymś świadczy.

Pokręcił głową.

– Drugi lekarz powie mi to samo: że Ben jest całkiem zdrowy.

Machnęłam ręką.

– To zabierz go do szpitala.

– Z jakiego powodu? Choroby, która nie daje żadnego objawu? Pomyślą, że zwariowałam. Odeślą nas.

– To pojedę z wami i wszystko opowiem.

– I wsadzą cię w kaftan bezpieczeństwa.

Zmrużyłam oczy i jęknęłam. Pewnie miał rację. Co by to dało, gdyby mnie zamknęli w psychiatryku? Miałam uczucie, że jeśli teraz zniknę, zostawię Bena na pastwę śmierci.

Nagle Mason się skulił i wyszeptał:

– Kurde, idzie.

Podniosłam głowę. Jedna z dziewczyn, ta idealna, weszła na trybuny i zmierzała w naszą stronę. Szła takim krokiem, jakby informowała: „Mam między pośladkami chipsa i nie chciałabym go pokruszyć”.

– Cześć, Mason – wygłosiła bez tchu, machając rękami tak długimi, że zrywał się wiatr. – Mam na imię Lacey. Jestem twoją fanką! – Rozejrzała się, jakby Mason coś ukrywał. – Będziesz miał tu koncert?

Przekrzywił głowę, jakby się zastanawiał nad jej słowami.

– Tutaj? W sumie niezły pomysł. Ale nie. W każdym razie nie dzisiaj. Dałem głosowi odpocząć przed koncertem w przyszłym tygodniu. – Muszę przyznać, że umiał zachować zimną krew, mimo jej porażającej urody.

– Jaaaa! A powiesz mi, gdzie on będzie? – spytała Lacey. Nawet to, w jaki sposób stała, śmierdziało flirtem.

– Nie – odparł. – Musisz zgadywać, jak wszyscy.

Dziecinnie wydeła dolną wargę.

– No to w takim razie... Dasz mi autograf?

– Jasne. Masz długopis?

Wygrzebała z tandetnej, wysadzonej świecidełkami torebki markera i podała mu. Potem pochyliła się nieznośnie blisko i wystawiła wierzch dłoni do popisu. Chętnie bym powiedziała, że nie wzbudziło to we mnie zazdrości, ale wzbudziło. Dudniłam palcami o ławkę.

– Dzięki – wykrzyknęła i cała w chichotach wróciła do przyjaciółek, podskakujących jak dwunastolatki.

Kilka minut dochodziłam do siebie, a kiedy Lacey Chipsozadkówna i jej przyjaciółki wyszły, Mason westchnął i stwierdził:

– Czasem się zastanawiam, czy nie lepiej byłoby mieć normalne koncerty i zwyczajnych fanów.

– Dlaczego?

– W sumie nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Ale boję się, że ludzie się za bardzo nakręcają na te koncerty i robią z nich wydarzenia, jakimi nie są.

Pokręciłam głową.

– Nie doceniasz się. Poszłam na jeden koncert i uważam, że to coś absolutnie niesamowitego.

Zamrugął i zagryzł dolną wargę. Mój komplement zrobił na nim wrażenie, choć nie miałam pojęcia, dlaczego. Przecież słyszał to pewnie cały czas. Dlaczego w moich ustach miałoby zabrzmieć inaczej?

Kiedy tak zagryzał wargę, cierpiałam katusze.

– Dzięki – wydusił w końcu. – A który to był koncert?

– W Alexander Park.

Patrzył na mnie natarczywie i bez mrugnięcia.

– Nie widziałem cię.

Przełknęłam ślinę głośno, aż zadudniło. Ja to wiedziałam, jak zrobić na chłopaku wrażenie!

– Stałam z tyłu.

Podrapał się po karku i spojrzał na noski swoich butów.

– Wpadłaś na nas przypadkiem, czy...?

– Ach – westchnęłam, grając na zwłokę. Nie chciałam wpakować Jase'a w kłopoty, ale nie chciałam też kłamać. Zdradziłam więc tylko część historii. – Jakiś koleś zamieścił pod jednym z waszych filmików komentarz, że wskazówka jest w wokaliście. Tak się domyśliłam.

Mason westchnął głęboko.

– Cannon Dude? – spytał, a ja kiwnęłam głową. – Jezu, ten gość to totalny...

– Złamas – dokończyłam.

Zaśmiał się.

– Dobrze powiedziane. – Lekko się ukloniłam. – Ale serio, uważasz tę wskazówkę za łatwą do rozgryzienia?

– No, co ty? Jest cholernie trudna!

– Gavin to wymyślił – wyjaśnił Mason i przesunął palcem po krawędzi metalowego siedziska. – Ma świra na punkcie puzzli, zagadek i takich tam. Carlos od początku się z nim o to wyklóca, inna sprawa, że Carlos wyklóca się o wszystko. – Spojrzałam na niego pytająco, więc podniósł rękę i zaczął wylizywać na palcach: – Ma za mało solówek. Nasze nowe piosenki są do dupy. Nie chce mieć prób w poniedziałki, czwartki, piątki i weekendy. A

wskazówka wymyślona przez Gavina jest „żałosna i infantylna”.

Zamrugałam.

– Nieźle...

– No tak. – Znów westchnął. Zerknął na Bena, a potem z powrotem na swoje buty. – Nieważne, to tylko sprawy zespołu.

Pokiwałam głową i przez jakąś minutę milczałam, a potem zadałam pytanie, które dręczyło mnie od kilku dni:

– Myślisz, że choroba Bena może być dziedziczna? Chodzi mi o to, że twój tata...

– Tata umarł z jakiegoś dziwnego powodu – wyjaśnił Mason. – Dostał kataru, którego nie mógł się pozbyć, w końcu wdało się zakażenie krwi. Trafił do szpitala, a po tygodniu umarł. To nie może mieć żadnego związku z Benem. Zresztą popatrz na niego. – Ben siedział na krawędzi basenu i majtał beztrosko nogami w wodzie. Wyglądał na zdrowego. Odprężonego. – Czy on wygląda na chorego?

Mason wciąż się łudził, że popełniamy podstawowy błąd, że istnieje inny powód, dla którego widzę w otoczeniu tych, a nie innych ludzi. Nie miał racji, upierałam się. Wykręcało mi od tego wnętrzości i aż mdliło.

Ben umierał. A ja byłam jedynym objawem.

Dzieci traktują każde słowo padające z ust dorosłego jak ewangelię. Wszystkie te bzdury o świętym Mikołaju i zajączku wielkanocnym. I bocianie przynoszącym dzieci. Trochę później zaczynają się gadki pełne stereotypów w stylu: „Słuchaj mnie, wiem, o czym mówię”. Ale później, w okolicach okresu dojrzewania, zauważasz głupoty gadane przez dorosłych i nagle dociera do ciebie, że połowa populacji plecie bez sensu! I przestajesz na nich zwracać uwagę.

Wiedziałam, co jest dla mnie dobre. Byłam ekspertką od Maggie, ponieważ Maggie to ja. Dlatego od razu się zachnęłam, kiedy tata zajrzał do mojego pokoju na górze i z niedowierzaniem zapytał:

– A co ty tu robisz?

Nie mogłam mu odpowiedzieć, bo trzymałam w zębach plik prac plastycznych ze szkoły podstawowej. Przysunęłam sobie pudło, wrzuciłam do niego rysunki i dopiero wyjaśniłam:

– Wprowadzam się z powrotem, więc sprzątam stare rzeczy.

Po powrocie z basenu dotknęłam palcami każdej zakurzonej przestrzeni w dawnym pokoju. Pełno tu było przejawów mojej aktywności z poprzednich lat: korki umazane w błocie, dwie deski snowboardowe, łyżwy, stosy rysunków z zajęć plastycznych, kostium pszczołki ze szkolnego przedstawienia, a także książki i jeszcze trochę książek.

Czułam, jak niepokój taty rośnie. W końcu zaczął przypominać iskrzący kabel pod napięciem.

– Dlaczego?

Ten klockowaty pokój na dole mnie miazdzy. Tutaj mogę oddychać. Zostawiłam tu za dużo siebie.

– Lepiej do mnie pasuje – oznajmiłam i zajęłam się obmacywaniem starego stanika. Jezu Chryste, czy naprawdę cycki mi ani trochę nie urosły od dwunastego roku życia?! Wrzuciłam go do kosza na śmieci.

– Myślisz, że to dobry pomysł? Tu są schody. Co z lunatykowaniem?

– Nie robiłam tego od miesięcy – przypomniałam. – Zdaje się, że na jawie jestem dla siebie większym zagrożeniem.

Po dłuższym milczeniu poprosił:

– Bądź ostrożna, dobrze? – Starał się brzmieć beztrosko, ale wyczuwałam w jego słowach lęk.

Nagle ścisnęło mnie w piersi.

– Tato?

– Tak?

Otworzyłam usta, żeby mu powiedzieć, że za nim tęsknię, ale zaraz się opamiętałam. Chociaż zabrzmiałoby to idiotycznie, taka była prawda. Tęskniłam za naszą dawną więzią, za tamtymi czasami. Chciałam się cofnąć o siedem miesięcy i znów być dla niego niezniszczalna. Wychodzić z nim w sobotnie poranki i w jednej ręce trzymać kubek z kawą na wynos, a drugą przeglądać podniszczone winylowe płyty w zakurzonych pudłach. Ale w końcu

spytałam tylko, czy mógłby znieść do piwnicy deski snowboardowe.

Sprzątanie zajęło mi dwie godziny, ale w końcu zrobiłam miejsce dla rzeczy, które chciałam przenieść na górę. Czyli dla komputera, płyt i ubrań. Ponieważ moje ciuchy zostały posegregowane kolorystycznie, zajęło mi to najwięcej czasu. Ułożyłam je w sekcjach: niebieskie, białe, zielone, czerwone i czarne. Gdy wszystko poukładałam, stanęłam na środku pokoju. Wiedziałam, że nie jest to sypialnia dziewczyny, która widzi, ale nie było tu do końca jak w pokoju niewidomej.

Westchnęłam głośno, rzuciłam się na łóżko i zaczęłam myśleć o Benie, moich rodzicach, Sophie, Clarissie i Masonie. Czułam się dziwnie, jakbym jedną nogę miała wyciągniętą naprzód i stała w przyszłości, a drugą trzymała za sobą, zakorzenioną w przeszłości. Stałam okrakiem w dwóch światach, ale do żadnego w pełni nie należałam.

36

Nie wiem, jak to jest zostać postrzeloną przez snajpera, ale wyobrażam sobie, że to uczucie podobne do tego, kiedy Ben zakrada się od tyłu i z całej siły dmucha mi do ucha imprezową trąbką. Siedziałam w salonie Miltonów i niechętnie oglądałam program o łowieniu ryb. Głowę miałam zajęta myślami o cichnących basach, których partię ostatnio wciąż grałam. Ryk trąbki wziął mnie całkiem z zaskoczenia. Poderwałam się z głośnym piskiem i złapałam się za serce.

– Ben, czyś ty...

Ale on tylko dmuchnął jeszcze raz, a potem przesunął sobie trąbkę w kącik ust, jak cygaro, i kokieteryjnie mrugnął. Wywróciłam oczami. To nie były jego urodziny ani nawet połowinki. Obchodził ćwierć-urodziny, więc moim zdaniem nie było o czym mówić.

Mason uśmiechnął się do mnie półgębkiem. Siedział po turecku na podłodze i ze zmarszczonymi brwiami trącał cały czas tę samą strunę gitary.

– Nie rób tak więcej, Ben, bo naprawdę dostanę...

Na to Ben zadał raz jeszcze i uśmiechając się szatańsko poszedł do kuchni, gdzie jego mama robiła tort. Wally ruszył za nim.

Obserwowałam ich wymarsz, żałując, że widzę tak dobrze. Widziałam teraz wszystko, jasne światło przesączaające się przez ściany domu Miltonów, wychodzące aż na ulicę. Jeszcze parę tygodni temu byłabym absolutnie zachwycona. Teraz mnie mdliło.

Z głośnym westchnieniem przeszłam przez pokój i usiadłam na ławce przed pianinem. Zazgrzytała i niepokojąco się ugięła. Stały na nim zdjęcia w różnych

ramkach, porozmazywane i zakurzone; zapatrzyłam się na nie. Znalazłam Bena i Masona, na niektórych pana Milтона. Chłopcy byli coraz starsi. Wyglądali na szczęśliwych i wyluzowanych, nawet jeśli nie było z nimi ojca. Zaczęłam się zastanawiać, jak udało im się wyjść na prostą z takiego pokiereszowanego życia. Jakim cudem zdołali się podnieść i iść dalej.

Ja nie umiałam.

Przyglądałam się najnowszemu zdjęciu Bena, z treningu pływackiego. Z włosami postawionymi na irokeza wyglądał jak zbuntowany dzieciak. Poczułam wzbierającą falę emocji i spojrzałam na klawiaturę. Zaczęłam powoli grać motyw Chopin-Clarissa, wzbogacony o milknącą linię basu. Wreszcie zabrzmiały razem dobrze, jakby związało je jakieś niewidzialne spoiwo.

– Co to? – spytał Mason i wstał.

– Jeden z walców Chopina – wymamrotałam.

– Nieprawda. – Usiadł koło mnie. – To coś innego.

– No tak. Pomieszałam różne rzeczy, które grają mi ostatnio w głowie. Wyszło fatalnie? Boże, wiem, że tak. Po prostu mi to powiedz i miejmy to za sobą.

– Podobało mi się. Dobrze grasz. Jakbyś wiedziała, co robisz.

Spojrzałam na niego. Błąd. Siedział za blisko, w odległości jednego oddechu i patrzył tymi swoimi oczami pełnymi głębi. Trudno było w nie patrzeć, ale nie można było oderwać od nich wzroku. Miałam wrażenie, że moje płuca się uginają i składają jak namiot.

– No bo... – zaczęłam bez tchu. – Przez dziesięć lat uczyłam się grać. Spędziłam nad klawiaturą mnóstwo czasu. Takich nawyków się nie zapomina. To zostaje na zawsze. – Odchrząknęłam i wskazałam na klawisze. – A ty? Grasz?

Pokręcił głową.

– Tata grał. Ale mnie pianino nigdy nie kręciło tak jak gitara. I pisanie tekstów.

– Zawsze chciałeś grać w zespole?

Wzruszył jednym ramieniem.

– Zawsze miałem w głowie mnóstwo piosenek, więc nie tyle chciałem grać w zespole, co po prostu musiałem.

– Czyli to jest twoje Coś! – podsumowałam.

Pokiwał głową i spojrzał w stronę kuchni.

– Tak, to moje Coś – przyznał cicho. Potem popatrzył znów na mnie. – Nigdy muzyki nie wybierałem. Ona wybrała mnie. – Kiedy o niej mówił, wydawała się tak prosta, tak intuicyjna, magiczna. Wydawało mi się, że zdradza jedną z wielkich tajemnic życia, jakby mieszał z sobą kreacjonizm i teorię wielkiego wybuchu. Aż wstrzymałam oddech. – W wieku Bena przez całe lato kosiłem trawniki, żeby zarobić na pierwszą gitarę. Jakiś szajs, czerwony elektryczny złom. Miała wzmacniacz i robiła diabelny hałas. Moi rodzice jej nienawidzili. – Trochę się uśmiechnął, a trochę zmarszczył brwi. – Ale ja wtedy byłem nieśmiały, typ samotnika. Muzyka okazała się sposobem na poznanie siebie, więc mi na to pozwolili. Pozwalali aż do czternastego roku życia. – Kiedy mówił, poruszało mu się jabłko Adama. – Siedziałem raz w swoim pokoju i o siódmej rano łołem jakąś alternatywną rąbankę. Tata wszedł i bez słowa wyjął mi gitarę z rąk. Mogłem sobie błagać. Teraz, jak o tym myślę, dobrze wiem, dlaczego to zrobił: był weekend i cały świat jeszcze spał. Ale wtedy? Byłem wściekły. Powiedziałem mu, że go nienawidzę, a potem nie chciałem z nim gadać. – Powoli westchnął i dodał: – Umarł kilka dni później.

Też westchnęłam. Tylko odrobinę głośniej wciągnęłam powietrze, ale Mason i tak usłyszał. Kiedy podniósł wzrok, miał zmęczone, zaczerwienione oczy.

– Właśnie. – Tylko jedno słowo, ale ja wiedziałam, co ma oznaczać. – Jak tata umarł, nie mogłem nawet myśleć o muzyce. Nie rozmawiałem z rodziną, przestałem się uczyć, po prostu odpadłem. Cały czas pyskowałem nauczycielom, popołudniami miałem karę, wieczorami siedziałem u siebie w pokoju, a w weekendy grałem w gry.

– Co ci pomogło? – spytałam szeptem.

– Mój dyrektor.

– Dyrektor? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

Pokiwał głową.

– Tak. Morris. Mnóstwo czasu spędzałem w jego gabinecie. Głównie pod koniec drugiej klasy, kiedy wdałem się w bójkę.

– No tak.

– Słyszałaś o tym?

Machnęłam ręką.

– Ben coś wspominał.

Uśmiechnął się niepewnie.

– No właśnie. Siedziałem naprzeciwko Morrisa, a on mówił, że jestem żaloszny, mam fatalne oceny i nigdy niczego nie osiągnę... – Przerwał, bo zobaczył moją zszokowaną minę. – Tak, właśnie powiedział. „Nigdy do niczego nie dojdiesz”. – Musnął palcem wskazującym krawędź pianina. – A ja byłem wściekły. Na życie, siebie, tatę i Morrisa. Za to, że ma rację. Nie ma nic, ale to nic bardziej frustrującego niż taki świętoszkowaty dupek mówiący ci, że jesteś śmieciem. Więc on gadał, a ja sobie coś obiecałem: osiągnę taki sukces, że się tymi słowami udławi.

Wpatrywałam się w niego bez słowa.

Pokiwał głową, jakbym jednak coś powiedziała, i dodał:

– Patrzył na mnie w taki sposób, że starałem się ćwiczyć co wieczór, byle tylko zostać kimś.

– Zdaje się, że ci się udało – wyszeptałam.

Wzruszył ramionami, a właściwie jednym ramieniem.

– Jeszcze nie.

Przez kilka minut milczeliśmy. Zamknęłam oczy, położyłam palce z powrotem na klawiaturze i jeszcze raz zagrałam moją kompozycję. Życie całkiem mi się poplątało i czasem czułam, że dłużej nie dam rady, ale w tej chwili po prostu istniałam. Siedziałam przy pianinie obok Masona i liczyła się tylko ta chwila. Kiedy zagrałam ostatnią nutę, na kilka sekund zostawiłam palce na klawiszach i pozwoliłam muzyce zawisnąć w powietrzu. A potem głośno odetchnęłam, jakbym chciała wciągnąć ten moment do płuc i tam go zatrzymać.

Jak wróciłam do domu, mama jadła kolację przy kuchennym blacie. Niby rozmawiałyśmy, ale takie tam ble ble. Usiadłam obok, zjadając pozostałości z poprzedniego dnia, i spytałam:

– Jak minął dzień?

– Nieźle, a tobie? – odpowiedziała.

– Całkiem fajnie – odpowiedziałam. – Ben obchodził ćwierć-urodziny i jedliśmy tort.

– Jaki? – spytała, a ja powiedziałam, że z marmurkowym kajmakiem.

– Pycha! – stwierdziła, a następnie zapadła cisza.

Chciałam jej powiedzieć tysiące rzeczy. Takich prawdziwych, od serca. Ale ciągle czułam między nami tę piłkę do nogi, która nas rozdzieliła parę dni temu. Skubałam więc swoją kolację, aż mama skończyła i opłukała talerz. Gdy to robiła, myślałam o tym, jak cicho stała, gdy toczyła się piłka. I że tata kłamał, żeby wyjść na wyprzedzą garażową. Odkąd straciłam wzrok, rodzice prawie się ze mną nie porozumiewali. Przypomniałam sobie uśmiechnięte zdjęcia na pianinie Miltonów. Pani Milton angażowała się w życie swoich synów, kochała ich bezwarunkowo. Stanowili rodzinę. Ja i moi rodzice po prostu mieszkaliśmy pod jednym dachem.

Czy ślepotą może sprawić, że człowiek staje się niewidzialny?

Zamrugałam, odetchnęłam głęboko i poszłam dokończyć kolację w swoim pokoju.

37

Obudził mnie śpiew Masona dudniący w uchu. Przewróciłam się na plecy i ziewnęłam. Uznałam, że musi być rano, bo spod uchylonych powiek widziałam promienie słońca.

Chwileczkę. Że co?!

Otworzyłam oczy i usiadłam jak wystrzelona z katapulty. Pokój zalewało światło. Nie wiedziałam, czy odbierać telefon, który wzywał mnie dopiero co ustawionym dzwonkiem, czyli piosenką *Eternal implosion* Loose Cannons, czy biec do okna, więc zrobiłam jedno i drugie.

– Cześć – odebrałam i wyszłam z łóżka.

– Thera! – zawołał Ben.

Wyjrzałam. Na ulicy stał samochód Masona, a on się o niego opierał i wyglądał aż nieprzyzwoicie zjawiskowo. Pomachał mi, poruszając tylko palcami. Obok niego, z telefonem przy uchu, w piżamie w kowbojów i w futrzanej czapce z nausznikami – jakbyśmy byli na Alasce, a nie w Nowej Anglii w środku lata – stał Ben.

Rozejrzałam się po pokoju i przez chwilę chłonełam. W dziwny sposób łączył w sobie przeszłość i przyszłość, zdawał się odzwierciedlać mnie. Usiadłam na parapecie i zrobiłam ruch ręką, jakbym pytała: „Co wy tu robicie?!”.
– Która jest godzina? Coś się stało? – dopytywałam jednocześnie.

– Oczywiście, że nic się nie stało. Jest czwarta siedem i zabieram cię na randkę – oznajmił Ben.

Jezu Chryste.

– Naprawdę? Dokąd? – spytałam. Zaczęłam szukać ubrania i rozczesywać włosy.

– Niespodzianka.

– Przecież ci mówiłam, że nie znoszę niespodzianek – przypomniałam.

– No to masz problem. – Nie musiałam wyglądać przez okno, żeby wiedzieć, że się uśmiecha.

Westchnęłam mu w ucho.

– Dobra, daj mi minutę, żebym się przyodziała. Aha, wiesz co? Śliczna piżamka! – Rozłączyłam się, zanim zdołał odpowiedzieć.

Kiedy człowiek widzi, co robi, jest o wiele łatwiej. Włożyłam krótkie spodenki i T-shirt. Ostrożnie zeszłam po schodach, wyslizgnęłam się na dwór i cicho pobiegłam podjazdem. Moje kłopoty nie zniknęły, wciąż czaiły się gdzieś pod powierzchnią wody, ale w tej chwili udawało mi się być ponad. Toczyłam się jak kamień po powierzchni jeziora.

– Hola! – krzyknął Ben, kiedy się przed nim zatrzymałam.

Zakryłam mu usta ręką.

– Ćśś! Dziadek ma słuch jak nietoperz. Poza tym, Jezu, nie za gorąco ci w tym? Jest ze 25 stopni.

– Spoko – wymamrotał w moją dłoń.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Spojrzałam na Masona i ostrzegłam:

– Lojalnie uprzedzam, nie jestem rannym ptaszkiem. Jest wcześniej, prawie wczoraj.

Mason podniósł obie ręce, żeby pokazać, że to nie on.

– Nie mój pomysł, Maggie. Reklamacje zgłaszaj do mojego brata. – Zachwycalo mnie, jak wypowiada moje imię.

Na tylnym siedzeniu zauważyłam Wally'ego. Łeb wystawił przez okno, język zwisał mu z pyska i uśmiechał się po psiemu. Spojrzałam na niego i przekazałam bez słów, że jeśli wsadzi mi nos w krocze, to po nim.

Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy spod mojego domu.

– Wiesz, co będzie, Thera? Muszę ci zasłonić oczy.

– Poważnie? – parsknęłam.

– Jak najpoważniej.

Patrzyłam to na profil jednego, to drugiego.

– Czy tylko ja widzę, jakim absurdalnym pomysłem jest zasłanianie oczu niewidomej dziewczynie? – Żaden nie odpowiedział. Obydwaj poczęstowali mnie takimi samymi zniecierpliwionymi spojrzeniami. – Dobra, tak tylko mówię – wymamrotałam. – Niech wam będzie. Zasłoń mi oczy.

Ben podał mi paskudną pomarańczową bandankę i poinstruował, jak ją założyć. Potem jechaliśmy przez kilka godzin, a w każdym razie mnie się tak wydawało. W rzeczywistości minęło pewnie piętnaście, góra dwadzieścia minut. Kiedy nie mogłam dłużej wytrzymać, jęknęłam.

– Cierpliwości, Thera – uciszył mnie Ben tonem godnym guru.

Po krótkiej jeździe po nierównej drodze w końcu się zatrzymaliśmy. Panowała cisza. Nawet noc milczała, jakby nie chciała, żebyśmy się dowiedzieli o jej obecności.

– Dojechaliśmy – oznajmił Ben.

– Gdzie jesteśmy?

– W Richardson's Cove.

Nigdy nie słyszałam o tym miejscu.

– Ach, no tak. To wszystko tłumaczy.

Gdy Ben otworzył drzwi, uderzył mnie zapach soli i wodorostów. Słyszałam huk fal wpadających na plażę. Wysiadłam, a moje japonki zapadły się w piasku.

– No dobrze. Czyli jesteśmy na plaży. Czy mogę już zdjąć chustkę?

– Nie.

Bez sensu wywróciłam oczami. Rzęsami otarłam się o chustkę.

– Mason, weź ją za rękę, żeby się nie wywaliła. Widziałem raz, jak wyrznęła, nic przyjemnego.

Otworzyłam usta, chcąc mu się zrewanżować, ale Mason już mnie złapał za lewą rękę. Moja uszczypliwa riposta odleciała na skrzydłach morskiej bryzy.

Przez chwilę szliśmy po wydmie, a potem zaczęliśmy się wspinać pod stromą górkę. Stopa wysunęła mi się z japonki, więc zdjęłam klapki i dalej szłam na bosaka. Słyszałam Bena zmagającego się z kulami. Mason dał sygnał: zatrzymujemy się i mnie puścił. Poczulałam się bardzo niepewnie.

– Mogę już zdjąć...?

Ben prychnął.

– Jaka ty jesteś niecierpliwa, Thera! Dobra, niech ci będzie.

Zdjęłam.

– Tadam! – wykrzyknął triumfalnie.

Staliśmy na szczycie wydmy, górującej nad maleńką zatoczką. Prawdopodobnie panowały całkowite ciemności, ale dzięki Benowi widziałam wszystko w jasnym świetle. Zatoczka nie była duża, Wally przebiegał z jednego jej końca na drugi w piętnaście sekund. Z jednej strony strzegły jej wysokie drzewa, a z drugiej ocean, była więc dostępna tylko dla wtajemniczonych, idealna!

– Jejku! – zawołałam. – Jak tu pięknie!

Ben znacząco spojrział na Masona.

– Mówiłem ci, że jej się spodoba. – A mnie wyjaśnił: – Tata nas tu zabierał, jak byliśmy mali. Łowiliśmy ryby z tamtego miejsca na skałach. Ale nieważne. Bo to jeszcze nie jest ta niespodzianka. – Skinął do Masona głową.

Dopiero wtedy zauważyłam, że Mason niesie czarny plecak. Przerzucił go z pleców do przodu, rozpiął i wyjął koc w kratkę. Rozłożył go na piasku.

– Połóż się i zamknij oczy – pouczył mnie Ben.

Warknęłam:

– Jak na środek nocy jesteś strasznie apodyktyczny. – Zacisnął tylko usta i znacząco spojrział na koc, więc westchnęłam dramatycznie, położyłam się i zamknęłam oczy.

– Dobra, leżę. Nic nie widzę.

Wtedy rozległo się szuranie, odgłos rozpinanego zamka, a potem brzęk odkładanych kul. Wreszcie padł na koc obok mnie. Jednocześnie, z głośnym puff, z drugiej strony usiadł Mason. Ben odchrząknął.

– Dobrze. Otwórz.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Pewnie niczego się nie spodziewałam, dlatego tak się zdziwiłam, kiedy zobaczyłam... gwiazdy! Ben podstawił mi przed oczy lusterko. Nakierował je tak, że odbijały się w nim ich dziesiątki. Zapomniałam o nich, jakby nigdy nie istniały. W mojej głowie

szalały emocje. Radość, smutek zachwyty zlewały się w jedno. Przez dobrą minutę nie mogłam wykrztusić z siebie słowa.

– Ben, to jest...

– Ćśś. Zaczekaj. Będzie więcej. – Cały czas siedział obok mnie i trzymał lusterko. Uśmiechał się i był przeszczęśliwy, widząc wyraz mojej twarzy.

Leżałam w milczeniu między Masonem a Benem. Na niebie pojawiał się świt i połykał gwiazdy, jedną za drugą. Zastępował je wdzięcznymi, pierzastymi chmurkami oraz różami i pomarańczami wschodu słońca. „Cześć, babciu”, pomyślałam, bo przypomniały mi się wszystkie wschody słońca spędzane z nią na plaży. Niemal czułam jej milczącą obecność.

Parę tygodni temu zwierzyłam się Benowi, że tęsknię za niebem. Za gwiazdami. Barwami wschodu słońca. Zapamiętał. To było tak słodkie, wzruszające i bardzo w jego stylu, że musiałam zamknąć na chwilę oczy. Przestałam się mieścić w swoim ciele. Zaraz pękne i wyleję się na piasek, czułam.

– Ej, Mason – szepnął Ben. – Thera płacze?

Nie słyszałam odpowiedzi Masona, więc musiał chyba kiwnąć głową.

– To dobrze czy źle? – dopytywał Ben z niepokojem.

Głęboki głos Masona sprawił, że pokryłam się gęsią skórką:

– Chyba dobrze.

Wtedy poczułam dźgnięcie palcem w ramię. Otworzyłam oczy. Wisiał nade mną Ben i patrzył z niepokojem.

– Thera, wiesz co? – stwierdził. – Głupio wyglądasz, jak płaczesz.

Roześmiałam się, a łzy pociekły mi po policzkach. Otarłam je wierzchem dłoni i uśmiechnęłam się do niego.

38

Leżałam na plecach i patrzyłam w niebo, aż zrobiło się żółte. Ben zasnął obok. W piżamie w kowbojów wyglądał na młodszego o kilka lat. Miał rozchylone usta i rozkraczone nogi. Wally, cały umazany mokrym piaskiem, leżał wiernie obok niego, jak na straży. Pysk położył na nodze Bena, a nozdrza mu falowały. Mason siedział z drugiej strony. Łokieć opierał na kolanie i wpatrywał się w jakiś nieokreślony punkt na horyzoncie. Wyglądał, jakby miał sesję zdjęciową do magazynu „Rolling Stone”. Zaczęłam odkrywać, że on się nie stara być oryginalny i to go takim czyni. Powściągliwy i niewymuszony, stawał się niezwykły w swojej prostocie.

Wszystko wkoło dowodziło, że wstaje świt. Krzyczały mewy, złote światło oblewało piasek, a płynące w oddali łodzie dawały sygnały. Mnie było wygodnie i swojsko. Jakbym po długiej podróży położyła się do swojego łóżka.

– Utrata wzroku musiała być bardzo trudna – stwierdził nagle Mason. Ale nie z litością, tylko ze zrozumieniem. Tak mógł człowieka zrozumieć tylko ktoś, kto także cierpiał.

Nie miałam potrzeby obracania tego w żart.

– Tak. Było ciężko – przyznałam. – Musiałam zmienić mnóstwo rzeczy. Nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło, że tak będzie.

Usiadł, nachylił się i z miną małego chłopca spytał:

– Inne zmysły masz teraz bardziej wyczulone?

Trochę mnie zatkało.

Jezu.

Powinam mu odpowiedzieć, że ślepotą nie tyle wyostrza pozostałe zmysły, co na nie wyczula. Słuch miałam nadal o wiele słabszy niż węch. Wciąż kiepsko mi szło określanie pory dnia po doznaniu słońca na skórze. Mogłam powiedzieć tysiące rzeczy. Ale dzieliło nas kilka centymetrów i nie umiałam złożyć ani jednego sensownego zdania.

Potem jednak do mnie dotarło, że nic nie mówię, tylko siedzę z prawdopodobnie idiotycznym wyrazem twarzy, więc w końcu zebrałam się w sobie.

– To nie tak działa. Po prostu zwracam teraz większą uwagę na inne zmysły.

Na chwilę spojrzeliśmy sobie w oczy. Poprawiłam leżące mi na kolanach lusterko, bo coś musiałam zrobić z rękami. I wtedy zobaczyłam się po raz pierwszy od siedmiu miesięcy. Jasne, odkąd poznałam Bena, widywałam to tu, to tam swoje odbicia, ale nigdy nie poświęciłam im czasu. Nie tak, jak teraz. Prawie nie poznałam dziewczyny, która na mnie patrzyła. Włosy miałam dłuższe i ciemniejsze. Opadały mi na ramiona lśniąco spiralnymi. Nos był cały w maleńkich piegach. Zawsze miałam piegi? Nie byłam pewna. Uderzyło mnie, jaka jestem podobna do Samantha, młodszej siostry Teddy’ego. Była młodszą wersją mnie: upartą, paskudną i porywczą. Ale najbardziej wstrząsnęły mną oczy. Zobaczyłam w nich prawdę, jakiej nie widziałam nigdy wcześniej. Nagą i przesywającą. Zaniepokoiło mnie to. Odłożyłam lusterko.

Po chwili Mason na nie wskazał i przyznał:

– Wiem, dlaczego tak kochasz niebo. Dzięki niemu człowiek ma wrażenie, że istnieje. Są rzeczy, których się nie widzi. Tak jakby wszechświat nosił wielką tajemnicę, którą można poznać, jeśli się będzie dostatecznie długo wpatrywać w niebo. – Odwrócił się do mnie. – Skakałaś kiedyś ze spadochronem?

– Ze spadochronem? – powtórzyłam bez sensu. Siedział tak blisko, mogłam się tylko rozpląnąć w jego zapachu.

Roześmiał się.

– No wiesz, skaczesz z samolotu i lecisz 190 kilometrów na godzinę.

Nagle przypomniały mi się ulotki dotyczące spadochroniarstwa, które widziałam w jego pokoju. Wtedy nie pasowały mi do obrazu Masona, jaki

stworzyłam sobie w głowie. Ale teraz już wiedziałam, jak bardzo docenia wolność, którą daje niebo, nawet jeśli trwa to tylko dwie minuty.

– Nie, nigdy – odpowiedziałam w końcu. Kiedy jeszcze widziałam, pewnie chętnie bym spróbowała, ale teraz? Bez sensu.

– Spodobałoby ci się – stwierdził. – Ludzie, którzy kochają niebo, kochają też skoki.

– Jakie to uczucie?

Cały się rozpromienił.

– Nie da się go do niczego porównać. Najpierw wydaje ci się, że żołądek ci wyskoczył uszami. Potem wchodzisz w prędkość graniczną i wydaje ci się, że nic nie ważysz. Uderza cię w twarz niesamowity wiatr i... po prostu jesteś. Przez jakieś czterdzieści pięć sekund jesteś niczym i wszystkim.

– O rany... To musi być...

– Genialne – dokończył. Patrzył teraz na moje usta. W pewnej chwili zaczęło mi się wydawać, że nie mówi już o spadochroniarstwie.

Patrzyliśmy na siebie dłużej niż powinniśmy. Potem zagrzebałam duże palce u nóg w piasku i wypaliłam:

– Bałeś się? Za pierwszym razem, kiedy musiałeś wyskoczyć?

Zamrugął.

– Nie. Bo robiłem to dla taty. – A kiedy zobaczył w mojej minie znak zapytania, wyjaśnił: – Tata zawsze marzył o skoku, ale umarł, zanim zdołał to zrealizować.

Czułam, że powinnam powiedzieć coś w stylu: „Bardzo mi przykro” albo „Moje najszczerze kondolencje”, ale wydawało mi się to tandetne i oklepane. Po chwili milczenia wyszeptałam więc tylko:

– To musiało być bardzo trudne.

– Strasznie. – Głos trochę mu zadrżał. – Ale wiesz, co było najgorsze? Patrzenie, jak moja mama to przeżywa. Prawie od tego ześwirowałem. Wiedziałem, że cierpi, ale nic nie mogłem zrobić. Nic. A Ben... – Urwał i pokręcił głową. Miał w oczach tyle bólu. Chciałam odwrócić wzrok, ale nie mogłam. Tylko pokiwałam głową.

Siedzieliśmy tak jeszcze chwilę, a potem zerknął na zegarek i lekko trącił

Bena.

– Powinniśmy się chyba zbierać do domu, kolego.

Ben lekko rozchylił powieki.

– Tak. Do domu – powtórzył sennie.

Mason postawił go na nogi i zaczął mówić:

– Może cię wezmę na...

Nagle rozległ się hałas i rozłamał ten poranek na pół. Oczy Bena straciły ostrość i podleciały do góry, jakby spojrział w głąb czaszki. Wyglądało to potwornie. Potem padł twarzą na piasek.

39

Nie mogłam się poruszyć, mrugnąć ani myśleć. Stałam i patrzyłam na Bena. Jego noga ułożyła się pod dziwnym kątem.

Prawie nie docierał do mnie ten straszliwy dźwięk, dopiero potem, kiedy się nad tym zastanawiałam, doszłam do wniosku, że to Wally szczekał. Rozbrzmiewały też inne głosy. Nie. Jeden głos. Masona.

– Richardson’s Cove – mówił do swojej komórki. Wypowiadał słowa tak szybko, że prawie nie rozumiałam, co mówi. – Półtora kilometra na północ od Chester Beach. Boczna droga od Ocean Drive. Wśród wydm. – Potem zamilkł i przysięgam, słyszałam ogłuszające bicie jego serca. Może to było moje? – Ile to potrwa? – Kolejna chwila ciszy. Przeczesał włosy. – Niech się pośpieszą. Na litość boską, on ma dziesięć lat! – zawołał błagalnie. Pokiwał głową, jakby ta osoba na drugim końcu linii mogła widzieć jego ruch, i rozłączył się.

Ścisnęło mnie w piersi zwierzęce, paniczne przerażenie.

– Co się dzieje? – spytałam. Patrzyłam to na niego, to na Bena. – Przecież spokojnie leżał i wszystko było dobrze. Wszystko było dobrze! Jakim cudem...? – Dalej nie mogłam mówić. Za bardzo się trzęsłam, by wypowiadać słowa.

– Maggie! – Mason złapał mnie za oba ramiona. – Nie wiem, co się stało, ale posłuchaj mnie. Musisz się skupić. Pomóż mi. Miej go na oku. Nie pozwól mu się poruszyć. To bardzo ważne. Pójdę na drogę i zaczekam na karetkę. Będą za kilka minut. – Kątem oka zobaczyłam, jak jego potężna sylwetka znika mi z oczu.

Kolejna fala paniki. To niemożliwe. Benowi nie może się nic stać.

Patrzyłam z góry na postać, wyglądającą jak połamana kukielka. Był taki drobny i zginał się w niewłaściwych miejscach. Jakby coś go okaleczyło. Chciałam przełknąć ślinę, ale nie mogłam. Dławiłam się. Upadłam na kolana i odgarnęłam piasek spod jego twarzy.

Łzy ciekły mi po policzkach i wsiąkały w piasek. Nachyliłam się do jego ucha i oznajmiłam:

– Nie wiem, co się w tej chwili dzieje, ale nie myśl sobie, że mi umrzesz. Jeszcze z tobą nie wygrałam w *Twenty-one Stones*.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Poderwie się i krzyknie: żartowałem? Podniesie głowę i powie: głupio wyglądasz, jak płaczesz? Jeszcze raz nazwie mnie Therą?

Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. W ogóle nic się nie stało.

Odgarnęłam mu włosy z twarzy. Wbrew swojej woli zapamiętywałam każdy szczegół tego poranka. Dźwięk oddalających się kroków Masona. Blednące policzki Bena. Słońce chowające się za chmurą, niskie zawodzenie łodzi gdzieś daleko na morzu.

Wszystko mi się wyślizgiwało z rąk.

Modliłam się, żeby tylko Ben się nie wyślizgnął.

Usłyszałam wycie karetki. Przedzierało się przez poranną ciszę i brzmiało obco w towarzystwie fal objających się o plażę i krzyków mew. Znow się nachyliłam.

– Ben? Wszystko będzie dobrze. Pomoc już jest.

Ale nie wierzyłam w to, co mówię.

Zostawili mnie tam. W Richardson's Cove. Obserwowałam, jak sanitariusze układają Bena na noszach. Szłam za nimi, gdy szybko go nieśli do karetki. Słuchałam, jak mówią, że w środku jest miejsce jeszcze tylko dla jednej osoby. Mason się zawahał, zanim wsiadł, ale potem spytał:

– Przyjdiesz do szpitala?

Pokiwałam tylko głową.

Odjechali. Zabrali z sobą światełko Bena.

I zostałam sama.

Dotykałam samochodu Masona, aż namacałam klamkę. Nie zamknął auta. Nogi trzęsły mi się jak galareta, kiedy opadałam na siedzenie. Drzwi zostawiłam otwarte. Wyciągnęłam z torebki telefon, żeby zadzwonić do Sophie, ale nie mogłam sobie przypomnieć jej numeru. Nie wiedziałam, jak go odszukać w telefonie. W ogóle nie wiedziałam, jak się nim posługiwać.

Siedziałam tak jakiś czas, gdy poczułam na nodze oddech. A potem łapę. Wally wskoczył do auta i usiadł obok mnie. Nie wiedziałam, jakie ma zamiary, ale nie ruszałam się. Cieszyłam się, że jest. Chyba tylko on trzymał mnie przy życiu. Odetchnęłam głęboko i wydałam komunikat głosowy, by telefon zadzwonił do Sophie, ale rozłączyłam się, zanim się połączył, bo nagle sobie przypominałam o jej wyprowadzce.

Potem zadzwoniłam do dziadka, który odebrał prawie od razu. Nawet nie dał mi szansy się odezwać, od razu wypalił:

– Musicie mi zawracać głowę w środku nocy? Tego numeru nie ma w żadnej bazie danych! – Następnie się rozłączył.

Cholera.

Clarissa też odebrała natychmiast, a głos miała niezdrowo rzeński i energiczny.

– Cześć, Maggie! Rany, ale wczesnie wstałaś! Miałam do ciebie dzwonić, bo...

Wtedy mój telefon zapikał, żeby dać znać, że bateria padła.

NIE!

Rzuciłam go pod nogi i wyrzeszczałam brzydkie pięcioliterowe słowo.

Co ja mam teraz, do cholery, zrobić? Iść do tego szpitala? Zaśmiałam się. Jasne. Nawet nie umiałam sama iść chodnikiem. Nie miałam też najbledszego pojęcia, gdzie jestem. Po drodze miałam zasłonięte oczy, więc nie widziałam żadnego znaku z numerem drogi, a co tu mówić o szpitalu.

Schowałam twarz w dłoniach i kołysałam się tam i z powrotem, a łzy ciekły mi przez palce. W głowie miałam obraz bezwładnego ciała Bena, leżącego twarzą w piasku. Jakim cudem z normalnego, zdrowego chłopca została w jednej chwili kupka nieszczęścia?

Co się w ogóle stało?

Bezradnie opuściłam ręce i wpatrywałam się w nicość. Żałowałam, że olałam ostatnią sesję z Hildą, nie odkryłam, co się dzieje z Benem, nie uparłam się na jazdę ambulansem.

JESTEM NIEWIDOMA.

Krzyknęła mewa. Otarłam łzy z policzków, wściekła na ten poranek, a przede wszystkim na siebie. Nigdy nie chciałam wychodzić poza sferę komfortu. Zawsze szukałam łatwej drogi wyjścia. Za mało się starałam.

Co za bzdury.

Niezdarnie wysiadłam z samochodu i zrobiłam jedyne, co mi pozostało: wyjęłam z tylnej kieszeni laskę, przeszukałam tył samochodu w poszukiwaniu smyczy Wally'ego i ruszyłam.

Pozwoliłam się prowadzić Wally'emu przez jedną cichą ulicę za drugą, z nadzieją, że jakiś jego wewnętrzny kompas doprowadzi nas do jego rodziny. Z całą pewnością nie był psem przewodnikiem, co to, to nie, a na pewno nie był w stanie mnie przed niczym obronić. Pewnie by leżał i lizał się po jajkach, kiedy trzeba by warczeć. A jednak ciągnął mnie z jakimś tam przekonaniem i to mi dawało nadzieję.

Kiedy jednak usłyszałam znajomy dźwięk fal rozbijających się o fale zatoczki, uświadomiłam sobie, że wylądowaliśmy w miejscu startu. Zatrzymałam się, pochyliłam naprzód, oparłam dłonie na kolanach i zaczęłam szybko oddychać. Potem się wyprostowałam i wrzasnęłam:

– Czy ktoś tu jest?!

Nikt się nie odezwał

Stałam w bezruchu, uspokoiłam oddech i spięłam się, żeby zacząć odczytywać wskazówki z otoczenia. Fala za falą. Ostry zapach soli. Ciepły chodnik pod podeszwami moich japoniek.

Ale oprócz tego...

Wszłuchałam się; dobiegał mnie skądś szum ulicy. Nie wiem, może to tylko moja wyobraźnia, ale lepszego wyjścia i tak nie znałam, więc zaczęłam iść w tamtą stronę. Tym razem to ja prowadziłam.

Chodzenie z laską prosto wymaga narzucenia ostrego tempa, na tym polega

problem. A jak się idzie szybko, człowiek się pakuje w kłopoty. Już po jakichś dziesięciu krokach weszłam w dziurę w nawierzchni i wykręciłam kostkę. Żeby uniknąć gorszego upadku, podparłam się rękami. Mogłam tak zostać – Boże, jak bardzo chciałam nie musieć się podnosić – ale pozbierałam się, strzepnęłam piasek ze spodenek, otarłam krew z rąk i ruszyłam w dalszą drogę, zostawiając za plecami ocean.

Po stu dwudziestu trzech krokach natrafiłam na chodnik, po trzystu czterdziestu minął mnie samochód, a po pięciuset jedenastu usłyszałam zbliżający się stukot szpilek.

– Przepraszam – zaczęłam, gdy kobieta znalazła się obok mnie. I wtedy dotarło do mnie, że nie wiem, co powiedzieć. W końcu zdecydowałam się zadać jedyne pytanie, jakie miało znaczenie. – Czy mogłaby mi pani pomóc się dostać do szpitala Memorial?

Bardzo możliwe, że jazda samochodem z obcą kobietą do nieznanego szpitala kwalifikowała się do najgłupszych rzeczy, jakie zrobiłam w życiu. Jednak gdy zaproponowała podwiezienie, tylko pokiwałam głową. Bez zawahania wsiedliśmy z Wallym na tylne siedzenie. Miała bardzo ciepły, matczyzny głos i do oczu napłynęły mi łzy.

Aktualnie stałam przed szpitalem i patrzyłam na budynek rozświetlony jak świąteczna choinka udekorowana przez czterolatka. Miejscami światła występowały w większych skupiskach. Zakładałam, że tam umierają ludzie. Ostry dyżur, intensywne terapie i tak dalej. Z oddali usłyszałam wycie syreny, które coraz bardziej się zbliżało. Wally zaskowyczał.

Kiedy przywieźli Bena? Dwie godziny temu? Pięć? Czy lekarze już wiedzieli, co mu jest?

Czy w ogóle jeszcze żył?

Minęła mnie karetka, rozświetlona tragedią, która rozgrywała się w środku. Przywiązałam Wally'ego do słupka przed budynkiem i postanowiłam zacząć od izby przyjęć. Rozpacz płonęła w tym budynku jak ogień. Masona nie było. Nie wiedziałam, czy to dobry, czy zły znak.

– W czym mogę pomóc? – spytała kobieta w recepcji.

Drżącą ręką dotknęłam czoła.

– Szukam Bena Milтона. – Jakiś ciężar zmiądzzył mi pierś, kiedy wymówiłam jego imię. Reszta wypowiedzi zlała się z ciężkim oddechem: – Przywiozła go karetka. Był w złym stanie. Muszę się dowiedzieć, co się z nim dzieje.

Patrzyła na mnie przez moment, a potem spytała, czy jestem członkiem rodziny. Ja, jak głupia, powiedziałam prawdę:

– Nie, jestem jego przyjaciółką.

Na co odparła:

– W takim razie nie mogę pani udzielić żadnych informacji.

A wtedy ja odpaliłam:

– Co za pierdoły!

Tak sobie porozmawiałyśmy. Kazała mi usiąść i czekać.

Usiadłam na plastikowym krześle obok małej dziewczynki. Mogła mieć kilka lat i patrzyła na mnie z przerażeniem. Nic dziwnego, wyglądałam zapewne, jakby przed chwilą dokonano na mnie egzorcyzmów: chuda, z rozczochranymi włosami, zapuchniętymi od płaczu oczami, odrapanymi kolanami i zakrwawionymi nadgarstkami. Uśmiechnęłam się do niej słabo. Wdrapała się mamie na kolana, ale spoglądała na mnie niepewnie znad jej ramienia.

Sekundy zmieniały się w minuty. A minuty w dni.

W końcu, kiedy nie mogłam już dłużej czekać, wróciłam do recepcji i tonem pełnym skruchy poprosiłam, żeby wyszedł do mnie ktoś z rodziny.

Skinęła krótko głową i sięgnęła po telefon.

Tym razem już nie usiadłam. Po prostu nie mogłam. Stopy mnie paliły, jakbym stała na rozżarzonych węglach. Wpatrywałam się w podwójne drzwi prowadzące na oddział.

Zaparło mi dech, kiedy pojawił się w nich Mason. Usta miał zaciśnięte, a każda część jego ciała wyrażała napięcie. Spojrzał mi w oczy dosłownie na ułamek sekundy, a potem wbił wzrok w podłogę.

– Mam złe wieści.

40

Poprowadził mnie w spokojniejszy kąt poczekalni. Nie pamiętam, jak szłam, ocknęłam się już tam. Otworzył usta, a potem zamknął. Potem znów otworzył i zaczął mówić:

– Miałaś rację. Ben... – Przełknął ślinę i spojrzał w podłogę. Musiałam się oprzeć o ścianę. Nie zwymiotujesz, poinformowałam sama siebie, a ponieważ byłam wytrawną kłamczuchą, jakoś w to uwierzyłam. Wreszcie dokończył: – Noga Bena złamała się tak nagle, ponieważ cierpi na bardzo rzadką odmianę raka kości.

Nie mogłam oddychać. Powietrze rozsadzało mi pierś.

– Jak to możliwe, że nikt nic nie zauważył? To dzieje się bezobjawowo?

Mason westchnął.

– Lekarz powiedział, że zwykle ludzie coś czują. Pacjenci z rakiem kości narzekają na ból w okolicy guza. Ale przecież Ben ma rozszczep kręgosłupa, jego nogi...

– Nie są normalne – odpowiedziałam.

Kiwnął głową i wyjrzał przez okno. Odbijał się w szybie, bo za oknem było pochmurno.

– Jest źle? – spytałam piskliwie. – Co mówią lekarze?

– Amputują mu nogę. – Nie patrzył na mnie. Kilka razy kopnął w ścianę. – Ale złamanie spowodowało duży skrzep, który dotarł do płuc. Zanim zajmą się nogą, trzeba ustabilizować płuca. Bez tego to zbyt ryzykowne. Mama... Mama jest w ciężkim stanie. Poszła do łazienki jakoś się ogarnąć.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

W końcu na mnie popatrzył. W jego oczach przewijał się niemy film złożony z emocji: rozpacz, ból, poczucie winy, desperacja.

– Nie wygląda to dobrze – szepnął.

Opadłam na krzesło, bo nagle przypomniałam sobie coś, co złapało mnie za gardło i odebrało oddech. Odpowiedź miałam od samego początku na wyciągnięcie ręki, ale zbyt dużo spraw odwracało moją uwagę.

Kilka lat temu siedziałam z dziadkiem przy kuchennym stole, a na nim piętrzyła się cudowna zawartość torby z logo Big Dough. Najlepsze rzeczy świata: makaroniki z podwójną czekoladą, owsiane ciasteczka z rodzynkami, ciastka cytrynowe i brownie. Obezwładniający zapach. Zresztą z ciastkami jest jak z masażem: nawet marny jest boski.

Dziadek dopiero co wrócił z pogrzebu jakiejś starszej pani i ku mojej wściekłości relacjonował mi go w najdrobniejszych szczegółach: kolor trumny, idiotyczny pomysł z sushi na stypie i brązowa sukienka, jaką miała na sobie nieboszczka. Następnie zaczął odpowiadać o jej psie.

– Ten kundel wiedział, że ona ma raka – poinformował mnie. – Zwęszył drania.

– Dziadku, błagam cię! To jakaś bzdura. Psy nie są takie mądre – oznajmiłam, po czym wpakowałam sobie do ust pół ciacha.

– Nie mówię, że są mądre, tylko wyczuwają zapach nowotworu. Pies Eloise łąził za nią wszędzie. Nawet do kibla. Ciągłe wtykał jej nos we włosy. Gapił się na nią. I co? Stara nietoperzyca miała guza mózgu. Ale jak poszła do lekarza, już było pozamiatane. – Gdy westchnęłam z niedowierzaniem, dodał: – Widziałem dokument na ten temat. Na kanale naukowym. Taki mały jazgotnik ma dwadzieścia pięć razy więcej receptorów węchu niż człowiek. Jak coś się psuje, one to wiedzą.

Siedząc na zimnym plastikowym krześle w poczekalni szpitala, zrozumiałam że powinnam była na to wpaść wcześniej. Odkąd znałam Bena, Wally łąził za nim krok w krok, gapił się na niego, a nos zawsze wtykał w jego nogę. Tę, która się dzisiaj złamała. Wydawało mi się to dziwne, ale nie tknęło mnie, co się dzieje.

Nie, poprawka: nawet się nie starałam domyślać.

Przygniatało mnie ważące tonę poczucie winy.

Mason kucnął przede mną i z niepokojem spytał:

– Maggie?

Zacisnęłam powieki. Nie chciałam, żeby to we mnie dostrzegł: moje błędy, tajemnice, lęki.

Czekał, aż się odezwę. Nic nie powiedziałam, a wtedy usiadł przede mną, objął ramieniem i przyciągnął do siebie.

W szpitalu był ostry dyżur. Bezmyślnie przemierzałam się korytarzem. Zanotowałam wysokiego pielęgniarza pochylającego się nad komputerem oraz napięte ramiona Masona, gdy wskazywał mi salę, gdzie leżał Ben. Widziałam paskudne żółte ściany i wielką białą tablicę z nabazgranymi nazwiskami pacjentów i numerami łóżek. Mason poszedł szukać mamy.

Nie byłam gotowa na widok Bena.

Zatrzymałam się przed oliwkowo-zieloną zasłoną zaciągniętą wokół jego łóżka. Śmierdziało lekarstwami, sztuczną czystością i chorobą. Zza zasłony dobiegały piknięcia maszyny monitorującej pracę serca. Wysłuchałam piętnastu, zanim do pokoju weszła pielęgniarka i delikatnie dotknęła mojej ręki.

– Wszystko dobrze?

Wykonałam niesprecyzowany ruch głową, który ona potraktowała jako potwierdzenie. Myliła się.

Odetchnęłam głęboko i wypuściłam powietrze przez nos, a potem zrobiłam krok naprzód i odsunęłam zasłonę.

Z trudem stałam na nogach.

Szczuplutkie ciało Bena leżało bezwładnie na łóżku. Wyglądał jak połamana zabawka; kończyny miał ułożone krzywo, jakby spadł na to łóżko z dziesiątego piętra.

Jego skóra błyszczała na tle jasnobłękitnej szpitalnej piżamy. Wyglądał jak manekin. Usta miał uchylone, widać było, że jest nieprzytomny. Oddychał z trudem. Powietrze w drodze do płuc wydawało przeciągły, rżący odgłos.

– Ben? – szepnęłam. A przynajmniej zamierzałam, bo tylko poruszyłam ustami, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk.

Wszystko wokół rysowało się nieznośnie wyraźnie. Jakby ktoś zrobił zdjęcie obiektywem wyostrzającym szczegóły: każdy odcisk palca na ramie łóżka, smugę na podłodze i pyłek na okiennej szybie. Gdyby nie Ben, uznałabym to za boleśnie cudowne doznanie.

Wsadziłam sobie dłonie pod pachy, żeby powstrzymać drżenie, zbliżyłam się do łóżka i powtórzyłam:

– Ben? Słyszysz mnie?

Nawet nie drgnął. Słyszałam tylko ten ciężki oddech.

– Wiesz co? Nie miałaś racji – poinformowałam go mimo wszystko. – Pływanie to nie jest twoje Coś. I nigdy nie było. W każdym razie nie do końca. Ty nie masz jednego Cosia, tylko dużo. Składają się w coś wielkiego i dowodzą, jaki jesteś zdolny, silny i inteligentny. – Popatrzyłam w sufit i zamrugałam kilka razy, żeby osuszyć łzy. – Twoje Coś, to ostrożne kroki stawiane tak, żeby nikogo ani niczego nie skrzywdzić. – Głos strasznie mi się łamał. Otarłam łzę płynącą po policzku. – Zauważasz, co jest dobre i robisz to. Na przykład pływanie. Pływasz, bo chcesz wszystkim pokazać, że można nawet w takim stanie. Mamy wybór bez względu na okoliczności.

Dużo myślałam o moim Cosiu. Tak naprawdę Ben mnie o niego nie pytał, tylko o komunikację ze światem. A ja mu nie umiałam odpowiedzieć, bo sunęłam przez życie jak lodołamacz, poruszając się zbyt pośpiesznie, nerwowo i... na ślepo. Nie wyodrębniałam wartościowych rzeczy.

Osunęłam się na krzesło przy łóżku. Ben otworzył oczy i spojrzął.

– Thera – wysapał. Mówił słabym głosem, zachrypniętym. Wszystko w nim brzmiało nie tak. Nie mogłam się powstrzymać od skojarzenia z pieskiem, którego Mason zabrał z ulicy. W jego oddechu też słyszałam ciche echo śmierci.

Otarłam ręce w spodenki.

– Cześć, młody. – Staralam się brzmieć zupełnie normalnie, ale moje słowa mogły się równie dobrze wydobywać z cudzych ust.

– Chodź bliżej – poprosił. Chce, żebyśmy go przytuliła, pomyślałam. Ale

chciał mi zdradzić tajemnicę. – Podśluchałem mamę, jak rozmawiała z lekarzem. Mogę tego nie przeżyć. – Opadłam na krzesło i wszystko we mnie krzyczało. Na chwilę zamknął oczy, myślałam, że zasnął, ale po chwili kontynuował: – Ale jak dla mnie to sranie w banię.

– Nie przeklinaj – upomniałam go jak zawsze. Tyle, że dzisiaj czułam się, jakby po mnie przejechał pociąg towarowy.

Jak zwykle mnie olał. Otworzył jednak oczy i zmarszczył brwi.

– Nie czuję, jakbym umierał – wyszeptał w końcu. – Wydaje mi się tylko, że się rozmywam.

Zaczęłam coś mamrotać. Broda mi się trzęsa tak strasznie, jakbym za chwilę miała wpaść w histerię.

– Ben, ja...

Wypuścił powietrze i twarz mi owionął jego gorący, lepki oddech. Siedziałam jak sparaliżowana. Cichutko, jakby przez sen, ogłosił:

– Mówię na wypadek, gdybym umarł. Pozwalam ci się spotykać z Masonem. Widzę, że on cię lubi. Jak jesteś w pobliżu, śmieją mu się oczy.

Stałam z policzka kolejną łzę.

– To bardzo szlachetne z twojej strony – próbowałam żartować, ale już mnie nie słyszał. Stracił przytomność.

Nigdy nie byłam jakoś wyjątkowo religijna, ale jeśli miał nadejść w moim życiu czas sięgnięcia do sfery duchowej, to właśnie nadszedł. Byłam zdesperowana. Zdecydowanie podeszłam do biurka w recepcji i spytałam, jak trafić do szpitalnej kaplicy.

Widziałam każdy swój krok. Weszłam na górę, a potem szłam wyłożonym białymi płytkami korytarzem i starałam się nie zwracać na nic uwagi. Przez siedem i pół miesiąca odzyskanie wzroku było moim największym marzeniem. Przypominało śwędzący bąbel, który drapałam i drapałam, aż zalał krwią całe moje życie. W tej jednak chwili jego odzyskanie straciło znaczenie. Było przekleństwem, nie błogosławieństwem.

Położyłam dłoń na drzwiach do kaplicy i zamknęłam oczy. W tym znajomym

półmroku zatrzymałam się, żeby opanować oddech. Popchnęłam drzwi i weszłam do środka. Czulałam zapach płynu do prania dywanów, woskowych świec i zdruzgotanych marzeń. Przesunęłam grzbietem dłoni po oczach i otworzyłam je. Miejsce wyglądało jak zminiaturyzowany kościół; zbyt idealne, żeby było prawdziwe.

Gdy stałam tu sama, w ciszy, poczułam onieśmienie. Zagryzłam wargę i kilka razy z rzędu przenosiłam ciężar z nogi na nogę, niepewna, co robić. Czy to moje miejsce? Na pewno? Przecież Szefa Szefów z Górnego Piętra nie oszukam. On mnie dobrze zna. Prawdę mówiąc dziwiłam się, że kaplica nie stanęła w płomieniach, gdy tylko postawiłam w niej stopę.

Zrobiłam kilka kroków, usiadłam w ostatniej ławce i schowałam twarz w dłoniach. Mój szloch odbijał się echem. Czulałam przeszłość, która mnie ściagała i w końcu dopadła. Gdyby Ben teraz siedział obok mnie, powiedziałaby: „Wiesz, Thera, kościół to chyba nie jest twoje Coś”.

Starłam łzę dopiero na brodzie i stłumiłam szloch. Doświadczyłam w życiu bólu. Naprawdę wiele razy. Ale nigdy dotąd nie bolało tak bardzo.

Kilka miesięcy temu, kiedy dziadek zawiózł mnie na ostry dyżur, a głowę rozrywało mi zapalenie opon mózgowych, pielęgniarka spytała, czy mi podać coś przeciwbólowego. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. W końcu byłam twardzielką, tak? Nazywałam się Sanders. Kobiety o tym nazwisku traciły oddech, łamały kości, ale za wszelką cenę śmiały się bólowi w twarz. Więc powiedziałam, że nie trzeba. I było to wstrętne kłamstwo.

Ale przedtem to było nic. Coś jak zacięcie się papierem. Odcisk na palcu.

Teraz przeżywałam agonię.

Byłam otwartą raną.

Nie mogłam się pozbyć widoku twarzy Bena. Nie mogłam przestać się obwiniać o to, co go spotkało. Nie mogłam się ruszać. Ani oddychać. Ogarnęło mnie takie przerażenie, jakbym została wciągnięta w mroczny zaułek i ktoś mi przystawił nóż do gardła.

Zamknęłam oczy i zaczęłam się modlić. A właściwie błagać. Siedziałam tam pewnie z pół godziny, gdy otworzyły się drzwi i rozległy się głośne kroki Masona idącego w swoich ciężkich butach. W milczeniu usiadł obok mnie.

Nie spojrzeliśmy na siebie.

41

Do północy stan Bena się nie zmienił, więc Mason odwiózł mnie do domu, żebym się przespała. Gdy wtoczyłam się do środka, mama aż wykrzyknęła, a tata, wściekły, spytał:

– Mieliśmy właśnie dzwonić na policję. Gdzie ty byłaś?!

Zmęczonym ruchem przeczesalam włosy. Przez cały dzień ani razu nie pomyślałam o rodzicach. Nawet mi nie wpadło do głowy, żeby do nich zadzwonić, po tym, jak mi padł telefon.

– Przepraszam. Rano przyjechał po mnie przyjaciel i...

– Wiesz, co robił dzisiaj twój ojciec? – spytała mama drżącym głosem. – Jeździł po ulicach i cię szukał. Wystarczyło zadzwonić!

Nie miałam na to siły.

– Telefon mi padł i...

– Oczywiście. Telefon ci padł. – Mama nie dała mi szansy na wyjaśnienia. Zezłościłam się.

– A chcesz wiedzieć, co ja dzisiaj robiłam? – wyszczałam. – Byłam w szpitalu! Ben Milton umiera. Umiera! Tak, wyszłam na cały dzień. Zapomniałam dać wam znać. – Wiedziałam, że w tym miejscu powinnam dać sobie spokój, bo wkraczam na niebezpieczne terytorium, ale brnęłam. Głośno i oskarżycielsko dodałam: – Dziwię się, że w ogóle zauważyliście moją nieobecność.

– Zauważyliśmy, zauważyliśmy! – odszczeknęła mama. – Zawsze cię pilnujemy.

– Nawet ty, mamó? – spytałam ostro. – Naprawdę? – Czułam napływające

do oczu łzy. Miałam w sobie tyle bólu i żalu, nie dawałam rady dłużej ich tłumić. Rozpłakałam się i wypowiedziałam na głos to, co mnie zżerało od miesięcy: – A jak leżałam w szpitalu? Wtedy też mnie pilnowałaś? – krzyknęłam. Oddychałam z trudem i chrapliwie. Skupiłam się, żeby następne słowa zabrzmiały zdecydowanie i oskarżycielsko, ale wyszedł tylko żaloszny, zasmarkany szloch. – Jaka matka tak robi? Jaka matka wyjeżdża, kiedy jej dziecko walczy o życie?

Przez kilka sekund słyhać było jedynie szum klimatyzacji. Potem usłyszałam zaszokowany szept mamy:

– Skąd o tym wiesz?

– Boże, mamó, a co to ma do rzeczy?! – spytałam i starałam łzy z policzków. Przytrzymałam się ściany, a potem zdjęłam japonki i rzuciłam je na podłogę. Następnie obróciłam się na pięcie i ruszyłam do schodów.

Tata coś wykrzyknął w ramach protestu, a mama złapała mnie za rękę. Jej wściekłość wypełniała pokój aż do sufitu.

– Nigdzie nie pójdziesz, młoda damo – rzuciła, a po jej głosie poznałam, że posunęłam się za daleko. Potknęłam się o jakąś niewidzialną granicę i doprowadziłam ją do furii. Stanowczo i bardzo wyraźnie poinformowała mnie: – I nie wyjdiesz z tego domu. Ani jutro, ani pojutrze, ani nawet popojutrze.

Wyrwałam jej rękę.

– Chyba żartujesz! – Pokręciłam głową. – Dasz mi szlaban, bo spędziłam dzień w szpitalu u umierającego dziesięciolatka?! – Roześmiałam się, choć w ogóle nie było mi do śmiechu. – Świetnie! Wreszcie znaleźliście coś, na czym mi zależy. Coś, co możecie mi zabrać.

– Daj spokój – parsknął tata.

Odwróciłam się teraz do niego.

– Nie, nie dam spokoju. Taka jest prawda i dobrze o tym wiecie. Nie mieliście dotąd sposobu, żeby mnie ukarać.

– Naszą rolą – wtrąciła ostro mama – jako twoich rodziców jest chronienie cię przed samą sobą. I to właśnie robimy. Musisz nad sobą popracować. Żyć dalej. Rozwiązywać problemy, zamiast roztkliwiać się nad chorym dzieckiem.

Zaśmiałam się cynicznie.

– Ty mi mówisz o życiu? – Podniosłam ręce, jakbym oznajmiała, że się poddam. I w jakiś sposób tak właśnie było. Może oni też się poddali, bo nic nie powiedzieli, kiedy ruszyłam na górę i trzasnęłam drzwiami do swojego pokoju.

Gdy tego wieczoru położyłam się do łóżka, czułam się, jakbym popełniła kilka niewybaczalnych grzechów. Pragnęłam wczłogać się pod prysznic i szorować się aż do zderzenia skóry, zmyć wspomnienia, ból i wyrządzone krzywdy, ale byłam zbyt zmęczona, więc padłam i odpłynęłam w głęboki sen bez snów. To błogosławieństwo, kiedy człowiek potrzebuje ochrony przed myślami. Następnego dnia rano obudziłam się ubrana w napełnionej wannie. Czyli znów lunatykowałam.

Wytarłam się i zeszłam do pralni. Oparłam się o suszarkę, w której podskakiwały ciężkie od wody ubrania i zastanawiałam się, czy jest sens wracać do łóżka. Wiedziałam, że i tak nie zasnę. Miałam wrażenie, jakbym o dwie godziny za wcześnie przyjechała do dentysty i nie miała nic innego do roboty, jak tylko usiąść na jednym z niewygodnych krzeseł obitych sztuczną skórą i czekać na leczenie kanałowe.

Wróciłam do pokoju przed wstaniem rodziców. Wolałam na nich nie wpaść i nie słyszeć. A już na pewno nie chciałam myśleć, co im nagadałam.

Następne trzy dni spędziłam w moim pokoju na zmianę z piwnicą. Unikałam rodziców i bez przerwy grałam moją piosenkę, aż otarłam palce. Nosiałam przy sobie telefon, bo czekałam na wieści od Masona.

Pierwszego dnia: lekarze amputowali Benowi nogę.

Drugiego dnia: skoczyła mu gorączka.

Trzeciego dnia: z laboratorium nie wróciły jeszcze wyniki badań, mające określić, jak bardzo zaawansowany i rozprzestrzeniony jest nowotwór.

Czwartego dnia: Bena przewieziono do innego szpitala.

– Dlaczego go przenoszą? – spytałam, gdy tylko Mason mi o tym powiedział. Poderwałam się i usiadłam sztywno na brzegu łóżka.

– Nie wiem. – Usłyszałam w tle trzaśnięcie drzwiczek. – Wchodzę do środka, więc jakbym nagle zniknął, to straciłem zasięg. – Westchnął ciężko i przez kilka dłuższych chwil nic nie mówił. Słyszałam odgłos buciorów na płytkach. – Nie powinni go prznosić w takim stanie. Jak mogą? Słaby, chory, żyjący ostatkiem sił, a oni go wsadzili...

W moim uchu rozległy się trzaski.

– Mason? Jesteś tam?

Cisza.

Czyli jest poza zasięgiem.

Nacisnęłam guzik kończący rozmowę. Nie mogłam przestać myśleć o jego ostatnich słowach. Ben był w złym stanie.

I to wszystko przeze mnie.

Rzuciłam się na łóżko, zwinęłam w kłębek i pozwoliłam poczuciu winy wydostać się na wierzch. Huragany wielotygodniowych wyrzutów sumienia uderzyły we mnie falami mdłości, żalu i wstydu. Przecież wiedziałam, że coś jest nie tak, widzę Bena na pewno nie bez powodu, ale nie zatroszczyłam się o rozwiązanie tej zagadki.

Nawet nie próbowałam.

Odpuściłam, tak samo jak przyjaciół, lekcje gry na pianinie, w zasadzie wszystko, co wymagało wysiłku. Robiłam to z lenistwa i dlatego jestem marna. Świadomość tego przygniotła mnie jak głaz i prawie nie mogłam oddychać.

Widziałam w wyobraźni bladą, plastikową buzię Bena, który pochylał się nad moim łóżkiem i pytał: „Nie byłem wart starań?”.

Brakowało mi tchu, więc się poderwałam i ruszyłam przez pokój do okna. Szamotałam się z roletą, aż spadła, ale potem otworzyłam i zaczerpnęłam haust powietrza. Wieczór był chłodny i wietrzny. Nad głową miałam miliardy gwiazd, wirujących na podniebnej karuzeli. Może gdybym je teraz widziała, nie czułabym się taka zapomniana i samotna. Zamknęłam oczy i chciałam przywołać tamto doznanie z plaży. Nie mogłam. Idealne chwile nie wracają. Pozostają tylko wspomnienia. Usiadłam ciężko na parapecie i uspokoiłam oddech. Potrzebowałam przyjaciela.

Wyjęłam z kieszeni telefon i zrobiłam to, na co się nie zdecydowałam, odkąd straciłam wzrok: poprosiłam o pomoc.

Ben walczył o życie, ja całe dni unikałam rodziców, w ciągu ostatniego tygodnia przespałam może piętnaście minut, a teraz siedziałam z Clarissą przy kuchennym blacie. Przed nami leżało kilkanaście babeczek. Świat był mroczny, groźny i ogarnięty wichurą, ale mnie aktualnie chroniła zbroja z lukru, masła i czekolady.

Nigdy nie zadzwoniłam do Clarissy z innego powodu, niż nasza praca wakacyjna albo rozmowy o Loose Cannons, więc bardzo dziwnie się czułam, robiąc to dzisiaj. Kiedy uzyskałam połączenie, prawie się rozłączyłam, ale wtedy mnie oświeciło: moje życie okazało się taką katastrofą, bo wycofywałam się ze wszystkiego, co nieprzyjemne albo trudne. Odetchnęłam głęboko i zaprosiłam ją do siebie.

– Bardzo chętnie! – zawołała do słuchawki. – Nie mam żadnych planów. Babeczki! Przyniosę je, żeby nasze mózgi miały się czym pożywić. – Na chwilę zamilkła. – Hmm... Bo rozumiem, że mamy kończyć naszą pracę?

– Nie do końca. Tylko moi rodzice mają tak myśleć, bo mam szlaban.

– Aha. Co się stało?

Chętnie ją wtajemniczyłam. Wyrzuciłam to z siebie w formie niespójnej, przerywanej co chwila relacji. No, nie wszystko. Gdybym jej powiedziała, w jakich okolicznościach odzyskuję wzrok, pomyślałaby, że zwariowałam. Ograniczyłam się do tego, co miało znaczenie: choroby Bena, głównianej relacji z rodzicami i popsutych przyjaźni.

A teraz, jak już siedziałam nad tymi babeczkami, z niedowierzaniem stwierdziłam, że mi trochę lepiej. Jakbym zaczęła oddychać świeższym

powietrzem. Prawie udało mi się zapomnieć o ciężącej w tylnej kieszeni spodni komórce.

Prawie.

Ale Clarissie naprawdę dobrze szło odwracanie mojej uwagi.

– Masz, spróbuj tej – zawołała z pełnymi ustami i wcisnęła mi do ręki babeczkę. – Brownie z kremem serowym. Wiatr w skrzydłach każdej uziemionej dziewczyny.

– Clarisso? – spytałam groźnie, dotykając palcem brzegów babeczki. – Czy ty odgryzłaś kawałek, a dopiero potem mi ją dałaś?

– Podobno pierwszy kęs jest najlepszy. – Tak brzmiała odpowiedź. – Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek ileś tam procent przyjemności z jedzenia zawiera się w pierwszym kęsie. Później jest już tylko jedzenie, nie rozkoszowanie się. Super, nie? Dokładnie tak jest! – Uderzyła rękami w blat. – W związku z tym: tak. Odgryzę kawałek każdej babeczki, jaka tutaj leży, a potem ci ją dam. I będę się rozkoszować, a ty będziesz...

– Zjadać resztki – dokończyłam za nią.

Parsknęła i klepnęła mnie w ramię.

– Najlepsze resztki na świecie.

Roześmiałam się. Miała rację.

Przez jakąś minutę czy dwie jadłyśmy w milczeniu. W ciszy odnajdywałam coś uspokajającego. My dwie, nurzające się w powodzi cukru, podczas gdy zły świat kręcił się gdzieś na zewnątrz.

Podawała mi kolejne nadgryzione ciastko.

– No więc mówisz, że Mason Milton, tak?

Zatkało mnie.

Odchrząknęłam, musiałam zapanować nad głosem.

– To brat Bena. Ale tak, Mason Milton. – Wpakowałam do ust całą babeczkę, żeby nic nie dodawać.

– Hmm... – odparła po chwili, a ja się skrzywiłam, jakby ktoś mi wrzucił szyszkę za gumkę spodenek. – Mówisz o nim tak, jakbyś go bardzo lubiła.

Przełknęłam ślinę i już otworzyłam usta, żeby skłamać, ale się opamiętałam:

– Bo lubię – przyznałam, zaskakując nawet samą siebie. Po raz pierwszy

przyznałam to na głos i od razu poczułam ulgę, jakby zdjęto mi z piersi jakiś ciężar.

– Więc może powinnaś to jakoś okazać?

Parsknęłam i zgarnęłam z babeczki trochę lukru.

– On ma dziewczynę – stwierdziłam, oblizując palec.

Modelkę.

Z Nowego Jorku.

Którą z założenia gardziłam.

– Tym bardziej! – zagruchała Clarissa. – Niech wie, że traci czas z jakąś lafiryndą!

Roześmiałam się. Clarissa zaczynała mi się naprawdę podobać.

– Może tak zrobię. A co u ciebie? Coś nowego w sprawie Chłopaka od Kawy Mrożonej?

Chwilę milczała.

– Rozmawiałam z nim. Tak wiesz, na serio.

– I???

Zbyt głośno i z wymuszoną lekkością odpowiedziała:

– Okazało się, że ma dwadzieścia dziewięć lat. I żonę.

– Boże!

– Prawda? No, ale nic nie szkodzi, naprawdę. Nie pierwszy raz podejmuję złą decyzję na podstawie błędnych wysłanek.

– Przesłanek! – zaśmiałam się.

– No tak. Przecież tak powiedziałam, nie? No w każdym razie... Po prostu... Czasem znacznie łatwiej by było, gdybym widziała. Chociaż trochę. Albo... – Zamyśliła się, a potem dodała głośno: – Albo gdybym zobaczyła wszystko, chociaż jeden raz. I na zawsze zapamiętała, jakie jest piękne. Żeby w ogóle wiedziała, jak jest! Rozumiesz?

Przez cały czas wydawało mi się, że jej się żyje znacznie łatwiej. Ale przecież nigdy nie widziała żadnego koloru, drzewa ani nawet własnej twarzy. A jednak była szczęśliwa. Czasem dość histerycznie, przyznaję, ale jednak szczęśliwa.

– Rozumiem – szepnęłam. – Chciałabyś mieć swojego gryza babeczki.

Westchnęła.

– Dokładnie.

W tym właśnie momencie zawibrowała mi w tylnej kieszeni komórka, obijając się o krzesło z odgłosem serii z karabinu maszynowego.

– To twój telefon? – spytała Clarissa.

Przełknęłam ślinę.

– Tak. – Wyjęłam go z kieszeni. Drżał mi w ręce.

– Nie zamierzasz odebrać?

Zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech i wypuściłam powietrze z płuc.

– Odbiorę, oczywiście. – Wcisnęłam odpowiedni przycisk i wyskrzeczając pełne przerażenia „halo”.

Odezwał się damski głos, obcy i nieprzyjazny.

– Czy to Maggie Sanders?

W piersi ścisnął mnie strach, gęsty, lodowaty i nieprzemijający.

– Tak – odparłam na przydechu.

– Dzwonię ze szpitala Saint Jude w imieniu rodziny Miltonów. Jest tu pani natychmiast potrzebna.

43

Cały mój świat sprowadził się do guli w gardle.

– Czy coś się stało? – wyszeptałam, prawie nie poruszając ustami.

Zapadła cisza. W końcu kobieta odparła:

– Przykro mi, ale ponieważ nie jest pani członkiem rodziny, nie wolno mi udzielić żadnych informacji. Przekażę rodzinie, że otrzymała pani ich wiadomość. Do widzenia.

– Proszę poczekać! – krzyknęłam. – Czy z Benem Miltonem wszystko dobrze?

Cisza.

– Halo?!

Rozłączyła się.

Miałam lodowate dłonie i nie byłam w stanie rozluźnić zaciśniętych na telefonie palców. Mijały sekundy. Wiedziałam, że muszę się skupić, zrobić coś, ale w głowie dzwoniły mi tylko jej zwięzłe słowa, odbijające się wewnątrz czaszki złowrogim echem. W końcu zmusiłam palce do współpracy i odszukałam w komórce telefon Masona, ale przerzuciło mnie od razu do poczty głosowej.

Powoli i bardzo wyraźnie poinformowałam Clarissę:

– Musimy jechać do Saint Jude.

– Saint Jude – powtórzyła niepewnie.

Uklękałam na podłodze i jak wariatka macałam wkoło rękami w poszukiwaniu butów.

– To szpital.

– A, tak. Tak myślałam. Chyba tata coś o nim mówił. Zawsze, jak jadę autobusem...

– Zadzwońisz do niego? Do taty? Może mógłby nas podwieźć?

– Dzisiaj operuje. – Nie poznawałam jej głosu. Był beznamienny i oficjalny.
– Nie możesz zadzwonić do rodziców?

– Nie – zaprzeczyłam szybko. W końcu znalazłam jeden but, ale czołgałam się dalej w poszukiwaniu drugiego. W którymś momencie wyrznęłam głową w szafkę. – Mam areszt domowy, pamiętasz?

– A dziadek?

– Wyjechał na wyścigi konne.

– No tak. – Nadal ten sam nieznan mi ton. – No to pojedziemy autobusem. Mieszkasz w Bedford Estates, prawda? Wiesz, jak się dostać do przystanku przy Sycamore? Siódemka jeździ tędy co dwadzieścia minut.

Jak byłam mała, grałam w piłkę w parku przy Sycamore. Widziałam ten przystanek tysiące razy. To dwie ulice od mojego domu.

– Tak, trafię tam – zapewniłam i znalazłam drugi but. Podniosłam się i włożyłam.

– Dobrze. Jestem prawie pewna, że siódemka zatrzymuje się przy Saint Jude.

– Prawie?

Przełknęła ślinę.

– Słyszałam, jak kierowca wykrzykuje tę nazwę, a chyba nie może być dwóch takich samych przystanków, nie?

– Idziemy. – Starłam się zapanować nad przerażeniem i skupić na krokach. Na wyjściu z domu, przejściu przez podjazd, trafieniu na chodnik, przekroczeniu pierwszego skrzyżowania i skręceniu w Sycamore.

Na przystanku panowała niepokojąca cisza. Stałam na samym skraju krawężnika i nadstawiłam ucha, żeby usłyszeć nadjeżdżający autobus choćby z oddali. Jednocześnie raz za razem wybierałam numer Masona.

Poczta głosowa. Poczta głosowa. Poczta głosowa. Poczta głosowa.

Wepchnęłam telefon do kieszeni i przycisnęłam okrągły guzik na tarczy zegarka. Piętnaście po czwartej.

Ben, trzymaj się!

– Skąd wiesz, że siódemka tędy przejeżdża?

– Z zajęć przystosowawczych dla niewidomych. Miałam tu mnóstwo lekcji.

Czekaj. Chyba jedzie.

Hamulce zapiszczały tuż obok. Clarissa złapała mnie za rękę i pociągnęła wzdłuż autobusu, prawdopodobnie szukając drzwi. Nagle się zatrzymała i spytała kogoś:

– Przepraszam, to siódemka, tak?

Burkliwy głos wygłosił coś w stylu potwierdzenia, więc wciągnęła mnie do środka, zapłaciła kierowcy i zręcznie ruszyła na tył autobusu, co jakiś czas przepaszając innych pasażerów. Szukała dwóch wolnych miejsc.

Co by nie mówić o Clarissie, wiedziała, co robi.

– Jak się tego nauczyłaś? – spytałam, gdy już usiadłyśmy.

Czułam, jak nerwowo podskakuje jej noga.

– Instruktorcka pokazała mi podstawy. Ale one niewiele dają. Jak już zaczęłam się poruszać samodzielnie, uczyłam się, popełniając miliony błędów.

– Wrócił jej szaleńczy, trajkoczący ton, przynajmniej częściowo, i odetchnęłam z ulgą. – Wsiadałam w nie taki autobus, parę razy poszłam w złą stronę, co jakiś czas robiłam z siebie idiotkę, ale w końcu zaczęłam ogarniać.

Normalnie, jak to w życiu.

Jak w życiu.

Głośno westchnęłam. Też mogłabym poruszać się samodzielnie, gdybym choć odrobinę się wysiliła. Ale ja się spalałam na wojowaniu z Hildą i wypieraniu faktu, że jestem niewidoma.

Tak jakby to było najgorsze ze wszystkiego.

Potałam czoło. Już nie mogłam stać jak kołek i pozwalać, żeby wszystko po mnie spływało. Miałam teraz ludzi, którzy na mnie liczyli. Rzeczy do zrobienia. Życie do przeżycia.

Autobus się zatrzymał i drzwi się otworzyły.

– Merriweather Mall! – rozwlekłe zawołał kierowca. Mijał mnie sznurek pasażerów zmierzających do drzwi. Otarłam pot z czoła i sprawdziłam godzinę. Za piętnaście trzecia.

Czas zaczął płynąć za szybko.

– Niedługo dojedziemy – zapewniła Clarissa.

– Fajnie – mruknęłam. Splotłam ręce i położyłam na kolanach. W głowie nie grała mi żadna muzyka, więc nie miałam czym ich zająć.

– Civic Center! – krzyknął kierowca, zwalniając po raz kolejny. Obok mnie przemknął ktoś pachnący kwiatowymi perfumami. Drzwi się zamknęły, ale jeszcze przez nieznośnie długą chwilę staliśmy bez ruchu. Zacisnęłam rękę na lasce.

Ben, wytrzymaj!

Ta myśl był już bardzo słaba, brzmiała jak pełen poczucia winy szept. Sięgnęłam do kieszeni i wyłączyłam telefon, bo nagle się przeraziłam, że Mason zadzwoni i powie, że już nie muszę się śpieszyć.

– Saint Jude! – Jeszcze nie skończył mówić, a ja się już zerwałam na równe nogi i podbiegłam do drzwi. Clarissa wołała za mną, ale zbiegłam ze schodków i poleciałam przed siebie, zostawiając ją samą.

Nie widziałam szpitala, ale szłam. Zaczepiłam przechodnia, błagając, żeby pomógł mi znaleźć wejście. Jak już się znalazłam w środku, rozglądałam się nerwowo, licząc na choć minimalny powrót wzroku.

Ale nic nie widziałam.

– Mogę jakoś pomóc? – usłyszałam gdzieś przed sobą uprzejmy, damski głos.

Szłam w jego kierunku, aż boleśnie trafiłam na kontuar.

– Szukam pokoju Bena Milтона – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

– Słucham?

Oparłam się o blat i nachyliłam.

– Szukam... – zamilkłam, żeby zaczerpnąć tchu i jakoś się uspokoić – pokoju Bena Milтона.

– Zaraz sprawdzę. – Przez chwilę słyszałam tylko uderzanie w klawisze. – Pierwsze piętro, sala 102. Za recepcją prosto, drugie drzwi na lewo. Czy potrzebuje pani...

Ale mnie już nie było. Miałam wrażenie, że brnę przez głęboki, wilgotny piach. Wydawało mi się, że ludzie są wszędzie i snują się po korytarzu. Wpadałam na nich, przepraszałam i parłam naprzód. Lewą ręką trzymałam się ściany i szłam, a oczami wyobraźni widziałam Bena.

Ben, proszę cię, żyj.

To już nawet nie była myśl, tylko modlitwa.

Namacałam klamkę. Zatrzymałam się. Cofnęłam się niepewnie. Dotykałam ściany, aż trafiłam na plakietkę z numerem pokoju. Wyczułam pod palcami brajla. Sala 101.

Ben leżał w następnej. A ja nadal nic nie widziałam.

Jakieś kleszcze ścisnęły mi żołądek, pierś, serce. Nie mogłam oddychać, łzy mi płynęły po policzkach. Ruszyłam do przodu z ręką na ścianie, aż natknęłam się na kolejną klamkę i kolejną plakietkę.

Sala 102.

Zastygam w bezruchu. Za drzwiami ktoś płakał. To pani Milton. Jej stłumiony szloch wydostawał się na korytarz i mnie osaczał.

Beznadziejnie wielkie uczucie dopadło mnie tak szybko i tak boleśnie, jak jeszcze nigdy. Zapadałam się pod jego ciężarem. Laska wypadła mi na podłogę i gdzieś się potoczyła. Słyszałam, jak dzwoni na posadzce. Stałam bez ruchu, pogrążona w nicości. Wydawało mi się, że coś mnie przygniata i wysysa powietrze z płuc. Coś ogromnego i nie do ruszenia.

Ben umarł.

Ugięły się przede mną kolana i upadłam na podłogę.

Nie...

Wkładałam w tę myśl całe przekonanie, byle tylko stała się prawdą. Ben nie mógł umrzeć, bo wciąż czułam jego dobroć, uśmiech, wszystkie piękne rzeczy, które dla mnie zrobił. Czułam go.

Nie znajdowałam się w szpitalu, tylko w koszmarnym śnie. Za chwilę się obudzę, zwlokę z łóżka, wezmę prysznic, zjem śniadanie i poproszę dziadka, żeby mnie podrzucił do Bena. Ben będzie w domu i go zobaczę. Bo on żyje.

Nad moją głową rozbrzmiał głośnik, wzywający gdzieś radiologa.

– Nie – szepnęłam. Broda mi drżała, ścisnęła mi się krtań i znów zapanowało poczucie beznadziei. Objęłam się ramionami i kołysałam na szpitalnej podłodze. Gdyby mi została choć odrobina przytomności umysłu, wiedziałabym, że jestem w szoku. Nie mogłam zebrać myśli. Wymykały mi się, mroczne, śliskie, przejrzyste, wysmykiwały się z palców, zanim zdołałam je schwycić.

Usłyszałam kroki i podniosłam głowę. Łóżko na kółkach. Rozmowa. Przekomarzanki. Śmiech. Niepewnie wstałam, otarłam łzy i wpatrzyłam się w ciemność. Miałam w głowie tylko kilka słów i wszystkie należały do niecenzuralnych.

I wtedy usłyszałam głos.

Znajomy głos, który przywołał wspomnienia śmiechu, gier, doritosów i gwiazd.

– Thera?

Głos słaby i niewyraźny, ale jednak głos Bena.

Odetchnęłam jak pływak, który długo płynął pod powierzchnią i wynurzył się, żeby zaczerpnąć tchu. Ben żył???

Łóżko mnie minęło i wjechało do sali. Złapałam się klamki i stałam przez chwilę chwiejnie i z niedowierzaniem. Kręciło mi się w głowie. Słyszałam odgłosy szurania nogami i stękanie. Rozmowę. Śmiech. Pielęgniarki coś robiły. Przekładały Bena na jego łóżko? Po chwili mnie minęły, trajkocząc, zniknęły w głębi korytarza. Pani Milton mnie objęła.

– Czy to nie wspaniałe? – wypaliła

Ale nadal płakała.

To nie miało sensu.

Puściła mnie, głośno wydmuchała nos, a potem oznajmiła, że skoro Ben jest jeszcze oszołomiony, ona zejdzie do kawiarni szybko coś przekąsić.

Gdy echo kroków zamilkło, weszłam do sali i wpadłam na Masona. Stęknął zaskoczony. Złapałam się jego koszulki, żeby się nie przewrócić, i syknęłam:

– Co tu się, do diabła, dzieje?

– Pielęgniarka ci nie powiedziała? – spytał.

Zaczęłam wyrzucać z siebie słowa z prędkością karabinu i robiłam przerwy tylko na gwałtowne wdechy:

– Mówiła, że muszę przyjechać do szpitala, ale nie może powiedzieć, dlaczego, bo nie jestem członkiem rodziny, a do ciebie nie mogłam się dodzwonić, więc musiałam znaleźć przystanek autobusowy i jak już tutaj weszłam, wszędzie był tłum, a ja nic nie widziałam. Nic nie widzę, rozumiesz?

– Boże – westchnął. – Ty myślałaś... – Pozwolił mi się na nim wesprzeć. Zaklął pod nosem, a potem wyjaśnił: – Wiedziałem. Powinienem być wyjść i zadzwonić, zamiast prosić pielęgniarkę, ale mama mnie przekonała. Upierała się, że to najprostszy i najszybszy sposób, żeby cię tu ściągnąć na wspólne świętowanie.

Świętowanie?

– Ale, Mason, ja nic nie widzę!

– To szpital dla rekonwalescentów.

Wydawało mi się, że mówi w obcym języku.

– Dla rekonwalescentów?

– No tak. Ja też o tym nie wiedziałem, jak tu Bena przywieźli. – Westchnął głośno. – Odpoczął tutaj. Jeszcze przed nadejściem dobrych wieści zaczął naprawdę dochodzić do siebie.

– Dobrych wieści?

Teraz mówił rozmarzonym głosem, niemal jak zahipnotyzowany:

– Dzisiaj przysłyły wyniki badań laboratoryjnych. Chirurdzy usunęli cały guz. Robią jeszcze inne badania, teraz też wrócił z jakiegoś rezonansu. Trzeba pewnie będzie jeszcze trochę poczekać, ale aktualnie wszystko wygląda dobrze. Znacznie lepiej, niż się spodziewali. Zrobią mu chemioterapię i naświetlania, ale rokowania są pomyślne.

Nie mogłam w to uwierzyć. Jeszcze nie.

– Ale twoja mama płakała – szepnęłam.

– Bo mama to beksa – wytłumaczył. – Płacze ze smutku i z radości. Maggie? – powiedział mi prosto do ucha i nagle dotkliwie sobie uświadomiłam, że prawie na nim leżę. – Lekarz powiedział, że Ben ma siedemdziesiąt procent szans na przeżycie.

– A ja go nie widzę – dodałam półgłosem. Istniało tylko jedno wytłumaczenie tych dwóch faktów. Tak pozytywne, aż bałam się je rozważyć.

Coś mi zatrzepotało w sercu. Jakby nadzieja.

– Thera? – odezwał się z drugiego końca pokoju Ben. – Będziesz się wieszala cała usmarkana na moim bracie, czy przyjdiesz się może przywitać?

I ja, i Mason oddaliliśmy się od siebie z poczuciem winy. Zrobiłam kilka kroków, aż trafiłam na ramę łóżka.

– Cześć, Ben – przywitałam się jak mogłam najnormalniej, co chyba w ogóle mi nie wyszło. W moim mózgu tłukły się tylko dwa słowa: siedemdziesiąt procent.

Ale ja wiedziałam, jak jest naprawdę. Miał sto procent szans, bo go nie widziałam.

– Wyglądasz jak zwłoki, Thera – mruknął Ben z niezadowoleniem.

Roześmiałam się głośno. Zabrzmiało to trochę jak wykrzyknikowy śmiech

Bena, a trochę jak mój własny.

– Podejrzewam, że ty też, ale nie wiem, bo cię nie widzę.

Ben w milczeniu przetwarzał tę informację.

– Nie widzisz mnie?

Pokręciłam głową.

– W takim razie muszę cię zapewnić – oznajmił słabo, ale bardzo poważnie

– że jestem najprzystojniejszym gościem na tej sali.

45

Clarissa znalazła nas kilka minut później, kiedy Ben już zasnął. Mason odwiózł nas do domu. Ona wysiadła pierwsza. Gdy wyjeżdżaliśmy z jej podjazdu, położył dłoń na mojej. Czułam, co chce przekazać: „Przykro mi, że tak się dzisiaj zdenerwowałaś” i „Jesteś dla mnie ważna, zależy mi na tobie”.

– Jak się masz? – spytał delikatnie. Zataczał kciukiem małe kółka na mojej skórze.

– Dobrze – prawie krzyknęłam. Potem się opanowałam. – Z Benem wszystko w porządku, więc i ja czuję się lepiej. – Eufemizm stulecia. Nigdy w życiu nie doświadczyłam czegoś takiego, jak doznanie jego skóry na mojej. Chciał mnie po prostu wesprzeć i był miły? Pewnie tak.

Nieważne. Moje ciało było na skraju eksplozji.

– Wiesz, że nie będziesz już widziała?

Chciałam się zachnąć, ale zamilkłam. Miał rację. Jeśli nie będę specjalnie chodzić na oddziały intensywnej terapii albo do hospicjów – idea równie obrzydliwa, jak kusząca – mój wzrok jest w zasadzie wspomnieniem.

Nie dało się już ukryć, że jestem niewidoma.

Palec Masona się zatrzymał.

– Nie chciałem cię zmartwić – szepnął.

Nawet nie zwróciłam uwagi na łzy, ale faktycznie, płynęły mi po policzkach.

– Nie szkodzi. – Otarłam je. Oparłam głowę o szybę i westchnęłam.

Jedną z rzeczy, które lubiłam w Masonie, było to, że wiedział, kiedy mnie zostawić ze swoimi myślami, więc tylko przyciszył radio i resztę drogi

przebyliśmy w ciszy. Ja, z czołem przyciśniętym do chłodnej szyby i rozdierającą świadomością końca, dłoń Masona na mojej i muzyka. Gdy podjechaliśmy pod mój dom, niepewnie powiedział:

– Na podjeździe stoi radiowóz...

Ścisnęło mnie w żołądku:

– Nie uprzedziłam rodziców, że wychodzę – przypomniałam sobie. – Musieli wezwać policję.

Nawet nie chciałam myśleć, jakie mam kłopoty.

– To moja wina, że wyszłaś w takim pośpiechu – stwierdził niespokojnie. – Iść z tobą? Mogę wyjaśnić.

Ścisnęłam jego dłoń i odsunęłam się.

– Jesteś kochany, ale dzięki. Sprawa między mną a rodzicami to długa historia, nie chodzi tylko o dzisiaj. I to w żadnym stopniu nie jest twoja wina. – Otworzyłam drzwi i postawiłam na ziemi roztrzęsioną nogę. – Dawaj znać, co u Bena, dobra? Bo coś czuję, że dłuuuugo nie opuszczę domu.

Mason wycofał auto, a ja weszłam na schodki. Na chwilę się zatrzymałam, głęboko odetchnęłam i przekręciłam gałkę. Cicho zamknęłam za sobą drzwi, stanęłam bez ruchu i czekałam na wrzask.

Który się nie rozległ.

Zamiast tego usłyszałam głośne westchnienie i szept taty:

– Dzięki Bogu.

– Wróciła! – dodała mama drżącym głosem. I porwała mnie w objęcia. Czułam wszędzie jej sterczące kości. Przytulała mnie z całych sił i coś mamrotała, ale najwyraźniej nie do mnie. Szlochała albo się śmiała, nie wiem. – Nic jej nie jest – powtarzała raz za razem. W końcu się odsunęła, ale złapała mnie za nadgarstek, jakbym była balonem, który może uciec.

Chciałam, żeby na mnie nawrzeszczała. Przygotowałam się. Ale jedyne słowa padły z ust policjanta o dudniącym głosie. Zadał mi parę zdawkowych pytań: gdzie byłam, czy zostałam wyprowadzona z domu wbrew mojej woli, czy wszystko w porządku. Potem wyszedł.

I zostaliśmy tylko we troje.

Mama wciąż ścisnęła moją rękę.

Ten uścisk mnie przerażał.

Słyszałam, że tata idzie w moją stronę i staje przede mną.

– Maggie! – wysapał. – Tak się o ciebie martwiliśmy. Myśleliśmy, że... – Zamilkł i zaczął od nowa: – Dzwoniliśmy do ciebie, ale nie odbierałaś. Baliśmy się, że po tym wszystkim... – Znów urwał. – Uciekłaś. Zrobiłaś coś niebezpiecznego i jesteś ranna.

Rozpacz w jego głosie i mama ściskająca mnie za rękę, nagle wszystko do mnie dotarło.

– Myślałam, że Ben umiera, tato – wyjaśniłam. – Pojechałyśmy z Clarissą do szpitala autobusem.

– Pojechałaś autobusem? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Tato! – Nie poznawałam swojego głosu. Nigdy tak z sobą nie rozmawialiśmy. Osiągnęliśmy mistrzostwo w unikaniu konfrontacji. – Przejść dwie przecznice od domu i wsiąść do autobusu to żaden problem. Jeśli ty we mnie nie wierzysz... że mogę się samodzielnie poruszać, normalnie żyć... – Usiłowałam się wyrwać z uścisku mamy. – ...to jak ja mam w siebie wierzyć? Musisz mi pozwolić się uczyć.

Przełknął ślinę.

– Nie wiem, jak – przyznał. Nie brzmiał jak mój tata. Mówił jak ktoś stary, przygaszony i smutny. – Nie umiem stać z boku i patrzeć, jak dzieje ci się krzywda.

– Ale mnie krzywdzi właśnie twój strach o mnie. – Łzy zbierały mi się pod powiekami. Za dużo dzisiaj płakałam, ale nie dałabym rady bez niego wygłosić tych kilku następnych zdań. – To nadal jestem ja, Maggie. Chcę spędzać z tobą czas. W soboty rano chodzić z tobą na poszukiwanie płyt.

Westchnął ciężko.

– Po tym, jak... – Przerwał i zaczął od nowa. – Wiele razy próbowałem cię wyciągnąć, ale za każdym razem odmawiałaś. Pomyślałem, że takie wyprawy byłyby dla ciebie zbyt bolesne i przestałem proponować. Przepraszam, Mags. Nie powinienem był odpuszczać. – Położył mi ciężką dłoń na ramieniu, zsunął ją na łokieć i objął jedną ręką. Pachniał pieprzową wodą po goleniu, proszkiem do prania i potem. Otarłam łzy i zdumiałam się, jaka drobna i mała

jestem w jego objęciach. Jakbym miała tyle lat, co Ben. Może nawet mniej. Uścisnął mnie jeszcze raz.

Wtedy mama mocniej ścisnęła mnie za nadgarstek i odwróciłam się do niej.

– Mamo. – To jedno słowo zabrzmiało jak błaganie. Prawda była taka, że ona mnie przerażała.

Mijały sekundy.

– Maggie... – zaczęła w końcu. Prawie wpadła w histerię. Musiała odetchnąć, żeby kontynuować, ale jej słowa i tak były niewyraźne: – Miałaś rację, zostawiłam cię, kiedy leżałaś... – urwała i odetchnęła. Nie poruszyłam się, czekałam na nią. – Ty zawsze byłaś silna. Najsilniejsza dziewczyna, jaką znam. Nie mogłam się z tobą równać. Nie mogłam znieść, że leżysz w szpitalu, taka chora i słaba.

Pokiwałam głową, choć nie bardzo wiedziałam, czemu. Może po prostu chciałam ją zachęcić do mówienia. Narastał we mnie szloch, nie mogłam się odezwać. Czułam, że jeśli otworzę usta, przełamie mnie na pół.

– Miałam cholerne poczucie winy – odezwała się głośnie, bardziej zdecydowanie. – Gdybym tego ranka zawiozła cię do lekarza, zamiast jechać do pracy, pewnie nie leżałabyś w szpitalnym łóżku, walcząc o życie. Nie mogłam tego sobie poukładać, więc zostałam parę dni u siostry, żeby się jakoś ogarnąć. – Zamilkła i odetchnęła głęboko. – To było straszne z mojej strony. Potrzebowałam cię, a ja co? Uciekłam.

– Mogłaś mi po prostu powiedzieć – wyszeptałam drżącym głosem. – Wybaczyłabym ci.

– Wiem. Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś na tyle świadoma i zauważysz moją nieobecność. To brzmi jak wymówka... I tak chyba jest. – Westchnęła ciężko. Potem dodała: – Czekałam, że wstaniesz, otrzepiesz się i będziesz jeszcze silniejsza niż dotąd. W końcu jesteś Maggie! Twarda jak skała. I faktycznie, ruszyłaś naprzód, odkryłaś nowe sposoby na życie, zdobyłaś nowych przyjaciół. Jestem z ciebie dumna.

– A czy ty idziesz naprzód? – wykrztusiłam.

– Oczywiście... – zamilkła, odetchnęła głębiej i dopiero załapała. – Chodzi ci o piłkę, tak? Myślisz, że jestem rozczarowana, że nie możesz już grać?

Jasne, z przykrością patrzyłam, jak tracisz to wszystko, jak tracisz... To straszne...

Stałam bez ruchu i czekałam, aż to powie. Ale nie umiała, więc zrobiłam to za nią.

– Ślepa, mamo. Jestem ślepa.

Kiedy wypowiedziałam te słowa, dotarło do mnie. Tak właśnie jest.

I będzie.

Nie mogłam się czepiać ochłapów przeszłości, bo i terażniejszość wymknie mi się z rąk. Widziałam. To było cudowne, piękne i zdumiewające. Kochałam każdą minutę tamtego życia.

Ale ono się skończyło.

Świadomość tego walnęła tak mocno, że się ugięłam.

Złapała mnie, kiedy upadałam i razem osunęliśmy się na podłogę.

– Już dobrze. – Kołysała mnie jak dziecko. – Wszystko dobrze. Kochamy cię tak samo, jak wcześniej.

Poczułam, że daje mi zgodę na wyrzucenie z siebie poczucia winy, bólu i strachu, całego tego ciężaru. Przyłgnęłam do niej i szlochałam. Tłumiłam to w sobie przez ponad siedem miesięcy i byłam już zbyt wyczerpana. Gdy łzy obeschły, odetchnęłam głęboko. Potem wypuściłam powietrze, a wraz z nim to, co w sobie dusiłam.

46

Zaraz po wypisaniu ze szpitala Saint Jude Ben zaczął chemioterapię. Jego życie sprowadzało się teraz do leżenia plackiem albo wymiotowania.

W niedzielę, kilka tygodni po tym, jak zaczął leczenie, wtargnęłam do jego pokoju i bezceremonialnie rzuciłam na łóżko ciężki pakunek.

– Mam dla ciebie prezent.

Przez chwilę milczał i przetwarzał moje słowa. Potem ziewnął i kiepsko udając obojętność, upewnił się:

– Serio?

Usiadłam na skraju łóżka i postukałam w pakunek palcem.

– Serio, otwieraj.

Słyszałam, jak łóżko skrzypi, gdy się podnosił, a potem dobiegły mnie dźwięki entuzjastycznego rozrywania papieru. Głośno przełknął ślinę. Wpadłam w panikę, że będzie wymiotował. Nie wiedziałam, czy podstawić mu kosz na śmieci, czy uciekać, zanim sama się solidarnie porzygam. Ale potem odezwał się stłumionym szeptem:

– Tom Q!

Serce jednocześnie mi się ścisnęło i spuchło.

Wczoraj wstałam nieznośnie wcześnie, umyłam się i przez godzinę przedzierałam się przez lokalne strony z ogłoszeniami. Następnie wpadłam do sypialni rodziców i obudziłam tatę krzykiem:

– Piętnaście wyprzedaży garażowych. Piętnaście!

Czasem trzeba samemu zrobić pierwszy krok.

Z kubkami kawy jeździliśmy od jednego garażu do drugiego. Tak

spędziliśmy większość poranka. Gadając, włączając się i żartując. Nie było jak kiedyś, ale od czegoś trzeba zacząć. Tom encyklopedii z literą Q znalazłam w czternastym miejscu. Pod stołem leżał cały komplet i nigdy bym go nie zauważyła, gdyby laska mi się nie zaplątała w opakowanie.

– Thera! – odezwał się w końcu Ben od niechcienia, jakbyśmy się znali od wieków, a ja w regularnych odstępach czasu obdarowywała go takimi prezentami. – Przeczytać ci jakieś hasło?

Roześmiałam się głośno. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak strasznie chciałam posłuchać haseł zaczynających się na Q.

– Jasne, dawaj!

Gdy wychodziłam, prawie staranowałam Masona. W wyniku zamieszania w mojej szafie wyglądaliśmy dokładnie tak samo: džinsy i czarna koszulka. Zatrzymał się w korytarzu i cicho powiedział:

– Wyglądasz w tym zestawie o wiele lepiej niż ja. – Jego słowa spłynęły mi po kręgosłupie i wylądowały w okolicach kolan. Nie mogłam się pozbierać. Nawet godzinę później, gdy leżeliśmy na podłodze w salonie Miltonów i gadaliśmy o muzyce, nogi miałam jak z waty.

– Jakim cudem można dożyć siedemnastego roku życia i nie słyszeć ani jednej piosenki Operation Scarce? To niegodne Amerykanina!

– Mówiłem ci przecież, byłem wychowany w cieplarnianych warunkach. Wywróciłam oczami.

– Mam jeden kawałek w telefonie, możesz posłuchać.

– Wiesz, czego chcę posłuchać? – Słyszałam, że przewrócił się na bok, przodem do mnie. – Tej piosenki, którą grałaś na keyboardzie.

– O, nie. Nie, nie ma mowy! – zaprotestowałam ze śmiechem. – To po prostu dźwięki, jakie ostatnio chodziły mi po głowie, nic więcej.

– Zrób to dla mnie, Maggie, proszę. – Jego aksamitny głos mnie rozbrajał. Zamrugałam.

– No dobra.

Pozbierałam się i z ociąganiem podeszłam do pianina. Zagrałam tę piosenkę

już chyba z tysiąc razy i znałam ją na wylot, ale Mason był najprawdziwszym genialnym muzykiem, a ja tylko laską, która coś tam sobie brzdąkała. Niezdarnie usiadłam na ławce i złożyłam dłonie na kolanach. Stanął za mną, na tyle blisko, że czułam jego ciepło.

Nie poruszyłam się.

Pochylił się nade mną, podniósł moje ręce, najpierw jedną, potem drugą, i umieścił na klawiszach.

Wydało mi się to bardzo intymne.

Zamknęłam oczy i skupiłam się. Myśleć tylko o muzyce. Zaczęłam grać. Nie wiem dlaczego, ale grałam głośno. Słyszałam melodię jak w słuchawkach albo na koncercie, stojąc w pierwszym rzędzie przed wielkimi głośnikami. Prawie nie słyszałam Masona, jak zaczął śpiewać tamte słowa, które przeczytałam w jego pokoju. *Listopad*.

Przestałam grać.

– Śpiewasz do mojej muzyki – zauważyłam błyskotliwie.

Usiadł obok. Tak blisko, że kiedy się odezwał, słyszałam w jego głosie uśmiech.

– Śpiewam. Graj dalej.

– Dobra. Jasne. – Nie odpowiedział. Wiedziałam, że na mnie czeka. Zmusiłam ręce do działania. Przy trzecim dźwięku znów się włączył, jakoś w środku drugiego wersu. Znów ucichłam. – To dziwne.

Mason trochę się zawstydził.

– Powinienem był ci powiedzieć wcześniej. Nie mogę przestać myśleć o tej twojej melodii. Pasuje mi do tej piosenki. Mogłabyś grać dalej?

Moja muzyka. W jego głowie.

Ułożyłam ręce na klawiszach i przerobiliśmy resztę utworu. Ja się starałam dopasować do jego tempa, a on szukał mojego. Na koniec westchnął:

– Coś mi w tej piosence nie pasuje, ale nie mogę dojść, co.

– Rytm.

Czułam, że jest zaskoczony.

– Myślisz?

– Spróbuj metrum trzy czwarte, nie sześć ósmych. W słowach jest tyle pasji,

ale rytm jej nie oddaje.

– Myślisz, że jak złączymy nasze trzy czwarte, powstanie pasja? – spytał łagodnie.

Nadal mówiliśmy o muzyce...?

– Hmm. No tak.

– Dobra, spróbujmy.

Na moment zapadła cisza.

– No to dawaj – oznajmiłam trochę za głośno. Ułożyłam palce na klawiszach i cicho zakasłałam. – Trzy czwarte, tak?

Zamierzałam się trochę wycofać z muzyką i pozwolić mu, żeby mnie odszukał z tekstem, ale jak tylko wygrałam pierwszą nutę, olśniło mnie. Chcę przelać w tę piosenkę siebie. Mason wszedł na początku drugiego taktu i otaczał głosem każdą nutę. Piosenka rozwijała się powoli, falująco, idealnie, tak że nie miałam pewności, czy to my panujemy nad nią, czy ona nad nami. Zawarliśmy w niej nasze starania, sukcesy, straty... Wszystko, przez co przeszliśmy i każdą prawdę, jaką poznaliśmy,

W tej muzyce byliśmy my.

Wybrzmiała ostatnia nuta i odwróciliśmy się do siebie, a oddech Masona splótł się z moim. Powietrze między nami zrobiło się rozrzedzone i niepewne, a jednocześnie niewiarygodnie wyraźne.

– Jezu – szepnęłam. – To było...

– Pełne pasji – mruknął.

I nie wiem, jak to się stało, czy ja się nachyliłam do niego, czy on do mnie, ale nagle powietrze w ogóle zniknęło i zaczęliśmy się całować. Smakował morską solą i całkowitym oddaniem, a ja się martwiłam, że wejdzie pani Milton i nas zobaczy, ale poza tym czułam tylko jego, jego, jego! Ożyła jakaś szalona strona mnie, bo marzyłam, żeby mu przeczesać palcami włosy, dotknąć piersi, wsunąć dłonie pod koszulkę, a potem, Boże, on rozchylił usta i roztopiłam się w nicości. Mózg mi wybuchł, a potem złączył się z powrotem w całość tylko po to, żeby znów wybuchnąć. Odsunęliśmy się od siebie.

– O rany – wysapał.

– O rany – zgodziłam się. W każdym razie wydawało mi się, że coś takiego

powiedziałam. Na pewno poruszyłam ustami. Umysł miałam zajęty odgrywaniem tego, co się stało i analizowaniem moich umiejętności w zakresie całowania, co strasznie mnie zestresowało. Niespodziewanie nawet dla siebie samej, nagle wypaliłam: – Chodzisz jeszcze z Hannah Jorgensen? Tą modelką z Nowego Jorku? – Słyszałam w głowie głos, który nerwowo kazał mi się zamknąć, ale słowa wypłynęły, zanim zdołałam je powstrzymać. Co gorsza, na myśl o nim z inną dziewczyną zrobiło mi się strasznie smutno. Zamrugałam kilka razy. – Słyszałam, że się z nią spotykasz. Nie jestem laską, która robi takie rzeczy z zajęтым chłopakiem.

Po tym wreszcie zacisnęłam usta, żeby powstrzymać się od dalszego gadania.

On cicho parsknął.

– To jakaś plotka. Nawet nie znam Hannah Jorgensen.

– Tak?

– Tak. – Zaśmiał się cicho.

– No, co?

– Wiesz co, Maggie? Jesteś miękka – stwierdził trochę oskarżycielsko i opuszką palca starł łzę, która pojawiła mi się w kąciuku oka.

– Nieprawda!

Teraz roześmiał się już na głos.

– Jesteś, jesteś. Udajesz taką sarkastyczną twardzielkę, ale w środku... – Nachylił się i znów mnie pocałował. Poczułam jego uśmiech. – W środku jesteś jak cukierek z pianki.

Ktoś zapukał i odskoczyliśmy od siebie jak oparzeni.

– Puk, puk! – zawołała jakaś kobieta, a potem drzwi się uchylły ze skrzypnięciem i rozległ się stukot obcasów. – Wpadli Teddy i Samantha i przynieśli dla Bena baloniki. Nie w porę?

Mason chrząknął, rozkosznie zmieszany.

– Nie, skąd. Wejdźcie. Cześć, Teddy, cześć, Samantho. Ben jest u siebie. Chodźcie.

Wtoczyli się do pokoju, a ja usłyszałam drobne kroki zbliżające się do mnie.

– To ty – mruknęła Samatha.

– To ja.

– Nie pozbędę się ciebie, co? – spytała złowrogo, ale wydawało mi się, że w jej głosie słyszę ciche nutki zapowiadające akceptację.

– Nawet na to nie licz.

Wieczorem, po powrocie do domu, zadzwoniłam do Hildy i spytałam, czy mogłaby mnie wcisnąć na jutro na zajęcia z poruszania się komunikacją miejską. Potem poszłam do siebie, zamknęłam drzwi, odpaliłam płytkę z ofertą college'ów i zwinęłam się w kłębek pod szydełkowym kocem od babci.

Tak jak wiele innych siedemnastoletnich dziewczyn, stałam tego rzeńskiego, jesiennego popołudnia na boisku, a trawa łaskotała mnie w kostki. Wiatr rozwiewał mi włosy, a tłum widzów patrzył. Nigdy bym nie pomyślała, że znajdę się tutaj bez stroju piłkarskiego i wyląduję tak blisko bramki bez piłki przy nodze.

W życiu mi coś takiego nie przeszło przez myśl.

Wytałam ręce o dzinsy. Ludzi zjawilo się mnóstwo, znacznie więcej niż w Alexander Park. Loose Cannons na terenie uniwerku w Connecticut musieli zwrócić na siebie uwagę.

Czułam na sobie uśmiech Bena. Przystąpiłam z nogi na nogę, zawiesiłam palce nad klawiszami i czekałam, aż David da znak do startu. Ben oznajmił ostatnio, że chwile tuż przed wielkim wydarzeniem są bardziej niesamowite niż ono samo. Byłam gotowa uwierzyć.

Chociaż przez żyły wciąż przepływał mu chemiczny koktajl, Ben był w niezłej formie. Oczywiście, cały czas wymiotował, i tak, stracił włosy. Oraz jasne, że wysłuchiwałam milionów dowcipów na temat ludzi bez brwi. Nadal go nie widziałam, za co byłam losowi nieskończenie wdzięczna.

Poczułam Masona, zanim go zobaczyłam. Piżmowy zapach, w którym rozpływałam się od pierwszego dnia.

– Właśnie przyjechała Clarissa – szepnął mi do ucha. – Chciała, żebym ci to przekazała. Na szczęście. – Wiedziałam, co mi położy na ręce. Odwinęłam papieraek, ugryzłam i zaczęłam powoli i z przyjemnością przeżuwać, a resztę oddałam jemu. – Nie zjesz do końca?

– Pierwszy kęs jest najlepszy. Reszty nie trzeba – poinformowałam go, a on cicho się zaśmiał, życzył powodzenia i pocałował mnie w czoło.

Spotykaliśmy się jakoś tak od miesiąca, czternastu dni, dwunastu godzin i trzydziestu dwóch minut. Mniej więcej. Chciałabym móc powiedzieć, że się przyzwyczaiłam do jego skromności i wspaniałości, ale to byłoby kłamstwo. Wczoraj wieczorem spytał, czy jestem kimś innym niż pół roku temu. Pokręciłam głową. Tak naprawdę to nie. Cały czas byłam nadzwyczajnie wyszczekana, uważałam cukier za najważniejszy składnik odżywczy, ignorowałam obcych, którzy coś do mnie mówili i byłam przekonana, że o moim stylu najdobitniej świadczą japonki. Ciągłe mnie rozwścieczał pan od angielskiego, kiedy opowiadał o swoich jądrach. Jasne, coś się zmieniło, ale nie ja, tylko to, na co zwracam uwagę, o czym myślę. Przecież pod wpływem okoliczności nie stajemy się innymi ludźmi, po prostu dowiadujemy się o sobie nowych rzeczy.

Gdyby kilka tygodni temu ktoś mi powiedział, że Carlos odejdzie z zespołu i zostawi kolegów na lodzie, zdanych wyłącznie na dziewczynę, która obudzona w środku nocy może zagrać na pianinie każdą z ich piosenek, bo non stop wygrywa je sobie na nogach, kazałabym mu iść się leczyć.

Ale tak się właśnie stało.

Działo się w tej chwili.

David uderzył w czynele. Zagrałam pierwsze dźwięki *Transcendence*. Byłam potwornie zdenerwowana, trzęsły mi się palce na zimnych od wiatru klawiszach, ale muzyka mnie znalazła.

Przecież mieszkała we mnie przez całe życie.

Głos Masona wzniósł się nad stadionem, natychmiast hipnotyzując tłum. Nie tylko dlatego, że śpiewał totalnie zniewalająco – chociaż, Jezu, śpiewał totalnie zniewalająco – ale ponieważ rozlegał się z każdego głośnika. Wczoraj poszłyśmy z mamą na uniwersytet i obgadaliśmy szczegóły koncertu z dziekanem. Lubiłam pana Spermana, nie tylko za idiotyczne nazwisko, którego nie mogłam wypowiedzieć, nie parszcząc śmiechem. Zachwyciła go myśl, że córka trener Sanders stanie na uniwersyteckim boisku. Zgodził się nawet, żeby zespół wykorzystał cały system nagłośnieniowy.

Jeszcze trudniej mi w to było uwierzyć.

Gdy przechodziliśmy do następnej piosenki, usłyszałam, jak mama wykrzykuje moje imię. Uśmiechnęłam się. W ostatnich tygodniach wydarzyło się między nami coś, co zostawiło wolną przestrzeń. Nie wiedziałam, jak ją wypełnić. Cały czas nie było idealnie, ale o wiele lepiej.

Zgodnie z planem, przed *November* zapadła cisza. Następnie muzyka rozwinęła się jak w salonie Masona: pianino wprowadziło głos. Piosenka rozwijała mi się pod palcami, posplatana, skomplikowana i intensywna. Dołączył do niej Mason. Wsunął między nuty rękę i uwolnił pełną bólu melodię. Wylała się z nas, tajemnicza, poruszająca, mroczna, przesycona tęsknotą i pięknem.

Nasza.

Stałam na boisku, wiatr wiał mi w twarz, a źdźbła trawy łaskotały mnie w stopy. Zastanawiałam się, jakim cudem bez walki odpuściłam moje Coś. Nie tylko przestałam grać. Zrezygnowałam ze wszystkiego, co mi dawała muzyka: z emocji, ekspresji, synergii, życia, miłości.

Piosenka się skończyła i nad stadionem zawisła ostatnia nuta. Gdyby mnie nie dociskała do ziemi, tak potężna i nieskończona, uleciałabym w powietrze i zniknęła w innej galaktyce. Melodia ucichła i nastąpiła świdrująca cisza. Przez chwilę nie wiedziałam, co jest grane.

Potem zrobiło się głośno.

Tłum wokół nas eksplodował wrzaskami, tupaniem i gwizdami. Szok! Nie wiedziałam, co robić.

Wtedy to się stało.

Usłyszałam w uchu zachwycony głos mamy. Objęła mnie i przytuliła się mokrym od łez policzkiem. Mój wyczekany uścisk zwycięstwa. Nie czułam się tak, jak sobie kiedyś wyobrażałam. Ani trochę. Było o wiele lepiej.

Podziękowania

Z góry ostrzegam: to nie będą wyczerpujące podziękowania. Nie da się wymienić wszystkich, więc potraktujcie proszę następujące zdania jak lukier na babeczce, którą najlepiej ugryźć tylko raz.

Przede wszystkim nieskończenie dziękuję mojej rodzinie: rodzicom, Janet i Merle'owi oraz siostrze Cari. Nie jestem w stanie wyrazić wdzięczności za ich wsparcie i słowa zachęty. Mojemu starszemu synowi Talonowi dziękuję za życzliwość, tolerancję i za to, że nie dał mi chodzić z głową w chmurach. Młodszemu, Blaise'owi, za gigantyczny entuzjazm i wzięcie na siebie roli zastępczego rzecznika prasowego i najlepszego adwokata. Uczyniliście mnie, chłopcy, lepszym człowiekiem. Jesteście i zawsze będziecie moim największym osiągnięciem. Wreszcie dziękuję także Paulowi, mojemu mężowi i najlepszemu przyjacielowi. Za cierpliwość i towarzyszenie mi zarówno w chwilach szczęścia, jak i smutku. Oraz za to, że każdy dzień mogę zaczynać przy tobie i przy tobie go kończyć. Dziękuję ci, dziękuję, dziękuję. Szczęściara ze mnie, że cię mam.

Nie mogę pominąć ekipy wydawnictwa Hyperion. Nie wiem, jak dziękować mojej genialnej redaktorce, Laurze Schreiber, za mądrość, poczucie humoru i miłość do moich postaci. Wydobyłaś ze mnie to, o istnienie czego nawet się nie podejrzewałam. Jestem Twoją dłużniczką. Wdzięczna jestem Emily Meehan, Kate Hurley, Whitney Manger i reszcie.

Nigdy się nie zdołam odwzajemnić Kathleen Rushall za bycie najbardziej entuzjastyczną i oddaną agentką na świecie. Za wiarę we mnie, cierpliwość i błyskawiczne odpowiedzi na maile. I za to, że każdy etap tej podróży uczyniła świętem, a mnie delikatnie, ale zdecydowanie prowadziła za rękę. A

skoro już mowa o agentach, wielkie dzięki dla mojej agentki do spraw wydań zagranicznych, Taryn Fagerness, za gorliwość i oddanie książce. To Ty ją zaprowadziłaś w miejsca, o jakich nawet nie marzyłam.

Pozdrawiam wszystkich niesamowitych ludzi, których branża wydawnicza wprowadziła do mojego życia. Moje krytyczki, Lindsay Currie, Karen Rock i Courtney Barrett, którym jestem bardzo, bardzo wdzięczna za moralne wsparcie, sokole oko i entuzjazm. I Lola Sharp! Nigdy nie zapomnę Twoich cudownie nieprzyzwoitych SMS-ów i maili, genialnej intuicji i optymizmu. Wielkie brawa dla szatańsko utalentowanej Team KRush, agentów i pisarzy związanych z MLLA, Fearless Fifteeners, Diversity League i Fall Fifteeners.

Wyrazy wielkiej wdzięczności dla dalszej rodziny i przyjaciół, którzy przez cały ten czas wspierali mnie i zachęcali.

Dziękuję bibliotekarzom, blogerom, księgarzom i nauczycielom, którzy reklamowali książkę. Rozsiewaliście entuzjazm z uczuciem, energią i urokiem.

A najbardziej dziękuję Tobie, czytelniczko, za to, że otworzyłaś dla tej książki serce. Czuję się zaszczycona, że zaprosiłaś mnie do swojego życia, choćby tylko na chwilę.